

MILAN KUNDERA

Nieznosna lekkość bytu

Przetłumaczyła Agnieszka Holland

CZEŚĆ I

Lekkość i ciężar

1.

Idea wiecznego powrotu ma w sobie coś tajemniczego. Przy jej pomocy Nietzsche wprowadził w zakłopotanie większość filozofów: pomyśleć, że wszystko, cośmy raz przeżyli, miałoby się kiedyś powtórzyć i to powtórzenie powtarzałoby się w nieskończoność! Cóż oznacza ta przedziwna hipoteza?

Mit wiecznego powrotu mówi *per negationem*, że życie, które znika raz na zawsze i już nigdy nie powróci, podobne jest do cienia, nie ma żadnego ciężaru, jest martwe już w momencie narodzenia, i jeśli nawet było piękne, straszne, wzniosłe, to jego piękno, rozpacz i wzniosłość nie mają żadnego znaczenia. Nie musimy przyjmować go do wiadomości, podobnie jak nie przyjmujemy do wiadomości wojny między dwoma państwami afrykańskimi w czternastym wieku, która w niczym nie zmieniła oblicza świata, mimo że zginęło w niej w niewypowiedzianych męczarniach trzysta tysięcy Murzynów.

Czy wojna dwóch państw afrykańskich z czternastego wieku stałaby się czymś innym, gdyby miała się powtarzać w nieskończoność? Tak: stałaby się trwałym, niewzruszonym elementem rzeczywistości, a jej głupota byłaby nieodwracalna.

Gdyby rewolucja francuska miała się wiecznie powtarzać, historiografia mniej byłaby dumna z Robespierre'a. Kiedy mówimy o czymś, co już nie powróci, krwawe lata zmieniają się w słowa; teorie, dyskusje, stają się lżejsze od puchu, nie budzą lęku. Jest przepastna różnica między Robespierrem, który pojawił się tylko raz w historii, a Robespierrem, który by wiecznie powracał, aby ścinać głowy Francuzów.

Przyjmijmy więc, że idea wiecznego powrotu oznacza specyficzną perspektywę, z której sprawy wyglądają zupełnie inaczej, niż je widzimy normalnie: brak im okoliczności łagodzącej, jaką stanowi przemijalność. Ta okoliczność łagodząca uniemożliwia nam ferowanie jakichkolwiek wyroków, Jak można osądzić coś, co przemija? Czerwy śmierci oświetlają wszystko czarem nostalgii - również gilotynę.

Przypadłem się niedawno na niewiarygodnym uczuciu: przeglądałem książkę o Hitlerze i przy niektórych zdjęciach poczułem wzruszenie: przypomniały mi lata mego dzieciństwa. Przypadło ono na czas wojny, niektórzy moi krewni zginęli w hitlerowskich obozach koncentracyjnych; ale coż oznacza ich śmierć wobec faktu, że zdjęcia Hitlera przypomniały mi utracony czas mego życia, czas, który już nie powróci?

To pogodzenie z Hitlerem zdradza głębię moralnej perwersji, która łączy się esencjonalnie ze światem opartym na bezpowrotności - wszystko jest w nim z góry wybaczone, a więc i wszystko cynicznie dozwolone.

2.

Jeśli sekunda naszego życia miałaby się powtarzać w nieskończoność, bylibyśmy przykuci do wieczności jak Chrystus do krzyża. Takie wyobrażenie jest straszne. W świecie wiecznego powrotu na każdym geście kładzie się ciężar nieznośnej odpowiedzialności. Dlatego też Nietzsche nazwał ideę wiecznego powrotu najcięższym brzemieniem (*das schwerste Gewicht*).

Jeśli wieczny powrót jest najcięższym brzemieniem - nasze życie na jego tle błyszczą wspaniałą lekkością. Ale czy ciężar jest naprawdę straszny, a lekkość wspaniała? Najcięższe brzemie nas powala, przyciska do ziemi, upadamy pod nim. Ale w poezji miłosnej wszystkich wieków kobieta pragnie być obciążona brzemieniem męskiego ciała. Najcięższe brzemie jest jednocześnie obrazem najintensywniejszej pełni życia. Czym cięższe brzemie, tym nasze życie bliższe jest ziemi, tym jest realniejsze i prawdziwsze.

W przeciwieństwie do tego całkowity brak brzemienia sprawia, że człowiek staje się lżejszy od powietrza, wzlata w górę, oddala się od ziemi, od ziemskiego bytowania, staje się na wpół rzeczywisty, a jego ruchy są tyleż swobodne co pozbawione znaczenia.

Cóż więc mamy wybrać? Ciężar czy lekkość?

Pytanie to stawiał sobie Parmenides w szóstym wieku przed Chrystusem. Świat jawił mu się podzielony na antynomie: światło - ciemność; szorstkość - gładkość, ciepło - zimno, byt - niebyt. Jeden

biegun był pozytywny (światło, ciepło, gładkość, byt), drugi negatywny. Taki podział na negatywne i pozytywne bieguny może się nam wydać dziecinnie łatwy. Z wyjątkiem jednego przypadku: co jest pozytywnie - ciężar czy lekkość?

Parmenides odpowiadał: lekkość jest pozytywna, ciężar jest negatywny. Czy miał rację? To jest pytanie. Jedno jest pewne: antynomia. ciężar – lekkość jest najbardziej tajemnicza i najbardziej wieloznaczna ze wszystkich antynomii.

3.

Myślę o Tomaszu już od wielu lat. Ale dopiero w świetle tych rozważań zobaczyłem go jasno. Widzę go stojącego w oknie i patrzącego przez podwórko na ścianę przeciwległej kamienicy. Nie wie, co robić.

Po raz pierwszy spotkał Teresę przed trzema tygodniami w jednym z małych czeskich miast. Spędzili razem zaledwie godzinę. Odprowadziła go na dworzec i czekała aż do momentu, gdy wsiadł do pociągu. W dziesięć dni później przyjechała do niego. Kochali się jeszcze tego samego dnia. W nocy dostała gorączki i przez tydzień leżała w jego mieszkaniu chora na grypę.

Poczuł wtedy niezmierną miłość do tej nieznanym niemal dziewczyny; wydawało mu się, że jest dzieckiem, które ktoś włożył do natartego smołą koszyka i puścił z prądem rzeki po to, by Tomasz mógł je wyłowić na brzeg swego łóżka.

Została u niego przez tydzień, póki nie wyzdrowiała; potem znów odjechała do swego odległego o dwieście kilometrów od Pragi miasta. Wtedy właśnie nadeszła ta chwila, o której mówiłem, a która wydaje mi się kluczem do jego życia: stoi w oknie, patrzy na podwórko, na mury przeciwległych kamienic i zastanawia się:

Czy ma ją zaprosić na stałe do Pragi? Boi się odpowiedzialności. Jeśli ją teraz zaprosi, przyjedzie ofiarować mu całe swoje życie.

Czy ma o niej zapomnieć? Oznaczałoby to, że Teresa dalej będzie kelnerką w restauracji pewnego zabitego deskami miasta, a on nigdy już jej nie zobaczy.

Chce, żeby do niego przyjechała, czy nie chce?

Przygląda się ścianom przeciwległych kamienic i szuka odpowiedzi. Wciąż i wciąż przypomina sobie, jak leżała na jego tapczanie. Nie była podobna do nikogo z jego dotychczasowego życia. Nie była ani kochanką, ani żoną. Była dzieckiem, które wyjął z koszyka natartego smołą i ułożył na brzegu swego łóżka. Usnęła. Przyklęknął przy niej. Jej rozgorączkowany oddech był przyspieszony, rozległo się cichutkie jęknięcie. Przytulił policzek do jej policzka i szeptał do jej snu uspokajające słowa. Po chwili poczuł, że jej oddech się uspokaja, a twarz zbliża do jego twarzy. Czuł płynący z jej ust delikatny odór gorączki i wdychał go, jak gdyby chciał przeniknąć intymność jej ciała. W tym momencie wyobraził sobie, że jest u niego już od wielu lat i że umiera. Poczuł nagle wyraźnie, że nie przeżyłby jej śmierci. Położyłby się obok i chciałby umrzeć wraz z nią. Wcisnął twarz w poduszkę obok jej głowy i długo tak leżał.

Stoi teraz w oknie i przywołuje tę chwilę. Cóż to może być innego niż miłość, która w taki sposób daje o sobie znać?

Ale czy to była miłość? Uczucie, że chciałby umrzeć obok niej, było ewidentnie przesadne: przecież widział ją dopiero drugi raz w życiu! Czy nie była to po prostu histeria człowieka, który w głębi duszy uświadamia sobie swą niezdolność do kochania i zaczyna wmawiać sobie miłość? Jego podświadomość jest na tyle tchórzliwa, że wybrała sobie do odegrania tej komedii nieszczęsną kelnerkę z prowincjonalnej miejsciny, która nie miała prawie żadnej szansy, by zaważyć w jego życiu. Patrzy przez okno na brudne mury i uświadamia sobie, że nie wie, czy była to miłość, czy histeria.

Było mu żal, że w sytuacji, w której prawdziwy mężczyzna powinien natychmiast działać, on waha się i ogolaca w ten sposób najpiękniejszą chwilę, jaką kiedykolwiek przeżył (klęczał przy łóżku i wydawało mu się, że nie przeżyłby jej śmierci) z jej znaczenia. Złościł się na siebie, a potem przyszło mu do głowy, iż to, że nie wie, czego chce, jest właściwie zupełnie naturalne. Człowiek nigdy nie może wiedzieć, czego ma chcieć, ponieważ dane mu jest tylko jedno życie i nie może go w żaden sposób porównać ze swymi poprzednimi żywotami ani skorygować w następnych. Czy lepiej związać się z Teresą, czy zostać samemu?

Nie ma żadnej możliwości, by sprawdzić, która decyzja jest lepsza, bo nie istnieje możliwość porównania. Człowiek przeżywa wszystko po raz pierwszy i bez przygotowania. To tak, jakby aktor grał przedstawienie bez żadnej próby. Cóż może być warte życie, jeśli pierwsza próba już jest życiem ostatecznym? Dlatego życie zawsze przypomina szkic. Ale nawet szkic nie jest właściwym określeniem, bo szkic jest zawsze zarysem czegoś, przygotowaniem do obrazu, gdy tymczasem szkic, jakim jest nasze życie, jest szkicem bez obrazu, szkicem do czegoś, czego nie będzie.

Einmal ist keinmal, powtarza sobie Tomasz niemieckie przysłowie. Coś, co stanie się raz, jak gdyby nie stało się nigdy. Jeśli człowiek ma prawo tylko do jednego życia, to jakby nie żył w ogóle.

4.

Ale pewnego dnia w przerwie między dwiema operacjami pielęgniarka zawołała go do telefonu. Usłyszał w słuchawce głos Teresy. Dzwoniła z dworca. Ucieszył się. Niestety był tego wieczoru umówiony, toteż zaprosił ją dopiero na następny dzień. Gdy tylko odwiesił słuchawkę, zaczął sobie robić wyrzuty, że nie powiedział jej, by przyszła zaraz. Miał przecież dość czasu, by odwołać tamtą wizytę! Zastanawiał się, co Teresa będzie robić w Pradze przez trzydzieści sześć godzin dzielące ją od ich spotkania i miał ochotę wsiąść do samochodu i szukać jej po praskich ulicach.

Przyszła następnego dnia wieczorem. Miała przewieszoną przez ramię torebkę na długim pasku. Wydała mu się elegantsza niż poprzednim razem. W ręce trzymała grubą książkę. Była to „Anna Karenina” Tołstoja. Zachowywała się wesoło, nawet trochę hałaśliwie i starała się dać mu do zrozumienia, że wpadła do niego właściwie przypadkiem: jest w Pradze służbowo, albo (jej tłumaczenia były bardzo niejasne) po to, by znaleźć sobie pracę.

Potem leżeli nadzy i zmęczeni obok siebie na tapczanie. Była już noc. Spytał ją, gdzie się zatrzymała, chciał ją odwieźć samochodem. Odpowiedziała rumieniąc się, że zamierzała dopiero szukać hotelu, a walizkę zostawiła w przechowalni na dworcu.

Jeszcze wczoraj lękał się, że gdyby zaprosił ją do siebie do Pragi, przyjechałaby po to, by ofiarować mu całe swoje życie. Kiedy powiedziała mu, że jej walizka jest w przechowalni, przeleciało mu przez głowę, że w tej walizce jest jej życie i że na razie, zanim mu je ofiaruje, oddała je na przechowanie. Wsiadł do samochodu zaparkowanego przed domem, pojechali na dworzec, odebrał jej walizkę (była ogromna i bardzo ciężka) i zawiózł ją razem z Teresą z powrotem do siebie.

Jak to się stało, że zdecydował się tak nagle, kiedy przez czternaście dni wahał się i nie był w stanie posłać jej nawet widokówki z pozdrowieniami?

Samego go to zaskoczyło. Postąpił wbrew swym zasadom. Przed dziesięciu laty rozwiódł się ze swoją pierwszą żoną i przeżywał rozwód radośnie, jak inni przeżywają wesele. Uświadomił sobie, że nie jest stworzony do życia u boku jakiejś kobiety i że może być w pełni sobą tylko jako kawaler. Pieczołowicie starał się tak ułożyć swe życie, aby żadna kobieta nie mogła nigdy wprowadzić się doń z walizką. Dlatego właśnie miał w mieszkaniu tylko jeden tapczan. Choć tapczan ten był dość szeroki, Tomasz mówił swym kochankom, że nie jest w stanie usnąć z kimś we wspólnym łóżku i zawsze odwoził je po północy do domu. Zresztą kiedy Teresa była u niego po raz pierwszy, z grypą, nigdy przy niej nie zasnął. Pierwszą noc spędził w fotelu, w następne odjeżdżał do szpitala; miał tam swój gabinet i kozetkę, na której sypiał w czasie dyżurów.

Ale tym razem usnął obok niej. Rano obudził się i stwierdził, że Teresa, która jeszcze spała, trzyma go za rękę. Czyżby trzymali się tak przez całą noc? Wydawało mu się to niewiarygodne.

Oddychała głęboko przez sen, trzymała go za rękę (mocno, nie mógł się uwolnić z tego uścisku), a niezmiernie ciężka walizka stała obok tapczanu.

Bał się wysunąć dłoń z uścisku, żeby jej nie zbudzić, i tylko ostrożnie przekręcił się na bok, aby jej się lepiej przyjrzeć. Znowu przyszło mu do głowy, że Teresa jest dzieckiem, które ktoś włożył do koszyka natartego smołą i puścił na rzekę. Nie można przecież zostawić koszyka z dzieckiem na wzburzonej wodzie! Gdyby córka faraona nie wyłowiła z fal koszyka z małym Mojżeszem, nie byłoby Starego Testamentu i całej naszej cywilizacji! Tyle starych mitów zaczyna się od tego, że ktoś uratował porzucone dziecko. Gdyby Polybos nie zaopiekował się małym Edypem, Sofokles nie napisałby swej najpiękniejszej tragedii!

Tomasz wtedy nie uświadamiał sobie jeszcze, że metafory są rzeczą niebezpieczną. Z metaforami nie należy igrzać. Miłość może się narodzić z jednej metafory.

Żył ze swoją pierwszą żoną zaledwie dwa lata, spłodził z nią jednego syna. Podczas rozprawy rozwodowej sąd przyznał dziecko matce i orzekł, że Tomasz ma płacić na nie jedną trzecią swej pensji. Zaręczono mu jednocześnie, że będzie mógł widywać syna co drugą niedzielę. Ale ilekroć miał się spotkać z chłopcem, matka wynajdywała jakąś wymówkę. Gdyby przynosił im drogie prezenty, zapewne łatwiej uzyskiwałby widzenia. Zrozumiał, że ma miłość syna zdobywać przekupując matkę. Wyobrażał sobie, jak będzie donkiszotersko starał się w przyszłości wszczepiać chłopcu swoje poglądy, które we wszystkich sprawach były przeciwne poglądom matki. Już z góry czuł zmęczenie, i gdy pewnej niedzieli matka znowu w ostatniej chwili odwołała jego spotkanie z synem, zdecydował nagle, że nie chce go nigdy więcej widzieć.

Dlaczego zresztą miałby w stosunku do tego dziecka, z którym nie łączyło go nic oprócz jednej nierozsądnej nocy, odczuwać coś więcej niż do jakiegokolwiek innego? Będzie pieczołowicie płacił alimenty, ale nikt nie ma prawa od niego wymagać, aby walczył o syna w imię jakichś ojcowskich uczuć!

Z takim poglądem oczywiście nikt nie był skłonny się zgodzić. Jego własni rodzice odsądzili go od czci i wiary i oznajmili, że skoro Tomasz odmawia zajmowania się synem, oni również przestaną się interesować swoim. Utrzymywali za to spektakularnie dobre stosunki z synową i pysznili się wszem i wobec swym pryncypialnym stanowiskiem i poczuciem sprawiedliwości.

W ten sposób w krótkim czasie udało mu się pozbyć żony, syna, matki i ojca. Pozostał mu po nich wszystkich tylko lęk przed kobietami. Pragnął ich, ale się ich bał. Musiał znaleźć jakiś kompromis pomiędzy tym strachem a pożądaniem; nazwał go „erotyczna przyjaźń”. Mówił swym kochankom: tylko

niesentymalny stosunek, który nie uzurpuje sobie prawa do życia i wolności partnera może przynieść obydwojemu szczęście.

Ponieważ chciał mieć pewność, że erotyczna przyjaźń nie przemieni się nigdy w agresywną miłość, jego spotkania z każdą ze starych kochanek dzieliły zawsze bardzo długie przerwy. Uważał tę metodę za doskonałą i propagował ją pomiędzy przyjaciółmi: „Należy trzymać się reguły trzech. Albo widzisz się z jakąś kobietą co drugi dzień, ale nie więcej niż trzy razy, albo utrzymujesz z nią stosunki przez lata, ale tylko pod warunkiem, że pomiędzy spotkaniami upłyną co najmniej trzy tygodnie”.

System ten pozwolił Tomaszowi nie zrywać ze starymi kochankami i jednocześnie posiadać większą ilość krótkotrwałych miłostek. Nie zawsze był rozumiany. Ze wszystkich przyjaciółek najlepiej rozumiała go Sabina. Była malarką. Mówiła: „Lubię cię, ponieważ jesteś absolutnym przeciwieństwem kiczu. W królestwie kiczu byłbyś monstrum. Nie istnieje żaden scenariusz amerykańskiego albo radzieckiego filmu, w którym mógłbyś wystąpić inaczej niż jako odstraszący przykład”. Do niej zwrócił się o pomoc, kiedy starał się załatwić Teresie jakąś pracę w Pradze. Zgodnie z regułami erotycznej przyjaźni obiecała mu, że zrobi, co będzie w jej mocy i rzeczywiście wkrótce wyszukała posadę w laboratorium fotograficznym tygodnika ilustrowanego. Zajęcie to nie wymagało wielkich kwalifikacji, ale jednak awansowało Teresę ze statusu kelnerki do cechu pracowników prasy. Sama zaprowadziła Teresę do redakcji. Tomasz powiedział sobie w tym momencie, że nigdy w życiu nie miał lepszej przyjaciółki od Sabiny.

5.

Niepisana umowa erotycznej przyjaźni zakładała, że Tomasz wykluczy ze swego życia miłość. Gdyby naruszył ten warunek, reszta jego kochanek znalazłaby się w sytuacji drugoplanowej i mogłaby się zbuntować.

Dlatego wynajął dla Teresy pokój, do którego musiała odnieść swą ciężką walizę. Chciał czuwać nad nią, cieszyć się jej obecnością, ochraniać ją, ale nie odczuwał żadnej potrzeby, by zmieniać swój tryb życia. Dlatego nie chciał, żeby wiadano, że Teresa u niego sypia. Wspólny sen był czymś w rodzaju corpus delicti miłości.

Z innymi kobietami nigdy nie dzielił snu. Kiedy był z wizytą u nich, sprawa była prosta – mógł odejść, kiedy chciał. Trudniej bywało, kiedy one przychodziły do niego i musiał im wyjaśniać, że po północy odwiezie je do domu, ponieważ ma problemy z bezsennością i nie jest w stanie usnąć w bezpośredniej bliskości innego człowieka. Nie było to dalekie od prawdy, ale główny powód był gorszy i nie miał odwagi nikomu się z niego zwierzyć: po stosunku miłosnym odczuwał nieprzewyciężalne pragnienie samotności; nie znośił budzić się w środku nocy przy boku obcej istoty; czuł wstręt do wspólnego wstawania rano; nie życzył sobie, by ktoś słyszał jak myje zęby w łazience; rytuał śniadania we dwoje go nie pociągał.

Dlatego tak go zaskoczyło, kiedy przebudził się, a Teresa mocno ścisnęła jego rękę. Przyglądał jej się i nie mógł zrozumieć, co się właściwie stało. Przypominał sobie minione godziny i wydawało mu się, że płynie od nich zapach jakiegoś nieznanego szczęścia. Od tego czasu oboje z radością oczekiwali wspólnego snu. Można by prawie powiedzieć, że celem ich kochania się nie była rozkosz, ale sen, który po niej przychodził. Szczególnie ona nie mogła spać bez niego. Kiedy zostawała czasem sama w swym wynajętym pokoju (który stawał się coraz bardziej czystym alibi), nie mogła usnąć przez całą noc. W jego objęciach usypiała natychmiast, nawet gdy była bardzo zdenerwowana. Opowiadał jej szeptem bajki, które dla niej wymyślał, jakieś nonsensy, powtarzał kojące lub zabawne słowa. Te słowa przemieniały się w niej w mgliste wizje, które prowadziły ją w pierwszy sen. Panował całkowicie nad jej snem: usypiała dokładnie w tej sekundzie, którą wybrał. Kiedy spali, trzymała go jak pierwszej nocy: mocno ścisnęła jego przegub, jego palec, jego kostkę. Jeśli chciał się uwolnić, nie budząc jej, musiał uciekać się do wybiegów. Oswobadzał palec (przegub, kostkę) co zawsze na pół ją budziło, bo nawet przez sen dobrze go pilnowała. Uspokajała się, kiedy wsuwał jej do ręki zamiast swej dłoni jakiś przedmiot (zwiniętą piżamę, pantofel, książkę), który potem mocno ścisnęła, jakby to była część jego ciała.

Pewnego razu, kiedy już prawie ją uspił — znajdowała się w pierwszym przedśnionku snu, tak że była jeszcze w stanie odpowiadać na jego pytania - powiedział do niej:

— Tak. A teraz odejdę.

— Dokąd? — spytała.

— Daleko — odpowiedział surowym głosem.

— Idę z tobą! — krzyknęła i podniosła się na łóżku.

— Nie. Nie możesz. Odchodzę na zawsze — powiedział i wyszedł do przedpokoju.

Wstała z przymkniętymi oczyma i szła za nim. Miała na sobie krótką koszulkę, pod którą była naga. Jej twarz była nieruchoma, bez wyrazu, ale ruchy energiczne. Wyszedł z przedpokoju na klatkę schodową i zamknął przed nią drzwi. Otworzyła je gwałtownie i szła za nim, przekonana we śnie, że chce od niego odejść na zawsze i że musi go zatrzymać. Zszedł po schodach pół piętra i tam na nią czekał. Zeszła do niego, chwyciła go za rękę i zaprowadziła z powrotem do łóżka.

Tomasz powiedział sobie: kochać się z kobietą i spać z nią to dwie namiętności nie tylko różne, ale

prawie przeciwstawne. Miłość nie wyraża się w pragnieniu spółkowania (to pragnienie dotyczy przecież niezliczonej ilości kobiet), ale w pragnieniu wspólnego snu (to pragnienie dotyczy tylko jednej, jedynej kobiety).

6.

W środku nocy zaczęła jęczeć przez sen. Tomasz zbudził ją, ale kiedy zobaczyła jego twarz, powiedziała z nienawiścią: „Idź sobie! Idź sobie!” Potem opowiedziała mu, co jej się śniło. Byli gdzieś razem z Sabiną. Znaleźli się w wielkim pokoju. Pośrodku stało łóżko, jak podium w teatrze. Tomasz kazał jej stanąć w kącie i potem na jej oczach kochał się z Sabiną. Widok ten sprawiał jej cierpienie, którego nie była w stanie wytrzymać. Chciała zagłuszyć ból duszy przy pomocy bólu fizycznego i wbijała sobie igły pod paznokcie. „To tak strasznie bolało” – mówiła i zwierzała dłonie w pięści, jakby były naprawdę poranione.

Objął ją, a ona powoli (długo jeszcze drżała) usypiała w jego ramionach.

Kiedy następnego dnia myślał o tym śnie, coś mu się przypomniało. Otworzył szufladę biurka i wyjął z niej paczuszkę listów od Sabiny. Szybko znalazł właściwe miejsce: „Chciałabym się kochać z tobą w mojej pracowni, jak gdyby to była scena. Wokoło staliby ludzie i nie mogliby się zbliżyć ani o krok. Ale nie mogliby spuścić z nas wzroku...”

Najgorsze było to, że na liście była data. Pochodził z niedawnych czasów, kiedy Teresa mieszkała już u Tomasza.

— Grzebałaś w moich listach! - zaatakował ją. Nie zaprzeczyła i powiedziała:

— Więc mnie wyrzuć!

Ale nie wyrzucił jej. Widział ją, jak stoi przyklejona do ściany pracowni Sabiny i wbija sobie igły pod paznokcie. Wziął w swą dłoń jej palce, gładził je, przykładając do ust i całował, jakby były na nich jeszcze ślady krwi.

Od tego momentu wszystko się przeciw niemu sprzysięgło. Prawie każdego dnia dowiadywała się jakiegoś nowego szczegółu o jego tajnym życiu miłosnym.

Z początku wszystkiego się wypierał. Ale kiedy dowody były zbyt oczywiste, zaczynał argumentować, że jego poligamiczne życie miłosne nie pozostaje w żadnej sprzeczności z miłością do niej. Nie był konsekwentny: chwilami wypierał się swych zdrad, chwilami je usprawiedliwiał.

Któregoś razu dzwonił do pewnej kobiety, żeby umówić się z nią na schadzkę. Kończąc rozmowę, usłyszał z sąsiedniego pokoju dziwny dźwięk, jak gdyby ktoś głośno szczekał zębami.

Przypadek sprawił, że przyszła do niego, a on o tym nie wiedział.

Trzymała w ręce buteleczkę ze środkiem uspokajającym, wlewała go sobie w usta, trzęsła jej się ręka i szkło uderzało o zęby.

Rzucił się ku niej, jakby ratował ją przed utonięciem. Buteleczka z walerianą upadła na ziemię i rozlała się na dywan. Broniła się, chciała mu się wyrwać, a on trzymał ją przez kwadrans jak w kaftanie bezpieczeństwa, dopóki jej nie uspokoił.

Wiedział, że znalazł się w sytuacji nie do usprawiedliwienia, ponieważ jest ona oparta na głębokiej nierówności.

Jeszcze zanim odkryła jego korespondencję z Sabiną, byli razem z kilku przyjaciółmi w barze. Świątowali nową pracę Teresy. Opuściła laboratorium i została fotoreporterką w tym samym tygodniku. Ponieważ Tomasz nie lubił tańczyć, zajął się Teresą jego młodszy kolega. Wspaniale wyglądali na parkiecie i Teresa wydawała mu się piękniejsza niż kiedykolwiek. Przyglądał się ze zdziwieniem, z jaką precyzją i posłuszeństwem wyprzedza o ułamek sekundy wolę swego partnera. Ten taniec zdawał się dowodzić, że to jej oddanie, ta jakaś radosna ochota, by robić wszystko, czego tylko Tomasz może zapragnąć nie była nieodłącznie związana z osobą Tomasza, ale że mogła odpowiedzieć na apel jakiegokolwiek mężczyzny, którego spotkałaby zamiast niego. Bardzo łatwo można było sobie wyobrazić, że Teresa i jego kolega są kochankami. Łatwość tego wyobrażenia zraniła go! Uświadomił sobie, że ciało Teresy bez żadnych trudności można sobie wyobrazić w miłosnym połączeniu z jakimkolwiek męskim ciałem i wpadł w zły humor. Dopiero późno w nocy, kiedy wrócili do domu, przyznał jej się, że był zazdrosny.

Ta absurdalna zazdrość, dotycząca tylko hipotetycznej możliwości była dowodem, że uważał jej wierność za nienaruszalny warunek ich związku. Jakże mógł mieć jej za złe, że była zazdrosna o jego rzeczywiste przecież kochanki.

7.

W ciągu dnia starała się (z częściowym powodzeniem) wierzyć w to, co Tomasz mówi i być pogodną, jak przedtem. Hamowana za dnia zazdrość przejawiała się tym gwałtowniej w jej snach. Każdy kończył się jękiem, z którego musiał ją budzić.

Te sny powtarzały się jak temat z wariacjami albo jak serial telewizyjny. Często na przykład powracał sen o kotkach, które skakały jej do gardła i wbijały pazury w skórę. Możemy to całkiem prosto wyjaśnić: kociak w czeskim slangu oznacza ładną kobietę. Teresa czuła się zagrożona przez kobiety,

wszystkie kobiety. Wszystkie kobiety były potencjalnymi kochankami Tomasza, a ona się ich bała.

W innym cyklu snów była skazywana na śmierć. Raz, w środku nocy, kiedy obudził ją, krzyżącą z przerażenia, opowiedziała mu: „Był to ogromny kryty basen. Było nas tak ze dwadzieścia. Same kobiety. Wszystkie byłyśmy nagie i musiałyśmy maszerować wokół basenu. Pod sufitem zawieszono kosz, w którym stał mężczyzna. Miał na głowie kapelusz z szerokim rondem, które zasłaniało mu twarz, ale ja wiedziałam, że to ty. Wydawałeś nam rozkazy. Krzychałeś. Musiałyśmy maszerować, śpiewać i robić przysiady. Kiedy któraś źle wykonała przysiad, strzelałeś do niej z pistoletu i ona martwa wpadała do basenu. W tym momencie wszystkie zaczynały się śmiać i śpiewały jeszcze głośniej. Ty nie spuszczałeś z nas wzroku i gdy któraś znów zrobiła coś źle, strzelałeś do niej. Basen był pełen trupów unoszących się tuż pod powierzchnią. A ja wiedziałam, że nie będę w stanie wykonać kolejnego przysiadu i że mnie zastrzelisz”.

Trzeci cykl snów opowiadał o tym, że jest martwa.

Leżała w karawanie tak ogromnym jak ciężarówka do przeprowadzek. Obok niej leżało mnóstwo nieżywych kobiet. Było ich tak dużo, że nie można było domknąć klapy i nogi niektórych wystawały na zewnątrz.

Teresa krzychała:

— Ja przecież nie jestem martwa! Przecież ja wszystko czuję!

— My też wszystko czujemy — śmiały się trupy.

Śmiały się zupełnie takim samym śmiechem jak żywe kobiety, które jej kiedyś mówiły z radością, że to przecież zupełnie normalne, że jej zęby się zepsują, że będzie miała chore jajniki i zmarszczki, ponieważ one również mają zepsute zęby, chore jajniki i zmarszczki. Śmiejąc się tak samo wyjaśniały jej teraz, że jest martwa i że to tak właśnie powinno być.

Potem nagle zachciało jej się siusiać. Krzyknęła:

— Przecież chce mi się siusiać! To dowodzi, że nie umarłam! A one znowu wybuchnęły śmiechem:

— To normalne, że chce ci się siusiać. Wszystkie te uczucia pozostają jeszcze przez dłuższy czas. To tak, jak kiedy amputują komuś rękę, a on jeszcze długo ją czuje. My już nie mamy moczu, a mimo to jeszcze ciągle chce nam się siusiać.

Teresa przytuliła się do Tomasza:

— I wszystkie mówiły mi ty, jak gdyby знаły mnie od dawna, jakby były moimi koleżankami, a ja byłam przerażona że muszę z nimi zostać na wieki!

8.

Wszystkie języki pochodzące z łaciny tworzą słowo „współczucie” z przedrostka współ- (*com-*) i ze słowa, które wyraża mękę (*com-passion*). Inne języki, na przykład czeski, polski, niemiecki, szwedzki rzeczownik o podobnym znaczeniu tworzą z takiego samego przedrostka, ale ze słowa czucie (po czesku: *sou-cit*, po polsku *współ-czucie*, po niemiecku: *Mit-gefühl*, po szwedzku: *med-känsla*).

W językach pochodzących z łaciny słowo współczucie (*compassion*) oznacza: nie możemy przyglądać się z chłodnym sercem cierpieniu innych, albo: czujemy związek z tym, kto cierpi. W innym słowie o podobnym znaczeniu, *pitié* (po angielsku *pity*, po włosku *pietà* itd.) pobrzmiwa nawet jakiś rodzaj wyższości w stosunku do tego, który cierpi. *Avoir de la pitié pour une femme* oznacza, że jesteśmy w lepszej sytuacji niż kobieta, że schylamy się ku niej, niżamy.

To jest powód, dla którego *compassion* albo *pitié* wzbudza nieufność; wydaje się, że oznacza gorsze, drugorzędne uczucia, które nie mają nic wspólnego z miłością. Kochać kogoś z litości to znaczy nie kochać go naprawdę.

W językach, które tworzą słowo „współczucie” nie z korzenia cierpienie (*passio*), ale z rzeczownika uczucie, używa się go w podobnym znaczeniu, ale nie można przecież powiedzieć, że oznacza drugorzędne, złe uczucie. Tajemna siła jego etymologii opromienia słowo innym światłem i nadaje mu szersze znaczenie: współczuć to znaczy przeżywać wraz z innym jego nieszczęścia, ale również wszelkie inne uczucia: radość, lęk, szczęście, ból. To współczucie (w sensie *soucité*, *Mitgefühl*, *medkänsla*) oznacza więc maksymalna zdolność uczuciowej wyobraźni, sztukę uczuciowej telepatii: jest to w hierarchii uczuć uczucie najwyższe.

Sen Teresy o wbijaniu igieł pod paznokcie zdradził Tomaszowi, że przeglądała po kryjomu jego szuflady. Gdyby jakaś inna kobieta zrobiła mu coś takiego, w życiu by się już do niej nie odezwał. Teresa wiedziała to i dlatego powiedziała mu: „Wyrzuć mnie!” Tymczasem nie tylko jej nie wyrzucił, ale wziął ją za rękę i całował koniuszki jej palców, ponieważ w tym momencie sam czuł ból za jej paznokciami, jak gdyby nerwy jej palców prowadziły wprost do jego kory mózgowej.

Jeśli człowiek nie jest obdarzony diabelskim darem zwanym współczuciem, nie pozostaje mu nic innego jak chłodno osądzić czyn Teresy, bo przecież prywatność człowieka jest rzeczą świętą i nie należy otwierać szuflad z jego intymną korespondencją. Ale ponieważ współczucie stało się losem (czy też przekleństwem) Tomasza, wydawało mu się, że sam kłęczy przed otwartą szufladą biurka i nie może oderwać wzroku od zdań napisanych przez Sabinę. Rozumiał Teresę i nie był w stanie gniewać się na nią, przeciwnie - kochał ją jeszcze bardziej.

Jej gesty stały się gwałtowne i nerwowe. Upłynęły już dwa lata od momentu, w którym odkryła jego zdrady. Im dłużej to trwało, tym trudniej je znosiła. Sytuacja była bez wyjścia.

Czy naprawdę miał zarzucić swe erotyczne przyjaźnie? Nie mógł. Nie miał siły opanować pożądania do innych kobiet. Oprócz tego wydawało mu się to niepotrzebne. Nikt nie wiedział lepiej od niego, że jego przygody w niczym nie zagrażają Teresie. Dlaczegoż miałby z nich rezygnować? Wydawało mu się to równie bezsensowne, jak gdyby miał zaprzestać chodzenia na mecze piłki nożnej. Ale czy była w nich jeszcze jakaś radość? Idąc do innej kobiety, z góry czuł do niej niechęć i obiecywał sobie, że widzi się z nią po raz ostatni. Cały czas miał przed oczyma obraz Teresy i żeby o niej nie myśleć, musiał się upijać. Odkąd poznał Teresę, nie mógł kochać się z innymi kobietami bez alkoholu. Ale właśnie zapach alkoholu w jego oddechu był dla Teresy tropem, który sygnalizował jej jego zdrady. Zamknęła się nad nim pułapka: w momencie, kiedy szedł do kochanek, już nie miał na nie ochoty, ale wystarczył choćby jeden dzień bez nich, by zaczynał wykręcać numery telefonów i umawiać się na randki. Stosunkowo najlepiej było mu u Sabiny; wiedział, że jest dyskretna i że nie musi się lękać, iż go wyda. Jej pracownia witała go jak wspomnienie minionego życia, idyllicznego życia starego kawalera.

Być może sam sobie nie uświadamiał, jak bardzo się zmienił: lękał się wrócić późno do domu, ponieważ Teresa czekała na niego. Sabina zauważyła nawet raz, że w trakcie aktu miłosnego spogląda na zegarek i stara się przyspieszyć jego finał.

Przechadzała się potem naga leniwym krokiem po pracowni, stanęła przed sztalugami z rozpoczętym obrazem i z ukosa przyglądała się, jak Tomasz szybko się ubiera.

Był już ubrany, tylko jedną nogę miał bosą. Rozejrzał się wokół, potem na czworakach zaczął szukać czegoś pod stołem.

— Kiedy tak patrzę na ciebie, mam wrażenie, że zmieniasz się w wieczny temat moich obrazów - powiedziała. - Spotkanie dwóch światów. Podwójna ekspozycja. Zza postaci Tomasza-libertyna prześwituje twarz romantycznego kochanka. Albo na odwrót - poprzez postać Tristana, który myśli wyłącznie o swojej Teresie widać piękny, zdradzony świat libertyna.

Tomasz podniósł się, słuchając jej z roztargnieniem.

— Czego szukasz? - zapytała.

— Skarpetki.

Razem z nim rozglądała się po pomieszczeniu, a on znów opadł na czworaki i szukał pod stołem.

— Nigdzie nie ma tej twojej skarpetki — powiedziała Sabina. — Musiałeś przyjść bez niej.

— Jak mogłem przyjść bez skarpetki! — krzyczał Tomasz spoglądając na zegarek. — Przecież nie przyszedłem w jednej!

— Nie można tego wykluczyć. W ostatnich czasach jesteś bardzo roztargniony. Ciągle dokąś się spieszysz, patrzysz na zegarek... Nic dziwnego, że zapominasz włożyć drugą skarpetkę.

Był już zdecydowany założyć but na bosą stopę.

— Na dworze jest strasznie zimno — powiedziała Sabina. — Pożyczę ci pończochę.

Podawała mu długą, białą pończochę, modną, ażurową. Wiedział, że jest to zemsta za to, że zerkał na zegarek, kiedy się z nią kochał. Gdzieś tę skarpetkę schowała. Było naprawdę zimno, więc nie pozostało mu nic innego, niż się jej podporządkować. Odchodził do domu mając na jednej nodze skarpetkę, na drugiej białą, zrolowaną nad kostką damską pończochę.

Był w sytuacji bez wyjścia: w oczach kochanek był naznaczony haniebnym piętnem miłości do Teresy, w oczach Teresy haniebnym piętnem swych przygód.

Żeby zmniejszyć jej męki, ożenił się z nią (mogli wreszcie zrezygnować, z wynajmowania pokoju, w którym już od dawna nie mieszkała) i znalazł dla niej szczeniaka.

Urodził się suczce jego kolegi. Suczka była psem św. Bernarda, ojcem szczeniąt był wilk sąsiada. Małych bękartów nikt nie chciał, a koledze żal było je zabić.

Tomasz wybierał pomiędzy szczeniętami i wiedział, że te, których nie wybierze, będą musiały umrzeć. Czuł się jak prezydent państwa, który stoi przed czterema skazańcami i ma prawo udzielić łaski tylko jednemu. W końcu wybrał suczkę, której ciało wydawało się przypominać wilka, a głowa bernardyna. Przyniósł ją Teresie. Podniosła pieska, przycisnęła do piersi, a on natychmiast obsikał jej bluzkę.

Potem szukali dla niego imienia. Tomasz chciał, żeby już imię wskazywało, że piesek należy do Teresy i przypomniał sobie książkę, którą trzymała pod pachą, kiedy przyjechała nieoczekiwanie do Pragi. Zaproponował, żeby nazwać szczenię Tolstoj.

— To nie może być Tolstoj - zaproponowała Teresa. - Ono jest przecież dziewczynką. Może być Anna Karenina.

— Nie może być Anna Karenina, takiej śmiesznej mordy nie może mieć żadna kobieta — powiedział Tomasz. — To raczej Karenin. Tak, Karenin. Dokładnie tak go sobie zawsze wyobrażałem.

— Ale czy nie skomplikuje jej tożsamości seksualnej, jeśli będziemy na nią wołać Karenin?

— Niewykluczone — powiedział Tomasz — że suczka, na którą państwo wołają nieustannie jak na psa, będzie miała lesbijskie skłonności.

Słowa Tomasa spełniły się w dziwny sposób. Choć zwykle suczki bardziej lgną do panów niż pań, z Kareninem było na odwrót. Zdecydował się zakochać w Teresie. Tomasz był mu za to wdzięczny. Głodził go po głowie i mówił do niego:

— Dobrze robisz, Kareninie. Dokładnie tego od ciebie oczekiwałem. Jeśli ja sam nie mogę jej wystarczyć, musisz mi pomóc.

Ale nawet Karenin nie zdołał uczynić jej szczęśliwą. Tomasz uświadomił to sobie mniej więcej w 10 dni po tym, jak ich kraj najechały rosyjskie czołgi. Był sierpień 1968. Do Tomasa codziennie dzwonił z Zurychu dyrektor tamtejszego szpitala, z którym Tomasz zaprzyjaźnił się kiedyś na jakiejś konferencji międzynarodowej. Bał się o Tomasa i proponował mu pracę u siebie.

10.

Jeśli Tomasz odrzucił propozycję Szwajcara niemalże bez namysłu, uczynił to ze względu na Teresę. Zakładał, że nie chciałaby tam jechać. Spędziła przecież całe pierwsze siedem dni okupacji w stanie upojenia, które niemalże przypominało szczęście. Biegała po ulicach z aparatem fotograficznym i rozdawała zdjęcia zagranicznym korespondentom, którzy wyrywali je sobie z rąk. Raz, kiedy zachowywała się już zbyt beczelnie i fotografowała z bliska oficera, który mierzył z pistoletu do ludzi, zaarrestowali ją i przetrzymali przez noc w radzieckiej komendanturze. Grozili jej, że ją zastrzelą, ale ledwie ją wypuszczono, znów wybiegła na ulice i znów fotografowała.

Dlatego tak zaskoczyło Tomasa, kiedy dziesiątego dnia okupacji powiedziała:

— A właściwie dlaczego nie chcesz wyjechać do Szwajcarii?

— A dlaczego miałbym wyjeżdżać?

— Mają tu z tobą swoje porachunki.

— Z kim nie mają — machnął ręką Tomasz. - Powiedz mi raczej, czy umiałabyś żyć za granicą.

— Czemu nie?

— Widziałem, że byłaś zdolna ryzykować dla tego kraju życie. Jak to możliwe, że mogłabyś go teraz opuścić?

— Odkąd Dubczek wrócił, wszystko się zmieniło — odpowiedziała Teresa.

Była to prawda; ogólna euforia trwała tylko przez siedem pierwszych dni okupacji. Czescy przywódcy zostali porwani przez rosyjską armię jak zbrodniarze, nikt nie wiedział, gdzie się znajdują, wszyscy drżeli o ich życie i nienawiść do Rosjan odurzała ludzi jak alkohol. Było to pijane święto nienawiści. Czeskie miasta były ozdobione tysiącami malowanych ręcznie plakatów pełnych pogardliwych i ironicznych napisów, epigramów, wierszyków, karykatur Breżniewa i jego armii, z której wszyscy wyśmiewali się jak z cyrku analfabetów. Ale żadne święto nie może trwać wiecznie. W międzyczasie Rosjanie zmusili zaarrestowanych przywódców czeskich, żeby podpisali w Moskwie coś w rodzaju kompromisu. Dubczek powrócił z tym do Pragi i czytał przez radio swe przemówienie. Po sześciodniowym więzieniu był tak zdruzgotany, że nie mógł mówić, jękał się, z trudem chwytał oddech, tak że między poszczególnymi zdaniami zapadały niekończące się, niemal półminutowe pauzy.

Kompromis uratował kraj od najgorszego: od egzekucji i masowych wywózek na Sybir, których wszyscy się bali. Ale jedna rzecz stała się jasna: Czechy będą musiały ukorzyć się przed zdobywcą: już zawsze będą się jąkać i z trudem chwytać oddech jak Aleksander Dubczek. Święto się skończyło. Nadszedł powszedni dzień poniżenia.

Wszystko to mówiła Teresa Tomaszowi, a on wiedział, że ma rację, ale że pod tą racją kryje się inna, bardziej podstawowa przyczyna, dla której Teresa chce wyjechać z Pragi: jest nieszczęśliwa.

Najpiękniejsze dni swego życia przeżyła fotografując na praskich ulicach rosyjskich żołnierzy i igrając z niebezpieczeństwem. To był jedyny okres, w którym telewizyjny serial jej snów przerwał się i jej noce były szczęśliwe. Rosjanie przynieśli jej na czołgach spokój wewnętrzny. Teraz, kiedy święto minęło, znów boi się nocy i pragnie przed nimi uciec. Dowiedziała się, że istnieją okoliczności, w których może czuć się silna i spokojna i pragnie teraz pojechać w świat w nadziei, że je gdzieś odnajdzie.

— A czy ci nie przeszkadza - spytał Tomasz - że Sabina również wyemigrowała do Szwajcarii?

— Genewa to nie Zurych - odpowiedziała Teresa. - Na pewno będzie mi tam przeszkadzać mniej niż w Pradze.

Człowiek, który pragnie opuścić miejsce, w którym żyje, nie jest szczęśliwy. Dlatego Tomasz przyjął pragnienie emigracji Teresy jak winny przyjmuje wyrok. Podporządkował mu się. i pewnego dnia znaleźli się wraz z Teresą i Kareninem w Szwajcarii.

11.

Kupił łóżko do pustego mieszkania (na inne meble nie mieli na razie pieniędzy) i rzucił się do pracy z wścieklą zaciętością człowieka, który zaczyna po czterdziestce nowe życie.

Kilkakrotnie dzwonił do Sabiny do Genewy. Miała szczęście, że wernisaż jej wystawy odbył się na tydzień przed rosyjską inwazją: szwajcarscy miłośnicy sztuki dali się porwać fali sympatii dla małego kraju i wykupili wszystkie jej obrazy.

— Dzięki Ruskim stałam się bogata — śmiała się przez telefon i zapraszała Tomasza do swojej nowej pracowni, która ponoć nie różni się zbyt od tej, którą Tomasz znał w Pradze.

Chętnie by ją odwiedził, ale nie znalazł żadnej wymówki, która by mogła Teresie wytłumaczyć jego wyjazd. Sabina przyjechała więc do Zurychu. Zatrzymała się w hotelu. Tomasz przyszedł do niej po pracy, zadzwonił z recepcji, a potem wszedł na górę. Otworzyła mu, stojąc przed nim na swych pięknych, wysokich nogach, rozebrana, tylko w biustonoszu i majtkach. Na głowie miała czarny melonik. Patrzyła na niego długo bez ruchu i nic nie mówiła. Tomasz milczał. Potem uświadomił sobie nagle, że jest wzruszony. Zdjął z jej głowy melonik i położył go na szafce koło łóżka. Potem kochali się nie przemówiwszy do siebie ani słowa.

Kiedy odchodził z hotelu do swego szwajcarskiego mieszkania (w którym już dawno stały stół, krzesła, fotele, leżał dywan), powtarzał sobie z radością, że niesie ze sobą swój sposób życia jak żółw nosi swój dom.

Ale właśnie dlatego, że niósł swój sposób życia zawsze ze sobą, Teresa miała ciągle takie same sny.

Byli już w Zurychu od sześciu czy siedmiu miesięcy, kiedy wróciwszy do domu późnym wieczorem znalazł na stole list. Oznajmiała mu, że wraca do Pragi. Wraca dlatego, że nie ma siły żyć za granicą. Wie, że powinna tu być dla Tomasza oparciem i wie również, że tego nie potrafi. Myślała naiwnie, że zagranica ją odmieni.

Wierzyła, że po tym, co przeżyła w dniach inwazji, nie będzie już nigdy małostkowa, że stanie się dorosła, mądra i silna, ale przeceniła samą siebie. Jest dla niego ciężarem, a nie chce nim być. Postanowiła wyciągnąć z tego wnioski, zanim będzie za późno. Przeprasza go, że zabrała z sobą Karenina.

Połknął mocne proszki nasenne, mimo to usnął dopiero nad ranem. Na szczęście była sobota i mógł zostać w domu. Sto razy rozważał całą sytuację wte i wewte. Granice między Czechami a resztą świata nie są już otwarte jak w czasach, kiedy wyjechali. Nie przywoła Teresy z powrotem za pomocą żadnych telefonów i telegramów. Urzędy już jej nie wypuszczą za granicę. Jej odjazd jest niewiarygodnie ostateczny.

Świadomość, że jest zupełnie bezradny, podziałała na niego jak uderzenie pałką w głowę, ale jednocześnie go uspokoiła. Nikt go nie zmuszał, żeby się na cokolwiek decydował. Nie musiał gapić się na mury przeciwległych kamienic i pytać siebie, czy chce, czy też nie chce z nią żyć. Teresa o wszystkim zadecydowała sama.

Poszedł na obiad do restauracji. Było mu smutno, ale w trakcie jedzenia początkowe uczucie rozpacz jakby się zmęczyło, osłabło, aż przeszło w melancholię. Patrzył wstecz na lata, które z nią przeżył i wydawało mu się, że ich historia nie mogła zamknąć się lepiej, niż się zamknęła. Gdyby ktoś tę historię wymyślił, musiałby ją zakończyć w taki właśnie sposób:

Teresa przyszła do niego pewnego dnia, mimo że jej nie zapraszał. Pewnego dnia w taki sam sposób odeszła. Przyjechała z jedną, ciężką walizką. I z jedną ciężką walizką odjechała.

Zapłacił, wyszedł z restauracji i przechadzał się po ulicach pełen coraz piękniejszej melancholii. Miał za sobą siedem lat życia z Teresą i stwierdzał teraz, że te lata były piękniejsze we wspomnieniu niż wtedy, kiedy je przeżywał.

Miłość między nim a Teresą była piękna, ale męcząca: musiał ciągle coś ukrywać, maskować, udawać, naprawiać, utrzymywać ją w dobrym humorze, pieścić, udowodniać nieustannie swe uczucie, być oskarżanym przez jej zazdrość, jej cierpienie, jej sny, czuć się winnym, usprawiedliwiać się i przepraszać. Ten wysiłek teraz zniknął, a piękno zostało. Sobota chyliła się ku wieczorowi, przechadzał się sam po Zurychu i wdychał zapach wolności. Za rogiem każdej ulicy kryła się przygoda. Przyszłość znów stała się tajemnicą, znów przywrócono mu życie kawalera, o którym kiedyś myślał, że jest mu pisane i że tylko tak żyjąc może być naprawdę sobą.

Już od siedmiu lat żył przywiązany do niej. Jej oczy śledziły każdy jego krok. Było to tak, jak gdyby przywiązano mu do nóg żelazne kule. Teraz jego krok stał się o wiele lżejszy. Niemalże unosił się. Znalazł się nieoczekiwanie na magicznym biegunie Parmenidesa: smakował słodką lekkość bytu.

(Czy miał ochotę zadzwonić do Sabiny do Genewy? Wpaść do którejś z kobiet, z którymi zaznajomił się przez te miesiące w Zurychu? Nie, nie miał na to najmniejszej ochoty. Przeczuwał, że gdyby spotkał się z którąkolwiek z nich, wspomnienie Teresy stałoby się natychmiast nieznośnie bolesne.)

12.

To przedziwne melancholijne oczarowanie trwało do niedzieli wieczór. W poniedziałek wszystko się zmieniło. Teresa wtargnęła w jego myśli: czuł, co przeżywała, kiedy pisała do niego pożegnalny list, czuł, jak trzęsły się jej ręce; widział ją, jak dźwiga ciężką walizkę w jednej ręce, drugą ciągnąc na smyczy Karenina; wyobrażał sobie, jak otwiera drzwi ich praskiego mieszkania i czuł w sercu sieroctwo samotności, która wionęła jej w twarz, kiedy przestąpiła próg.

W ciągu tych dwóch dni pięknej melancholii jego współczucie odpoczywało. Współczucie spało, jak górnik odsypia niedzielę po tygodniu ciężkiego fedrunku, by móc w poniedziałek znów zjechać na dół.

Tomasz badał pacjenta i zamiast niego widział Teresę. Karcił się w duchu: nie myśl o niej! nie myśl o niej! Mówił sobie: właśnie dlatego, że jestem chory na współczucie, dobrze się stało, że odjechała i że już jej nie zobaczę. Muszę uwolnić się nie od niej, ale od swego współczucia, od tej choroby, której przedtem nie znałem, a której wirusem ona mnie zaraziła!

W sobotę i w niedzielę odczuwał słodką lekkość istnienia, które zbliżało się do niego z głębi przyszłości. W poniedziałek spadł na niego ciężar, jakiego dotychczas nie znał. Wszystkie tony żelaza rosyjskich czołgów były niczym w porównaniu z tym ciężarem. Nic nie jest cięższe od współczucia. Nawet własny ból nie jest tak ciężki, jak ból z kimś współodczuwany, ból za kogoś, dla kogoś, zwielokrotniony przez wyobraźnię.

Przykazywał sobie nie dopuszczać do siebie współczucia, a współczucie słuchało go ze spuszczoną głową, jakby czuło się, winne. Wiedziało, że nadużywa swych uprawnień, a pomimo to milcząco trzymało się swego, tak że piątego dnia po odjeździe Teresy Tomasz oznajmił dyrektorowi szpitala (temu samemu, który codziennie dzwonił do niego do Pragi po inwazji radzieckiej), że musi natychmiast wracać. Wstydział się. Wiedział, że jego zachowanie wyda się dyrektorowi nieodpowiedzialne i niewybaczalne. Miał straszną ochotę zwierzyć mu się i opowiedzieć mu o Teresie i o liście, który zostawiła na stole. Ale nie zrobił tego. Z punktu widzenia szwajcarskiego lekarza zachowanie Teresy musiało wyglądać histerycznie i niesympatycznie, a Tomasz nie chciał dopuścić do tego, by ktoś myślał o niej coś złego.

Dyrektor był naprawdę dotknięty.

Tomasz wzruszył ramionami i powiedział: *Es muss sein. Es muss sein*. Była to aluzja. Ostatnie zdanie ostatniego kwartetu Beethovena jest napisane na te dwa motywy:

[obraz – nuty]

Ażeby uczynić sens tych słów całkowicie jasnym. Beethoven zatytułował całą ostatnią frazę *der schwer gefasste Entschluss*: ciężko powzięta decyzja.

Poprzez tę aluzję do Beethovena Tomasz już jak gdyby powracał do Teresy, bo to ona właśnie go przymusiła do kupowania płyt z kwartetami i sonatami Beethovena.

Aluzja okazała się bardziej na miejscu, niż mógł przypuszczać, ponieważ dyrektor był wielkim miłośnikiem muzyki. Uśmiechnął się łagodnie i powiedział cicho, naśladowując głosem melodię Beethovena: *Muss es sein?*

Tomasz odpowiedział jeszcze raz: *Ja, es muss sein*.

13.

W przeciwieństwie do Parmenidesa dla Beethovena ciężar był jak się zdaje czymś pozytywnym. *Der schwer gefasste Entschluss*, ciężko powzięta decyzja jest połączona z głosem losu (*es muss sein!*), ciężar, konieczność i wartość to trzy pojęcia wewnątrznie zależne: tylko to, co konieczne, to, co ciężkie, to, co waży, ma wartość.

To przekonanie zrodziło się z muzyki Beethovena, a choć jest możliwe (a nawet prawdopodobne), że ponoszą za nie odpowiedzialność komentatorzy Beethovena, a nie sam kompozytor, podzielamy je dziś w jakiś sposób wszyscy: wielkość człowieka polega dla nas na tym, że dźwiga on swój los jak Atlas na swych barkach sklepienie niebieskie. Bohater Beethovena dźwiga metafizyczne brzemie. Tomasz dojeżdża do granic Szwajcarii, a ja wyobrażam sobie, że zachmurzony Beethoven z wielką grzywą włosów dyryguje orkiestrą miejscowych strażaków i gra mu na pożegnanie z emigracją marsz zwany *Es muss sein!*.

Ale potem Tomasz przejechał granicę Czechosłowacji i natrafił na kolumny rosyjskich czołgów. Musiał zatrzymać wóz na skrzyżowaniu i czekać pół godziny, żeby przejechali. Upiorny czołgista w czarnym kombinezonie stał na skrzyżowaniu i kierował ruchem, jak gdyby wszystkie czeskie szosy należały do niego.

Es muss sein, powtarzał sobie w duchu Tomasz, ale potem ogarnęło go zwątpienie: czy naprawdę tak musiało się stać?

To prawda, pozostać w Zurychu i wyobrazić sobie, jak Teresa żyje sama w Pradze, było nie do zniesienia.

Ale jak długo męczyłoby go współczucie? Całe życie? Czy może cały rok? Albo miesiąc? Albo tylko tydzień?

Skąd miał wiedzieć? Jak miał to wypróbować?

Każdy uczeń może sobie wykonać na lekcji fizyki doświadczenie, by się przekonać, czy określona hipoteza naukowa odpowiada prawdzie. Ale człowiek, ponieważ dane mu jest tylko jedno życie, nie ma żadnej możliwości, by sprawdzić hipotezę przy pomocy doświadczenia i dlatego nigdy nie wie, czy powinien być, czy też nie powinien być usłuchać głosu instynktu. Myśląc o tym, otworzył drzwi swego mieszkania. Karenin podskoczył mu do twarzy, ułatwiając chwilę powitania. Pragnienie, by rzucić się Teresie w objęcia (pragnienie, które czuł jeszcze w chwili, kiedy wsiadał w Zurychu do samochodu) całkiem

zniknęło. Wydawało mu się, że stoi naprzeciwko niej pośrodku śnieżnej pustyni i że oboje trzęsą się z zimna.

14.

Od pierwszego dnia okupacji samoloty rosyjskie całymi nocami krążyły nad Pragą. Tomasz odzwyczaił się od ich hałasu i nie mógł usnąć. Leżał przy śpiącej Teresie, przewracał się z boku na bok i przypominał sobie, co powiedziała mu kiedyś dawno, w trakcie jakiejś gadaniny bez znaczenia. Rozmawiali o jego przyjacielu Z. i ona stwierdziła nagle: „Wiesz, gdybym nie spotkała ciebie, na pewno bym się zakochała w nim”.

Już wówczas słowa te wprawiły Tomasza w stan dziwnej melancholii. Uświadomił sobie bowiem, że fakt, iż Teresa kocha jego, a nie Z., jest wyłącznie dziełem przypadku. Że oprócz jej urzeczywistnionej miłości do Tomasza istnieje w krainie możliwego nieskończona ilość niespełnionych miłości do innych mężczyzn.

Wszyscy uważamy, że jest nie do pomyślenia, by miłość naszego życia miała być czymś lekkim, czymś bez wagi.

Sądzimy, że nasza miłość musiała się spełnić, że bez niej nasze życie nie byłoby naszym życiem. Mamy wrażenie, że sam nachmurzony Beethoven ze swoją ogromną grzywą wygrywa naszej wielkiej miłości swoje *es muss sein!*

Tomasz rozmyślał nad uwagą Teresy o jego przyjacielu Z. i stwierdzał, że w dziejach miłości jego życia nie brzmi żadne *es muss sein!*, ale raczej *es konnte auch anders sein* — mogło być również inaczej. Przed siedmiu laty w szpitalu w mieście Teresy zdarzył się przypadkiem skomplikowany wypadek choroby mózgu, w związku z którym wezwano na pilną konsultację ordynatora Tomasza. Ale ordynator przypadkiem miał właśnie atak ischiasu, nie mógł się ruszać i w zastępstwie posłał do prowincjonalnego szpitala Tomasza. W mieście było pięć hoteli, ale Tomasz przypadkiem trafił właśnie do tego, w którym pracowała Teresa. Przypadkiem zostało mu trochę wolnego czasu do odjazdu pociągu i wszedł do restauracji. Teresa przypadkiem miała służbę i przypadkiem obsługiwała stolik Tomasza. Potrzebne było aż sześć przypadków, aby doprowadzić Tomasza do Teresy, jak gdyby jemu samemu nie chciało się do niej dojść.

Wrócił do Czech dla niej. Decyzja życiowej wagi opierała się o miłość tak przypadkową, że nie zaistniałaby ona w ogóle, gdyby jego szef nie zachorował przed siedmiu laty na ischias. I ta kobieta, to ucieleśnienie absolutnego przypadku leży teraz obok niego i głęboko oddycha przez sen.

Była późna noc. Czuł, że zaczyna się ból żołądka, który często go chwytął w chwilach duchowej udręki.

Jej oddech raz czy dwa przeszedł w delikatne chrapnięcie masz nie czuł w sobie żadnego współczucia. Jedyne, co czuł, to ciśnienie w żołądku i rozpacz, że wrócił.

CZEŚĆ II

Dusza i ciało

1.

Byłoby głupie, gdyby autor starał się wmówić czytelnikowi, że jego postaci istniały naprawdę. Nie zrodziły się one z ciała matki, ale z jednego czy dwóch sugestywnych zdań lub z jakiejś podstawowej sytuacji. Tomasz urodził się ze zdania: „einmal ist keinmal”. Teresa urodziła się z burczenia w brzuchu.

Kiedy po raz pierwszy przestąpiła próg mieszkania Tomasza, zaczęło jej burczeć w brzuchu. Nic dziwnego, nie jadła obiadu ani kolacji, tylko przed południem połknęła na dworcu kanapkę. Skupiła się na swej odważnej podróży i zapomniała o jedzeniu. Lecz kto nie myśli o swym ciele, ten tym łatwiej pada jego ofiarą. Było to straszne — stanąć przed Tomaszem i słyszeć głośnie dźwięki swych wnętrzności. Chciało jej się płakać. Na szczęście Tomasz po dziesięciu sekundach objął ją i mogła zapomnieć o odgłosach swych kiszek.

2.

Terese zrodziła więc sytuacja, która brutalnie odsłania niemożliwą do pogodzenia dwoistość ciała i duszy, podstawowe ludzkie doświadczenie.

Kiedyś dawno człowiek nadśluchiwał zdziwiony, jak w jego piersiach rozlega się dźwięk miarowych uderzeń i nie miał pojęcia, co to jest. Nie mógł utożsamiać się z czymś tak dziwnym i nieznanym jak jego ciało. Ciało było klatką, wewnątrz której żyło coś, co patrzyło, słuchało, bało się, myślało i dziwiło: to coś, ta reszta, która zostawała po odcedzeniu ciała, to była dusza.

Ale dziś ciało nie jest czymś nieznanym: wiemy, że to, co wali w piersiach, to serce, że nos jest zakończeniem szlauchu, który wystaje z ciała, by wprowadzić tlen do płuc. Głowa jest rodzajem tablicy rozdzielczej, do której podłączone są wszystkie mechanizmy ciała: czucie, widzenie, słyszenie, oddychanie, myślenie.

Od czasu, kiedy umiemy wszystko w nim nazwać, ciało mniej nas niepokoi. Wiemy również, że dusza nie jest niczym innym jak działalnością szarych komórek mózgu. Dwoistość duszy i ciała zasłoniły terminy naukowe i możemy się z niej śmiać jak ze staromodnego przesądu.

Ale wystarczy, że człowiek zakocha się jak wariat, a jednocześnie musi słuchać burczenia swych kiszek, by jedność ciała i duszy, ta liryczna iluzja wieku nauki, rozplynęła się natychmiast.

3.

Starła się zobaczyć siebie poprzez swoje ciało. Dlatego tak często stawiała przed lustrem. Ponieważ bała się, żeby matka nie przyłapała jej na tej czynności, jej spojrzenia w lustro miały odcień tajemnego występku.

Do lustra nie przyciągała jej pycha ani podziw, że widzi swoje ja. Zapominała, że patrzy na tablicę rozdzielczą cielesnych mechanizmów. Wydawało jej się, że widzi swą duszę, która daje się rozpoznać w rysach jej twarzy. Zapominała, że nos jest tylko przedłużeniem szlauchu doprowadzającego powietrze do płuc. Widziała w nim wierny wyraz swego charakteru.

Długo przyglądała się sobie i chwilami przeszkadzało jej, że widzi w swej twarzy rysy matki. Tym wytrwałej się sobie przyglądała, starając się je zetrzeć siłą woli tak, aby w jej twarzy pozostało tylko to, co jest nią samą. Kiedy się jej to udało, przeżyła upojenie: dusza wystąpiła na powierzchnię ciała jak armia, która wybiega spod pokładu, zalewa pomost, wymachuje rękami do nieba i śpiewa.

4.

Była podobna do matki nie tylko fizycznie. Czasem wydaje mi się, że jej życie było przedłużeniem życia jej matki, tak jak bieg kuli bilardowej po zielonym suknie jest tylko przedłużeniem ruchu ręki gracza.

Gdzie i kiedy rozpoczął ten ruch, który się później przemienił w życie Teresy?

Może w momencie, kiedy dziadek Teresy, praski kupiec, zaczął głośno czcić piękność swej córki, matki Teresy? Miała wtedy trzy albo cztery latka, a on jej opowiadał, że jest podobna do Madonny Rafaela. Czteroletnia matka Teresy dobrze to sobie zapamiętała i później, kiedy siedziała w ławce gimnazjalnej, zamiast słuchać nauczycieli zastanawiała się, do jakich obrazów jest podobna.

Kiedy nadszedł czas zamążpójścia, miała dziewięciu zalotników. Wszyscy klęczeli wokół niej. Stała w środku jak księżniczka i nie wiedziała, którego wybrać: jeden był przystojniejszy, drugi dowcipniejszy, trzeci bogatszy, czwarty bardziej wysportowany, piąty pochodził z lepszej rodziny, szósty recytował jej wiersze, siódmy zwiedził cały świat, ósmy grał na skrzypcach, a dziewiąty był najbardziej męski ze wszystkich. Ale wszyscy klęczeli zupełnie tak samo i mieli takie same odciski na kolanach.

Wybrała w końcu dziewiątego, nie ze względu na jego męskość, ale po prostu dlatego, że kiedy szeptała mu do ucha przy stosunku: „uwważaj... uważaj...”, on na przekór nie uważał i musiała wyjść za niego szybko, ponieważ nie udało jej się na czas znaleźć lekarza, który załatwiłby skrobankę. Tak urodziła się Teresa. Niezliczona rodzina zjechała z wszystkich zakątków kraju, schylała się nad wózeckiem i szczebiotała sepleniąc. Matka Teresy nie sepleniła. Milczała. Myślała o reszcie swych zalotników i wszyscy wydawali jej się lepsi niż ten dziewiąty.

Podobnie jak jej córka, matka Teresy lubiła patrzeć w lustro. Pewnego dnia stwierdziła, że jej oczy otoczone są siatką zmarszczek i powiedziała sobie, że jej małżeństwo jest nonsensem. Spotkała niemęskiego mężczyznę, który miał za sobą kilka defraudacji i dwa małżeństwa zakończone rozwodem. Nienawidziła kochanków z odciskami na kolanach. Miała dziką ochotę uklęknąć sama. Padła na kolana przed defraudantem i odeszła od swego męża i od Teresy.

Najbardziej męski mężczyzna stał się mężczyzną najbardziej smutnym. Był do tego stopnia smutny, że było mu wszystko jedno. Mówił wszędzie na głos, co myśli, więc komunistyczna policja, zgorszona jego bezczelnymi sądami, zaarrestowała go, osądziła i uwięziła. Teresę wygonili z zapieczetowanego mieszkania do matki. Najsmutniejszy mężczyzna wkrótce zmarł w więzieniu, a matka wraz z defraudantem i Teresą odjechała do małego miasta na podgórzu. Ojczym Teresy pracował w urzędzie, matka była sprzedawczynią w sklepie. Urodziła jeszcze troje dzieci. Potem znów spojrzała w lustro i zobaczyła, że jest stara i szkaradna.

5.

Kiedy skonstatowała, że straciła wszystko, zaczęła szukać winnego. Winni byli wszyscy: pierwszy mąż, męski i niekochany, który jej nie usłuchał, kiedy szeptała mu do ucha, żeby uważał. Drugi mąż, niemęski i ukochany, który wyciągnął ją z Pragi do małej miasteczki i młócił jedną kobietę za drugą, tak że ani na moment nie przestawała być zazdrosna. Wobec obydwu mężów była bezsilna. Jedynym człowiekiem, który do niej należał i nie mógł od niej uciec, jedynym zakładnikiem, który musiał płacić za całą resztę, była Teresa. Zresztą możliwe, że istotnie ona właśnie ponosiła winę za los matki. Ona, to znaczy absurdalne spotkanie spermy najbardziej męskiego z jajeczkiem najpiękniejszej. W tej fatalnej chwili, która nazywa się Teresa, zaczyna się szlak zmarnowanego życia matki. Wyjaśniała Teresie nieustannie, że być matką to znaczy wszystko poświęcić. Jej słowa brzmiały przekonywująco, ponieważ stały za nimi przeżycia kobiety,

która straciła wszystko przez swe dziecko. Teresa słucha i wierzy, że najwyższą wartością w życiu jest macierzyństwo i że macierzyństwo jest wielką ofiarą. Jeżeli macierzyństwo jest ucieleśnieniem Ofiary, los córki oznacza dług nie spłacenia.

6.

Teresa, oczywiście, nie знаła historii nocy, w której matka szeptała jej ojcu do ucha, żeby uważał. Wina, którą odczuwała, by niejasna jak pierwotny grzech. Robiła wszystko, by ją zmasać. Matka zabrała ją z gimnazjum; od piętnastego roku życia pracowała jako kelnerka; całą pensję oddawała matce. Była skłonna zrobić wszystko, żeby zasłużyć na jej miłość. Prowadziła dom, opiekowała się rodzeństwem, całe niedziele sprzątała i prała. Szkoda, była bowiem w gimnazjum najzdolniejszą uczennicą w klasie. Chciała zajść wyżej, ale w małym mieście nie było dla niej żadnego „wyżej”. Teresa prała bieliznę, a obok wanny leżała książka. Przewracała kartki i na książkę spadały krople wody.

W domu nie istniał wstyd. Matka chodziła po mieszkaniu w samej bieliznie, czasem bez biustonosza, w lecie nawet nago. Ojciec nie chodził na golasa, ale wpadał do łazienki zawsze, kiedy Teresa siedziała w wannie. Raz w związku z tym zamknęła się w łazience na klucz i matka zrobiła awanturę: „Za kogo ty się masz? Myślisz, że kim jesteś? Myślisz że ci ugryzie tę twoją piękność?” (Ta sytuacja pokazuje jasno, że nienawiść do córki była w matce silniejsza od zazdrości o męża. Wina córki była nieskończona i zawierała w sobie również zdrady męża.) To, że córka pragnęła się wyemancypować i domagała się swych praw — na przykład zamykając się w łazience — było dla matki trudniejsze do przyjęcia, niż ewentualne seksualne zainteresowanie męża Teresą.

Pewnego razu w zimie matka przechadzała się naga przy zapalonym świetle. Teresa szybko podbiegła zaciągnąć story, żeby nie zobaczono matki z domu naprzeciwko. Usłyszała za sobą jej śmiech. Następnego dnia przyszły do matki przyjaciółki: sąsiadka, koleżanka ze sklepu, miejscowa nauczycielka i jeszcze dwie czy trzy kobiety, które zwykły się regularnie spotykać. Teresa razem z szesnastoletnim synem jednej z nich weszła na chwilę do pokoju. Matka od razu to wykorzystwała, żeby opowiedzieć, jak jej córka chciała poprzedniego dnia ratować jej wstyd. Śmiała się, a wszystkie kobiety śmiały się wraz z nią. Potem matka powiedziała: „Teresa nie chce pogodzić się z faktem, że ludzkie ciało sika i pierdzi”. Teresa była purpurowa ze wstydu, ale matka kontynuowała: „A czy jest w tym coś złego?” i w odpowiedzi na swoje pytanie puściła głośno bąka. Wszystkie kobiety zarechotały.

7.

Matka donośnie smarka, opowiada ludziom głośno szczegóły swego życia seksualnego, demonstruje swoją sztuczną szczękę. Potrafi ją z godną podziwu zręcznością uwolnić językiem w ustach, tak żeby przy szerokim uśmiechu górna szczeka spadała na dolne zęby. Jej twarz nabiera wtedy straszliwego wyrazu.

Jej postępowanie nie jest niczym innym niż gwałtownym gestem, którym odrzuca swoją młodość i urodę. W czasach, gdy klęczało wokół niej dziewięciu zalotników, strzegła swej nagości pieczołowicie. Jak gdyby miarą wstydu chciała wyrazić miarę wartości, jaką ma jej ciało. Skoro porzuciła wstyd, to już ostatecznie, jak gdyby chciała poprzez swój bezwstyd uroczyście przekreślić pewien etap życia i wykrzyknąć, że młodość i uroda, które tak ceniła, nie mają w rzeczywistości żadnej wartości.

Wydaje się, że Teresa jest przedłużeniem tego gestu, którym matka odrzuca daleko za siebie swoje życie pięknej kobiety.

(Nie należy się dziwić, że ruchy Teresy są nerwowe, że brak im płynności — ten wielki gest matki, dziki, niszczycielski, na zawsze odcisnął się na ruchach Teresy.)

8.

Matka domaga się sprawiedliwości i chce, żeby winny został ukarany. Dlatego żąda, żeby córka towarzyszyła jej w świecie bezwstydu, w którym młodość i uroda nic nie znaczą, który jest tylko wielkim obozem koncentracyjnym podobnych do siebie ciał, spoza których nie przeziiera dusza.

Teraz łatwiej nam będzie zrozumieć sens tajemniczego występku Teresy, jej częstych i długich spojrzeń w lustro. Była to walka z matką. Było to pragnienie, by nie być ciałem jak inne, ale zobaczyć własną duszę, „armię, która wybiega spod pokładu”. Nie było to łatwe, bo dusza, smutna, nieśmiała i zahukana, schowała się w głębi wnętrza Teresy i wstydziła się pokazać.

Tak było właśnie tego dnia, w którym spotkała Tomasza. Przepychała się między pijakami w swojej restauracji, jej ciało ugięło się pod ciężarem kufli, które niosła do tacy, a dusza kryła się gdzieś w żołądku albo trzustce. Właśnie wtedy Tomasz odezwał się do niej. To odezwanie było istotne, ponieważ przyszło od kogoś, kto nie znał ani jej matki, ani pijaków, którzy codziennie robili jej swoje stereotypowe, sprośne propozycje. Statut obcego wywyższał go ponad innych. I jeszcze coś go wywyższało: na stole leżała otwarta książka. W tej gospodzie nikt jeszcze nigdy nie otworzył książki na stole. Książka była dla Teresy znakiem rozpoznawczym tajnego bractwa. Przeciwno światu brutalności, który ją otaczał miała tylko jedną obronę: książki, które wypożyczała w bibliotece miejskiej, szczególnie powieści - przeczytała ich mnóstwo, od

Fieldinga po Tomasza Manna. Umożliwiały jej imaginacyjną ucieczkę z życia, które jej nie zadowalało, ale miały również znaczenie jako przedmiot: chętnie przechadzała się po ulicy, trzymając książkę pod pachą. Miały dla niej takie samo znaczenie jak elegancka laseczka dla dandysa z zeszłego wieku. Odróżniały ją od reszty.

(Porównanie książki i eleganckiej laseczki dandysa nie jest całkiem dokładne. Laseczka nie tylko wyróżniała swego właściciela, ale czyniła go również modnym i nowoczesnym. Książka wyróżniała Teresę, ale czyniła ją staromodną. Była jednak zbyt młoda, by uświadamiać sobie własną anachroniczność. Młodzi ludzie, którzy przechadzali się obok niej z wrzeszczącymi tranzystorami w rękę wydawali jej się głupi. Nie zauważyła, że są nowocześni.)

Ten, który się do niej odezwał, był jednocześnie obcym i członkiem tajnego bractwa. Odezwał się do niej łagodnym głosem i Teresa poczuła, jak jej dusza przedziera się na powierzchnie wszystkim tętnicami, żyłami i porami, by mu się ukazać.

9.

Kiedy Tomasz powrócił z Zurychu do Pragi, ogarnęło go obrzydzenie na myśl o tym, że jego spotkanie z Teresą było wynikiem sześciu nieprawdopodobnych przypadków.

Ale czy wydarzenie nie jest tym bardziej znaczące i wyjątkowe, im więcej potrzeba było przypadków, aby mogło się wydarzyć? Tylko przypadek może wyglądać jak poselstwo losu. To, co jest nieuchronne, czego się spodziewamy, co powtarza się codziennie, jest nieme. Tylko przypadek do nas przemawia. Staramy się czytać w nim, jak Cyganki odczytują przyszłość z fusów na dnie filiżanki.

Dla Teresy Tomasz zjawił się w restauracji jako ucieleśnienie przypadku. Siedział przy stole nad otwartą książką. Podniósł na Teresę oczy i uśmiechnął się: „jeden koniak”.

W tym momencie z radia brzmiała muzyka. Teresa szła do barku po koniak i pokręciła gałką radia, aby muzyka zabrzmiała jeszcze głośniej. Rozpoznała Beethovena. Znała go od czasów, kiedy do ich miasta przyjechał kwartet z Pragi. Teresa (która, jak wiemy, marzyła „o czymś wyższym”) poszła na koncert. Sala była pusta. Razem z nią znajdowali się w niej tylko miejscowy aptekarz i jego żona. Tak więc na podium siedział kwartet muzyków, a na widowni trio słuchaczy, ale muzycy byli mili, nie odwołali koncertu i przez cały wieczór grali tylko dla nich trzy ostatnie kwartety Beethovena.

Aptekarz zaprosił później muzyków na kolację, a wraz z nimi nieznaną słuchaczkę. Od tego czasu Beethoven stał się dla niej symbolem innego świata, świata, do którego tęskniła. Kiedy niosła koniak do stolika Tomasza, starała się odczytać ten przypadek: jak to możliwe, że właśnie teraz, kiedy niesie koniak nieznanemu mężczyźnie, który jej się podoba, słyszy Beethovena?

Nie konieczność, ale przypadek ma w sobie czar. Jeśli miłość ma być miłością niezapomnianą; od pierwszej chwili muszą się ku niej zlatywać przypadki jak ptaki na ramiona św. Franciszka z Asyżu.

10.

Przywołał ją, chciał zapłacić. Zamykał książkę (znak rozpoznawczy tajnego bractwa), a ona miała ochotę spytać go, co czyta.

— Czy może mi to pani zapisać na rachunek mojego pokoju? — zapytał.

— Tak — odpowiedziała. — Jaki pan ma numer pokoju? Pokazał jej klucz, do którego była przyczepiona drewniana deseczka z namalowaną na czerwono szóstką.

— To dziwne - powiedziała. - Numer sześć.

— Co w tym dziwnego? - zapytał.

Przypomniała sobie, że kiedy mieszkała w Pradze z nierozwiedzionymi jeszcze rodzicami, jej dom miał numer sześć. Ale powiedziała coś innego (a my możemy docenić jej spryt):

— Pan ma szósty numer pokoju, a ja o szóstej kończę pracę.

— A ja mam o siódmej pociąg — odpowiedział nieznanomy mężczyzna.

Nie wiedziała, co na to odpowiedzieć, podała mu rachunek do podpisania i odniosła do recepcji. Kiedy kończyła pracę, obcego mężczyzny nie było już przy stoliku. Czy zrozumiał jej delikatną aluzję? Wychodziła z restauracji podniecona.

Naprzeciwko znajdował się rzadziutki park, biedny skwerek małego, brudnego miasteczka, który dla niej zawsze wyobrażał oazę piękna: był tam trawnik, cztery topole, ławeczka, wierzba płacząca i krzewy forsycji.

Siedział na żółtej ławce, z której było widać wyjście z restauracji. Właśnie na tej ławce siedziała wczoraj z książką! W tym momencie już wiedziała (ptaki przypadków zleciały się na jej ramiona), że ten nieznanomy mężczyzna jest jej sądzony. Zawołał ją, poprosił, żeby usiadła obok niego. (Armia jej duszy wystąpiła na pokład ciała...)

Potem odprowadziła go na dworzec, a on na pożegnanie dał jej swoją wizytówkę z numerem telefonu: „Gdyby pani przypadkiem była w Pradze...”

11.

W o wiele większym stopniu niż ta wizytówka, wręczona w ostatniej chwili, odwagi, by odejść z domu i zmienić swe życie dodał jej ten zbieg przypadków (książka, Beethoven, numer sześć, żółta ławka w parku). Możliwe, że właśnie tych kilka przypadków (zresztą całkiem skromnych, szarych, zaiste na miarę tego miasteczka bez znaczenia) sprawiło w ruch jej miłość i stało się źródłem energii. Która nie wyczerpała się do końca jej życia.

Nasze życie codzienne jest bombardowane przez przypadki, dokładniej mówiąc przez przypadkowe spotkania ludzi i zdarzeń, które nazywamy koincydencją. Koincydencja oznacza, że dwa niespodziewane wydarzenia występują jednocześnie, że się spotykają: Tomasz zjawia się w restauracji i jednocześnie rozbrzmiewa muzyka Beethovena. Ogromnej większości takich koincydencji człowiek w ogóle nie zauważa. Gdyby zamiast Tomasza przy stoliku w restauracji siedział miejscowy rzeźnik, Teresa w ogóle by nie zauważyła, że w radio grają Beethovena (choć spotkanie rzeźnika z Beethovenem jest również ciekawą koincydencją). Ale rodząca się właśnie miłość wyostrzyła w niej wrażliwość na piękno i nigdy już nie zapomni tej muzyki. Będzie wzruszona za każdym razem, kiedy ją usłyszy. Wszystko, co w tym momencie będzie się dziać wokół niej, zostanie opromienione tą muzyką i będzie piękne.

Na początku powieści, którą trzymała pod pachą, kiedy przyszła do Tomasza, Anna spotyka się z Wrońskim w przedziwnych okolicznościach. Znajdują się na peronie, w momencie, gdy ktoś wpada pod pociąg. Na końcu powieści rzuca się pod pociąg Anna. Tak symetryczna kompozycja, w której ten sam motyw pojawia się na początku i na końcu, może wam się wydawać bardzo „powieściowa”. Tak, zgadzam się, ale pod warunkiem, że nie będziemy rozumieć słowa „powieściowy” jako „wymyślony”, „sztuczny”, „nieżyłowy”. Ponieważ w taki sam sposób układają się losy ludzkie.

Są one skomponowane jak utwór muzyczny. Człowiek, którego wiedzie poczucie piękna, przemieni przypadkowy zbieg okoliczności (muzykę Beethovena, śmierć na peronie) w motyw, który już pozostanie w kompozycji jego życia. Powraca do niego, powtarza go, zmienia, rozwija - jak kompozytor temat swej sonaty. Anna mogła sobie odebrać życie również w inny sposób. Ale motyw peronu i śmierci, ten niezapomniany motyw złączony z momentem narodzin miłości, przyciągał ją w chwili rozpacz swym mrocznym pięknem. Nie wiedząc o tym, człowiek komponuje swe życie według praw piękna, nawet w chwilach najgłębszej rozpacz. Nie można więc mieć pretensji do powieści, że fascynują ją tajemnicze spotkania przypadków (takie jak spotkanie Anny, Wrońskiego, peronu i śmierci albo spotkanie Teresy, Tomasza, Beethovena i koniaku), ale można mieć pretensje do człowieka, że nie dostrzega w swym codziennym życiu takich przypadków i że jego życie traci w ten sposób swój wymiar piękna.

12.

Podniesiona na duchu przez ptaki przypadków, które zleciały się na jej ramiona, nie mówiąc nic matce, wzięła tydzień urlopu i wsiadła do pociągu. Często wstawiała, szła do ubikacji, aby spojrzeć w lustro i prosić duszę, by w decydującym dniu jej życia nie opuszczała ani na moment pokładu ciała. Kiedy tak patrzyła na siebie, nagle się przelękała: poczuła drapanie w gardle. Czyżby miała zachorować w decydującym dniu swego życia?

Ale nie było już odwrotu. Zadzwoniła do niego z dworca, a kiedy otworzył jej drzwi do mieszkania, zaczęło jej strasznie burczeć w brzuchu. Było to tak, jakby w jej brzuchu siedziała matka chichocząc, że udało jej się zepsuć spotkanie Teresy z Tomaszem.

Miała w pierwszej chwili uczucie, że musi ją w związku z tymi obrzydliwymi dźwiękami wygonić, ale on ją objął. Była mu wdzięczna, że nie zwraca uwagi na to burczenie i dlatego pocałowała go namiętnie, z mgłą przed oczyma. Kochali się zanim upłynęła minuta. Przy akcie miłosnym krzyczała. Miała już wtedy gorączkę. Dostała grypy. Szlauch dostarczający tlen do płuc był zatkany i czerwony.

Potem przyjechała po raz drugi z ciężką walizką, do której spakowała wszystkie swe rzeczy, zdecydowana nigdy już nie wracać do małego miasta. Zaprosił ją do siebie dopiero na następny wieczór. Przenocowała w tanim hotelu, następnego dnia zaniósła walizkę do przechowalni na dworcu i przez cały dzień wałęsała się po Pradze z „Anną Kareniną” pod pachą. Wieczorem zadzwoniła, otworzył drzwi, a ona nie puszczała książki z dłoni, jak gdyby był to bilet wstępu do świata Tomasza. Uświadomiła sobie, że poza tym jednym biedniutkim biletem nie ma niczego i chciało jej się płakać. Aby nie płakać, mówiło dużo i głośno i śmiała się. I znów niedługo po jej przyjściu wziął ją w objęcia i kochali się. Weszła w mgłę, w której nic nie było widać, słychać było tylko jej krzyk.

13.

To nie były westchnienia, jęki, to był naprawdę krzyk. Krzyczała tak głośno, że Tomasz odsuwał głowę od jej twarzy. Wydawało mu się, że jej głos brzmiący tuż koło jego ucha rozerwie mu bębenki. Ten krzyk nie był wyrazem zmysłowości. Zmysłowość jest maksymalną mobilizacją zmysłów: człowiek z napięciem obserwuje tego drugiego i wsłuchuje się w każdy jego głos. Jej krzyk — przeciwnie - chciał zagłuszyć zmysły, by nie widziały i nie słyszały. To krzyczał naiwny idealizm jej miłości, która chciała

zniszczyć wszystkie antynomie, zniszczyć dwoistość ciała i duszy, a może i czas. Czy miała zamknięte oczy? Nie, ale patrzyła do nikąd, wlepiła je w pustkę sufitu. Chwilami gwałtownie przekręcała głowę z boku na bok. Kiedy krzyk się skończył, usnęła przy jego boku i przez całą noc trzymała go za rękę.

Już kiedy miała osiem lat, usypiała ściskając jedną swą rączką drugą i wyobrażała sobie, że trzyma mężczyznę, którego kocha, mężczyznę swego życia. Jeśli więc teraz ścisnęła przez sen rękę Tomasza z taką wytrwałością, to dlatego, że od dzieciństwa to trenowała i przygotowywała się do tego.

14.

Dziewczyna, która zamiast „zajść wyżej”, musi roznosić piwo pijakom, a w niedzielę prac brudną bielizną rodzeństwa, gromadzi w sobie ogromny zapas witalności. o której nie śni się ludziom studiującym na uniwersytecie i ziewającym nad książkami. Teresa przeczytała więcej niż oni, dowiedziała się o życiu więcej niż oni, ale nigdy nie będzie tego świadoma. To, co odróżnia człowieka, który studiował od samouka, to nie miara wiedzy, ale różnica witalności i pewności siebie. Energia, z jaką Teresa rzuciła się po przyjeździe w życie, była jednocześnie namiętna i krucha. Jak gdyby czekała, że pewnego dnia ktoś jej powie: „Ty do nas nie należysz. Wracaj, skąd przysłaś!” Cała jej chęć życia wisiała na cieniutkim włosku – na głosie Tomasza, który kiedyś wyciągnął na wierzch jej duszę lekliwie ukrytą we wnętrzościach.

Dostała posadę w laboratorium fotograficznym, ale to jej nie wystarczało. Chciała sama fotografować. Sabina, przyjaciółka Tomasza, pożyczyła jej trzy, cztery monografie sławnych fotografików, spotkała się z nią w kawiarni i wyjaśniła jej nad otwartymi książkami, co w tych zdjęciach jest interesujące. Teresa słuchała jej w milczącym skupieniu, jakie mało który profesor widuje na twarzach swych uczniów. Dzięki Sabinie zrozumiała związek fotografii z malarstwem i zmuszała Tomasza, żeby z nią chodził na wszystkie wystawy, jakie się tylko odbywały w Pradze. Wkrótce udało jej się umieścić swe zdjęcie w tygodniku ilustrowanym i pewnego dnia z laborantki stała się zawodowym fotoreporterem tygodnika.

Tego wieczoru poszli do baru z przyjaciółmi, aby uczcić jej awans. Tańczyła. Tomasz wpadł w zły humor, a kiedy nalegała, żeby jej powiedział, co się stało, przyznał się wreszcie w domu, że był o nią zazdrosny, widząc, jak tańczy z jego kolegą.

— Naprawdę byłeś o mnie zazdrosny? — pytała go dziesiątki razy, jak gdyby jej oznajmił, że przyznano jej nagrodę Nobla, a ona nie mogła w to uwierzyć.

Potem objęła go w pole i zaczęła z nim krążyć po pokoju. To nie był taniec towarzyski, jak przed godziną w barze. Były to jakieś skoczne, szaleńcze wiejskie podskoki, w trakcie których wyrzucała wysoko w górę nogi, przytupywała i ciągnęła go po całym pokoju. Niestety, wkrótce sama zaczęła być zazdrosna, a jej zazdrość nie była dla Tomasza nagrodą Nobla, ale brzemieniem, które miało być zeń zdjęte dopiero niedługo przed śmiercią.

15.

Maszerowała wokół basenu naga, razem z mnóstwem innych nagich kobiet, Tomasz stał w koszu zawieszonym pod stropem basenu, krzyczał na nie i zmuszał je, żeby śpiewały i robiły przysiady. Gdy któraś źle wykonywała ćwiczenia, zabijał ją strzałem z pistoletu.

Chcę jeszcze raz powrócić do tego snu: jej groza nie rozpoczęła się w chwili, kiedy Tomasz oddał pierwszy strzał. Sen był straszny

od samego początku. Iść nago marszowym krokiem wśród innych nagich kobiet – to był dla Teresy najbardziej podstawowy obraz koszmaru. Kiedy mieszkała u matki, nie wolno jej było zamykać się w łazience. Matka chciała jej w ten sposób powiedzieć: twoje ciało jest takie samo, jak wszystkie inne ciała; nie masz żadnego prawa do wstydu; nie masz żadnego powodu, by ukrywać to, co istnieje i tak w miliardach identycznych egzemplarzy. W świecie matki wszystkie ciała były takie same i maszerowały w szeregu za sobą. Nagość była dla Teresy od dzieciństwa znakiem obowiązkowego uniformizmu obozu koncentracyjnego, znakiem poniżenia.

Ale jeszcze jedna rzecz była koszmarna od samego początku snu: wszystkie kobiety musiały śpiewać! Nie tylko ich ciała były identyczne, identycznie nic nie warte, nie tylko były dźwięczącymi mechanizmami bez duszy, ale do tego cieszyły się z tego! Była to radosna solidarność bezdusznych. Kobiety były szczęśliwe, że odrzuciły brzemień duszy, tę śmieszoną pychę, iluzję wyjątkowości, indywidualności, że każda jest podobna do każdej. Teresa śpiewała wraz z nimi, ale nie cieszyła się. Śpiewała ze strachu, że kiedy przestanie śpiewać, kobiety ją zabiją.

Ale co to znaczyło, że Tomasz do nich strzelał i że jedna po drugiej martwe padały do basenu?

Kobiety, które cieszą się ze swej jednakowości i nierozróżnialności, witają z radością swą przyszlą śmierć, która ich jednakowość uczyni absolutną. Wystrzał był więc tylko szczęśliwym uwieńczeniem ich makabrycznego marszu. Dlatego po każdym wystrzale zaczynały się radośnie śmiać i kiedy trup osuwał się pod powierzchnię wody, one śpiewały jeszcze głośniej.

A dlaczego tym, który strzelał, był właśnie Tomasz i dlaczego chciał zastrzelić również Teresę?

Dlatego, że to on właśnie posłał pomiędzy nie Teresę. To właśnie ten sen chce zakomunikować

Tomaszowi, ponieważ Teresa nie umie mu tego sama powiedzieć. Przyszła do niego, by uciec ze świata matki, ze świata, w którym wszystkie ciała były sobie równe. Przyszła do niego po to, by jej ciało stało się czymś wyjątkowym, nie do zastąpienia. A on tymczasem postawił znak równości pomiędzy nią a innymi: wszystkie tak samo całuje, tak samo gładzi, nie robi żadnego, żadnego rozróżnienia pomiędzy ciałem Teresy i innymi ciałami. A więc posłał ją z powrotem do tego świata, z którego chciała uciec. Kazał jej nago maszerować razem z innymi nagimi kobietami.

16.

Śniły jej się na przemian trzy serie snów: pierwsza, w której szalały kotki, opowiadała o jej cierpieniach za życia. Druga pokazywała w nieskończonych wariantach obraz jej egzekucji. Trzecia mówiła o jej życiu po śmierci, kiedy poniżenie staje się stanem nieskończonym.

W tych snach nie było niczego do odszyfrowywania. Oskarżenie kierowane pod adresem Tomasza było tak jasne, że mógł tylko milczeć i ze spuszczoną głową gładzić rękę Teresy.

Oprócz tego, że były wymowne, jej sny były również piękne. Okoliczności tej nie dostrzegł Freud w swojej teorii snów. Sen jest nie tylko komunikatem (ewentualnie zaszyfrowanym komunikatem), ale również aktywnością estetyczną, grą wyobraźni, która jest wartością sama w sobie. Sen jest dowodem na to, że fantazja, marzenie o czymś, co się nie wydarzyło, należy do najgłębszych potrzeb człowieka. I tu jest korzeń zdradliwego niebezpieczeństwa snów. Gdyby sen nie był piękny, można by o nim szybko zapomnieć. A tymczasem Teresa wciąż powracała w myślach do swych snów, powtarzała je sobie w duchu, przemieniała w legendy. Tomasz żył pod hipnotycznym czarem męczącego piękna snów Teresy.

— Tereso, Teresko, dokąd mi odchodzisz? Przecież ty codziennie śnisz o śmierci, jak gdybyś naprawdę chciała odejść... – mówił jej, kiedy siedzieli koło siebie w kawiarni.

Był dzień, rozum i wola znów miały władzę. Kropelka czerwonego wina powoli ściekała po ściance kieliszka, a Teresa mówiła:

— Tomasz, to nie moja wina. Przecież ja wszystko rozumiem. Ja wiem, że mnie kochasz. Wiem, że te niewierności to nie jest żadna tragedia...

Patrzyła na niego z miłością, ale bała się nocy, która przyjdzie, bała się swoich snów. Jej życie rozpołowiło się. Walczyły o nią dzień z nocą.

17.

Ten, który ciągle chce zajść „gdzieś wyżej”, musi liczyć się z faktem, że pewnego dnia poczuje zawrót głowy. Cóż to jest zawrót? Lęk przed upadkiem? Ale czemu odczuwamy zawrót głowy również na szczycie wieży otoczonej bezpieczną barierą? Zawrót głowy to coś innego niż lęk przed upadkiem. Zawrót głowy oznacza, że nas ta głębia pod nami przyciąga, wabi, budzi w nas pragnienie upadku, przed którym bronimy się strachem.

Pochód nagich kobiet wokół basenu, trupy w wozie pogrzebowym, które cieszyły się, że Teresa jest martwa jak one, to było „na dole”, którego się lękała, skąd raz uciekła, ale który ją tajemnie wabił. To był jej zawrót głowy: wzywała ją do siebie słodka (prawie wesoła) rezygnacja z losu i z duszy. Wzywała ją do siebie solidarność bezdusznych i w chwilach słabości miała ochotę usłuchać tego wezwania i wrócić do matki. Miała chęć odwołać armię duszy z pokładu ciała; usiąść wśród przyjaciółek matki i śmiać się z tego, że któraś z nich głośno pierdnęła; maszerować wraz z nimi nago wokół basenu i śpiewać.

18.

To prawda, że aż do odejścia z domu Teresa walczyła z matką, ale nie zapominajmy, że przy tym nieszczęśliwie się w niej kochała. Była w stanie zrobić dla niej wszystko, gdyby tylko matka poprosiła ją o to głosem miłości. Siłą by odejść znalazła tylko dlatego, że nigdy tego głosu nie usłyszała.

Kiedy matka zrozumiała, że agresywnością niczego już u córki nie wskóra, zaczęła pisać do niej listy pełne skarg. Skarżyła się na męża, na szefa, na zdrowie, na dzieci i nazywała Teresę jedynym człowiekiem, jaki jej w życiu pozostał. Teresie wydawało się, że słyszy wreszcie głos matczynej miłości, głos, do którego tęskniła przez dwadzieścia lat. Miała ochotę wrócić. Tym bardziej tego pragnęła, im była słabsza. Zdrady Tomasza nagle odsłoniły jej własną bezradność, a poczucie bezradności rodziło zawrót głowy, bezbrzesne pragnienie upadku.

Pewnego razu matka zatelefonowała. Podobno ma raka. Jej życie można obliczać już tylko na miesiące. Ta wiadomość przemieniła rozpacz Teresy spowodowaną zdradami Tomasza w bunt. Robiła sobie wyrzuty, że zdradziła matkę dla mężczyzny, który jej nie kocha. Była skłonna zapomnieć wszystko, czym matka jej dokuczała. Przecież obydwie są w takiej samej sytuacji: matka kocha ojczyma tak, jak Teresa kocha Tomasza, a ojciec zdręcza matkę zdradami tak, jak Tomasz zdręcza Teresę. Jeśli matka była dla Teresy niedobra, to tylko dlatego, że zbyt wiele musiała wycierpieć.

Powiedziała Tomaszowi o chorobie matki i oznajmiła mu, że weźmie tydzień urlopu, aby móc do niej pojechać. Jej głos był pełen buntu.

Jak gdyby czując, że do matki przyciąga ją zawrót głowy, To masz nie życzył sobie tej podróży. Zadzwoił do szpitala w małym mieście. Ewidencja zachorowań na raka jest w Czechosłowacji szalenie dokładna, tak że bez trudu mógł stwierdzić, że u matki Teresy nie było śladu podejrzenia raka; nawet nie odwiedziła w ostatnim roku lekarza.

Usłuchała Tomasza i nie pojechała do matki. Ale jeszcze tego samego dnia upadła na ulicy i rozbiła sobie kolano. Jej chód stał się niepewny, prawie codziennie gdzieś się przewracała, o coś się raniła, a przynajmniej wypadła jej z ręki jakiś przedmiot.

Było w tym nieodparte pragnienie upadku. Żyła w ciągłym zawrocie głowy.

Ten, który upada, mówi: „Podnieś mnie!” Tomasz ją cierpliwie podnosił.

19.

„Chciałabym kochać się z tobą w mojej pracowni, jak gdyby to była scena. Wokół staliby ludzie i nie mieliby prawa zbliżyć się ani na krok. Ale nie mogliby spuścić z nas wzroku...”

Z biegiem czasu obraz ten tracił swe początkowe okrucieństwo zaczął ją coraz bardziej podniecać. Kilkakrotnie przywoływali szeptem tę sytuację, kiedy kochali się z Tomaszem.

Przyszło jej do głowy, w jaki sposób uniknąć osądu, jaki dostrzegała w zdradach Tomasza: niech ją bierze ze sobą! Niech bierze ją razem ze swymi kochankami! Może to był sposób, by uczynić jej ciało znów wyjątkowym, pierwszym wśród wszystkich. Jej ciało stałoby się jego *alter ego*, jego pomocnikiem i asystentem.

— Będę ci je rozbierać, myć w wannie, a potem ci je przyprowadzę... - szeptała do niego, kiedy leżeli przytuleni do siebie. Pragnęła, aby stali się jedną hermafrodyczą istotą, a ciała innych kobiet byłyby ich wspólną zabawką...

20.

Stać się *alter ego* jego poligamicznego życia! Tomasz nie chciał tego zrozumieć, ale ona nie mogła się pozbyć tej wizji i starała się zbliżyć z Sabiną. Zaproponowała, że zrobi jej serię zdjęć.

Sabina zaprosiła ją do pracowni i Teresa zobaczyła wreszcie rozległe pomieszczenie, na środku którego stał szeroki kwadratowy tapczan – jak podium.

— To wstyd, że jeszcze u mnie nie byłaś! – powiedziała Sabina i pokazała jej obrazy, które były oparte o ścianę. Wyciągnęła nawet skądś stare płótno, które malowała jeszcze w szkole. Widać było na nim budowę huty. Malowała je w czasach, kiedy na uczelni wymagano surowego realizmu (sztuka nierealistyczna była uważana za zamach na socjalizm), a Sabina wiedziona duchem przekory starała się być jeszcze surowsza od swych profesorów i malowała obrazy w taki sposób, by dotknięcia pędzla były niewidoczne i by przypominały kolorową fotografię.

— Ten obraz zepsułam. Kapnęła mi na płótno czerwona farba. Z początku byłam wściekła, ale potem ta plama zaczęła mi się podobać, wyglądała jak pęknięcie, jak gdyby huta nie była prawdziwą hutą, ale pękniętą dekoracją teatralną, na której huta jest tylko namalowaną iluzją. Zaczęłam bawić się tą szczeliną, poszerzać ją, wymyślać, co mogłoby być za nią widoczne. Tak namalowałam mój pierwszy cykl obrazów, który nazwałam „kulisy”. Nikt oczywiście nie mógł ich oglądać. Wyrzuciliby mnie ze szkoły. Zawsze na pierwszym planie był doskonale realistyczny świat, a za nim, jak gdyby za rozerwanym płótnem dekoracji, można było zobaczyć coś innego, tajemniczego albo abstrakcyjnego.

Zamilkła na chwilę, a potem jeszcze dodała:

— Na pierwszym planie było zrozumiałe kłamstwo, a w tle niezrozumiała prawda.

Teresa znów przysłuchiwała się z tym wspaniałym skupieniem, które mało który profesor widuje na twarzy swych uczniów i stwierdzała, że naprawdę wszystkie obrazy Sabiny, i dawne, i współczesne, mówią ciągle o tym samym, że wszystkie są jednoczesnym spotkaniem dwóch tematów, dwóch światów i że są jak zdjęcia zrobione przez podwójną ekspozycję. Krajobraz, spoza którego prześwituje nocna lampka. Ręka, która od tyłu rozrywa idylliczną martwą naturę z jabłkami, orzechami i rozświetloną choinką.

Poczuła podziw dla Sabiny, a ponieważ malarka zachowywała się bardzo przyjaźnie, podziwowi temu nie towarzyszył strach czy nieufność, ale przemieniał się on w sympatię.

Prawie zapomniiała, że przyszła tu robić zdjęcia. Sabina musiała jej o tym przypomnieć. Oderwała oczy od obrazów i znów zobaczyła tapczan, który stał pośrodku pomieszczenia jak scena.

21.

Przy tapczanie stała szafka nocna, a na niej forma w kształcie ludzkiej głowy. Dokładnie takie same mają fryzjerzy i wsadzają na nie peruki. U Sabiny nasadzona na nią była nie peruka, ale melonik. Sabina uśmiechnęła się.

— To jest melonik po moim dziadku.

Taki melonik, czarny, twardy, okrągły Teresa widziała dotąd tylko w filmach. Taki kapeluszek nosił Chaplin. Uśmiechnęła się, wzięła melonik do ręki i długo mu się przyglądała. Potem powiedziała:

— Chcesz, żebym cię w nim sfotografowała? Sabina długo śmiała się z tego zapytania. Teresa

odłożyła melonik, wzięła aparat i zaczęła fotografować. Kiedy trwało to już prawie godzinę, spytała nagle:

— Nie chcesz, żebym cię sfotografowała nago?

— Nago? - zaśmiała się Sabina.

— Tak - powtórzyła odważnie swą propozycję Teresa.

— No, to musimy coś wypić - powiedziała Sabina i otworzyła butelkę wina.

Teresa czuła słabość w całym ciele, była skulona i milcząca, podczas kiedy Sabina chodziła po pracowni ze szklanką wina i rozgadała się o dziadku, który był starostą w małym mieście; Sabina nigdy go nie знаła, a wszystko, co po nim pozostało, to ten melonik i jeszcze zdjęcie, na którym widać trybunę i stojących obok siebie kilku małomiasteczkowych notabli; jednym z nich jest dziadek; nie jest jasne, co robią na tej trybunie, chyba uczestniczą w jakiejś uroczystości albo odsłaniają pomnik jakiegoś innego notabla, który również nosił przy uroczystych okazjach melonik.

Sabina długo opowiadała o dziadku i o meloniku, a kiedy dopiła trzecią szklankę, powiedziała: „Poczekaj” i odeszła do łazienki.

Wróciła w płaszczu kąpielowym. Teresa wzięła aparat i przyłożyła wizjer do oka. Sabina odsłoniła przed nią płaszcz.

22.

Aparat służył Teresie jednocześnie za mechaniczne oko, przez które obserwowała kochankę Tomasza i za zasłonę, za którą ukrywała przed nią swą twarz.

Sabina potrzebowała nieco czasu, zanim zdecydowała się całkowicie odrzucić swój szlafrok. Sytuacja, w której się znalazła, okazała się jednak trudniejsza, niż przypuszczała. Kiedy fotografowanie trwało już kilka minut, podeszła do Teresy i powiedziała:

— A teraz ja będę fotografować ciebie. Rozbierz się.

Słowa „rozbierz się” Sabina słyszała wielokrotnie z ust Tomasza i utkwiły jej one w pamięci. Był to więc rozkaz Tomasza, który teraz kochanka Tomasza adresowała żonie Tomasza. Połączył on obydwie kobiety jednym magicznym zdaniem. Była to jego metoda; tak zamieniał nieoczekiwanie niewinną wymianę zdań z kobietami w sytuację erotyczną; nie przez czułe dotknięcie, pieszczotę, komplement, prośbę, ale poprzez rozkaz, który wypowiadał nagle, nieoczekiwanie, cichym głosem, ale jednak dobitnie i autorytatywnie i z takim jakby fizycznym dystansem: nigdy w tym momencie nie dotykał kobiety. Do Teresy również mówił często zupełnie takim samym tonem: „Rozbierz się!”, i nawet kiedy mówił to zupełnie cicho, nawet kiedy szeptał, był to jednak rozkaz i ona zawsze odczuwała w tym momencie podniecenie, płynące z faktu, że się poddaje. Teraz usłyszała te same słowa i ochota, by się im poddać była jeszcze większa dlatego, że poddanie się komuś obcemu jest szczególnym szaleństwem, szaleństwem w tym wypadku tym wspanialszym, że rozkaz wypowiada nie mężczyzna, ale kobieta.

Sabina zabrała jej aparat i Teresa rozebrała się. Stała przed Sabiną naga i rozbrojona. Dosłownie rozbrojona, bo bez aparatu, za którym przed chwilą ukrywała twarz i którym jednocześnie jak strzelbą mierzyła w Sabinę. Była wydana na łaskę kochanki Tomasza. To wspaniałe poddanie się ją oszałamiało. Pragnęła, by sekundy, w których stoi naprzeciw niej naga, nigdy się nie skończyły.

Myślę, że Sabina również poczuła ten dziwny czar sytuacji, w której żona jej kochanka stoi przed nią, zdumiewająco bezbronna i wstydliva. Dwa albo trzy razy nacisnęła migawkę, a potem, jakby zlekła się tego oczarowania i chciała je jakoś spłoszyć, głośno się zaśmiała. Teresa roześmiała się również i obydwie kobiety ubrały się.

23.

Wszystkie poprzednie zbrodnie Rzeszy rosyjskiej były zakryte dyskretnym cieniem. Deportacja milionów Litwinów, zamordowanie setek tysięcy Polaków, likwidacja Tatarów krymskich, wszystko to pozostało w pamięci bez żadnego fotograficznego dokumentu, więc właściwie jako coś nie do udowodnienia, coś, co wcześniej a później będzie można ogłosić za mistyfikację. W przeciwieństwie do tego inwazja na Czechosłowację w roku 1968 jest w całości obfotografowana i sfilmowana i dokumenty te leżą w archiwach całego świata. Czescy fotoreporterzy i operatorzy uświadomili sobie, że właśnie oni mogą zrobić to jedyne, co można było jeszcze zrobić zachować dla odległej przyszłości obraz gwałtu. Teresa przez całe siedem dni była na ulicach i fotografowała rosyjskich żołnierzy i oficerów we wszystkich sytuacjach, które ich kompromitowały. Rosjanie nie wiedzieli, co robić. Byli dokładnie poinstruowani, ja się mają zachowywać, kiedy ktoś będzie do nich strzelał albo rzucał kamieniami, ale nie mieli żadnych instrukcji, co robić, gdy ktoś wymierzy w nich obiektyw aparatu.

Zrobiła mnóstwo filmów. Mniej więcej połowę rozdała w formie niewywołanych negatywów dziennikarzom zagranicznym (granice były wciąż otwarte, dziennikarze przyjeżdżali z zagranicy przynajmniej na chwilę i byli wdzięczni za każdy dokument). Wiele spośród nich znalazła później w najrozmaitszych zagranicznych gazetach: były na nich czołgi, groźące pięści, zburzone domy, zabici przykryci czerwonobiałoniebieską flagą, młodzi chłopcy na motocyklach, którzy z wściekłą szybkością

jeździli wokół rosyjskich czołgów i wymachiwali flagami czeskimi na długich drzewcach, młode dziewczyny w bardzo krótkich spódniczkach, które prowokowały nieszczęsnych zgłodniałych seksualnie rosyjskich żołnierzy całowały się na ich oczach z przypadkowymi przechodniami. Mówiłem już, że inwazja rosyjska była nie tylko tragedią, ale również świętem nienawiści pełnym przedziwnej euforii.

24.

Wzięła ze sobą do Szwajcarii około pięćdziesięciu fotografii, które sama wywołała z całą swą starannością i talentem. Poszła zaproponować je wielkiemu magazynowi ilustrowanemu. Redaktor przyjął ją życzliwie (wszyscy Czesi nosili jeszcze wokół głowy aureolę swego nieszczęścia, które wzruszało dobrych Szwajcarów), usadził ją w fotelu, przeglądał zdjęcia, chwalił je i wyjaśnił, że teraz, kiedy od wydarzeń upłynął już pewien czas, gazeta jego nie jest opublikowaniem zdjęć zainteresowana („mimo, że są bardzo piękne!”).

— Ale w Pradze nic się jeszcze nie skończyło! – protestowała i starała się mu wyjaśnić swym słabym niemieckim, że właśnie teraz kiedy kraj jest okupowany, w fabrykach, na przekór wszystkiemu, powstają rady robotnicze, studenci strajkują i cały kraj żyje swym życiem. Przecież to właśnie jest wspaniałe! I nikogo to nie interesuje!

Redaktor poczuł ulgę, kiedy do pokoju weszła energiczna kobieta i przerwała im rozmowę. Podała mu teczkę i powiedziała:

— Ma pan tu reportaż o plaży nudystów.

Redaktor był delikatnym człowiekiem i bał się, że Czeszka, która fotografowała czołgi, będzie uważać zdjęcia nagich ludzi za coś frywolnego. Dlatego położył teczkę daleko od siebie i szybko zwrócił się do kobiety:

— Przedstawiam ci naszą praską koleżankę. Przyniosła wspaniałe zdjęcia. Kobieta uścisnęła Teresie rękę i wzięła od niej zdjęcia.

— Niech pani tymczasem obejrzy moje – powiedziała. Teresa schyliła się nad teczką i wyjęła z niej fotografie. Redaktor zwrócił się do Teresy prawie przepaszająco:

— To jest dokładne przeciwieństwo tego, co pani fotografowała.

— Przeciwnie. To jest to samo – odpowiedziała Teresa.

Nikt nie zrozumiał tego zdania i ja również mam pewne kłopoty, kiedy chcę wyjaśnić, co Teresa miała na myśli, porównując plażę nudystów do inwazji rosyjskiej. Przeglądała zdjęcia i na dłużej zatrzymała się przy jednym, na którym stała obok siebie czteroosobowa rodzina: naga matka pochylona nad dziećmi, tak, że wielkie piersi zwisały jej jak krowie albo kozie wymiona, a z drugiej strony, podobnie nachylony, mężczyzna, którego genitalia wyglądały jak wymię miniaturowe.

— Nie podobają się pani? – spytał redaktor.

— Jest to wspaniałe sfotografowane.

— Raczej temat jest szokujący – powiedziała fotoreporterka. — Od razu można po pani poznać, że nigdy nie poszłaby pani na plażę nudystów.

— Nie, nie poszłabym – odpowiedziała Teresa.

— Można jednak rozpoznać, skąd pani pochodzi. Komunistyczne kraje są strasznie purytańskie – uśmiechnął się redaktor. Fotoreporterka powiedziała z macierzyńską łagodnością:

— Nagie ciała, cóż to takiego! To jest normalne. Wszystko, co normalne jest piękne!

Teresa przypomniała sobie swą matkę, która nago chodziła po mieszkaniu. Słyszała w duchu śmiech, który rozległ się za jej plecami, kiedy biegła zaciągnąć zasłony, żeby nikt nie zobaczył jej matki nagiej.

25.

Fotoreporterka zaprosiła Teresę na kawę do bufetu.

— Te zdjęcia, które pani zrobiła są bardzo ciekawe. Zauważyłam, że ma pani szaloną wrażliwość na ciało kobiece. Wie pani, co mam na myśli... Te młode dziewczyny w takich prowokacyjnych ustawieniach...

— Te, które całują się przed rosyjskimi czołgami?

— Tak. Byłaby pani świetną fotografką mody. Tylko trzeba byłoby nawiązać kontakt z jakąś modelką. Najlepiej z kimś, kto sam dopiero stara się przebić, podobnie jak pani. Mogłaby pani zrobić kilka zdjęć, żeby się móc zaprezentować. Oczywiście, potrzeba nieco czasu, żeby się przebić. Tymczasem mogłabym zrobić dla pani jedną rzecz. Przedstawię panią redaktorowi, który prowadzi u nas rubrykę „Nasz ogródek”. Możliwe, że będzie potrzebował jakichś zdjęć kaktusów, róż i tak dalej.

— Bardzo pani dziękuję – powiedziała Teresa szczerze; wiedziała, że kobieta siedząca naprzeciwko jest pełna dobrej woli.

Ale potem powiedziała sobie: po co miałabym fotografować kaktusy? I poczuła niesmak na myśl o tym, że miałaby powtarzać to, co już raz przeżyła w Pradze: walkę o pracę, o karierę, o każde opublikowane zdjęcie. Powodem jej ambicji nigdy nie była próżność. To, czego pragnęła, to była ucieczka ze świata matki. Tak, stało się to dla niej całkiem jasne: pracowała nad fotografią bardzo gorliwie, ale równie dobrze mogła tę

gorliwość ofiarować jakiegokolwiek innej działalności, ponieważ fotografowanie było jedynie środkiem, by zejść „gdzieś wyżej” i żyć obok Tomasza.

— Wie pani... Mój mąż jest lekarzem i zarobi również na mnie, Nie muszę fotografować — powiedziała. Fotoreporterka odpowiedziała:

— Nie rozumiem, jak mogłaby pani porzucić fotografowanie, kiedy robi pani tak wspaniałe zdjęcia. Tak, fotografowanie w dniach inwazji to było coś całkiem innego. Nie robiła tego ze względu na Tomasza. Była to namiętność. Ale nie namiętność do fotografowania, tylko namiętność nienawiści. Taka sytuacja już się nigdy nie powtórzy. Zresztą właśnie tych fotografii, które robiła z taką namiętnością, nikt już dziś nie chce, bo nie są już aktualne. Tylko kaktus jest wiecznie aktualny. Ale kaktusy nic jej nie obchodzą.

— Jest pani bardzo dobra dla mnie. Ale wolę siedzieć w domu. Nie muszę mieć pracy – powiedziała. Fotoreporterka zapytała:

— I to pani wystarczy, siedzieć w domu?

— Wolę to niż fotografować kaktusy - odpowiedziała Teresa.

— Nawet jeśli są to tylko kaktusy, jest to pani życie. Kiedy żyje pani tylko dla swego męża, to nie jest pani życie. Teresa poczuła nagle rozdrażnienie:

— Moje życie to mój mąż, a nie kaktusy.

Również fotoreporterka mówiła z rozdrażnieniem:

— Chce mi pani może powiedzieć, że jest pani szczęśliwa?

— Oczywiście, że jestem szczęśliwa! - odpowiedziała Teresa (wciąż tak samo rozdrażniona).

— Coś takiego może powiedzieć tylko... – fotoreporterka nie chciała dokończyć. Teresa dokończyła za nią:

— Chciała pani powiedzieć: tylko bardzo ograniczona kobieta. Fotoreporterka opanowała się i powiedziała:

— Nie ograniczona. Anachroniczna.

— Ma pani rację. Dokładnie to samo mówi o mnie mój mąż – odpowiedziała Teresa zamyślając się.

26.

Ale Tomasz całymi dniami siedział w szpitalu, a ona była sama w domu. Dobrze chociaż, że miała Karenina, z którym mogła chodzić na długie spacerunki! Kiedy wracała do domu, zasiadała nad podręcznikami niemieckiego i francuskiego. Ale było jej smutno i nie mogła się skupić. Często przypominało jej się przemówienie, które Dubczek wygłosił przez radio po swym powrocie z Moskwy. Zapomniała kompletnie, co mówił, ale wciąż słyszała jego drżący głos. Myślała o nim: obcy żołnierze zaaresztowali go, przywódcę suwerennego państwa w jego własnym kraju, wywieźli, trzymali przez cztery dni gdzieś w ukraińskich górach, dawali mu do zrozumienia, że go zastrzelą, jak to zrobili przed dwunastu laty z jego węgierskim poprzednikiem Imre Nagy, potem zawieźli go do Moskwy, kazali się wykapać, ogolić, ubrać, zawiązać krawat, oznajmili, że egzekucji nie będzie, zarządzili, że znów musi się uważać za przywódcę państwa, usadzili go za stołem naprzeciwko Breżniewa i zmusili do pertraktacji. Wrócił potem poniżony i przemawiał do poniżonej narodu. Był tak poniżony, że nie był w stanie mówić. Teresa nigdy nie zapomniała tych strasznych pauz w środku zdań. Czy był aż tak zmęczony? Chory? Zatruli go narkotykami? Albo była to po prostu rozpacz? Jeśli po Dubczeku nie pozostanie nic innego, to zostaną na pewno te straszne, długie pauzy, w których nie mógł oddychać, w których łapał oddech na uszach całego narodu przylepionego do radioodbiorników. W tych pauzach zawierał się cały koszmar, który spadł na ich ziemię. Było to siódmego dnia inwazji, słuchała jego wystąpienia w redakcji jednego z dzienników, który i tych dniach zmienił się w gazetę ruchu oporu. Wszyscy, którzy tam wtedy słuchali Dubczeka, nienawidzili go. Mieli mu za złe kompromis, na który poszedł, czuli jak jego poniżenie ich poniża, jego słabość ich obraża.

Kiedy teraz w Zurychu wspomina ten moment, nie czuje już dla Dubczeka pogardy. Słowo słabość nie brzmi już dla niej jak wyrok. W konfrontacji z przemocą człowiek zawsze jest słaby, choćby miał ciało atlety jak Dubczek. Ta słabość, która wydawała się im wtedy nieznośna, odrażająca i która wyгнаła ich z kraju, nagle zaczęła ją przyciągać. Uświadomiła sobie, że przynależy do słabych, do obozu słabych, do kraju słabych i że powinna dochować im wierności właśnie dlatego, że są słabi i że muszą z trudem łapać oddech w środku zdania.

Ta słabość przyciągała ją jak przepaść. Przyciągała ją, ponieważ ona sama czuła się słaba. Znów zaczęła być zazdrosna i znów trzęsły się jej ręce. Tomasz widział to i zrobił gest, który dobrze znała, wziął jej dłonie w swoje i chciał je uspokoić silnym uściskiem. Wyrwała mu je.

— Co ci jest? – spytał.

— Nic.

— Co chcesz, żebym zrobił dla ciebie?

— Chcę, żebyś był stary. O dziesięć lat starszy! O dwadzieścia lat starszy!

Chciała przez to wyrazić: chcę, żebyś był słaby. Żebyś był równi słaby jak ja.

27.

Karenin nigdy nie pragnął przeprowadzki do Szwajcarii. Karenin nienawidził zmian. Czas pieska nie biegnie w linii prostej, nie posuwa się wciąż do przodu, od jednego zdarzenia do drugiego. Rozgrywa się w kręgu, podobnym do ruchu wskazówek zegara, które również nie biegają wariacko naprzód, ale kręcą się w kółko po cyferblacie, dzień po dniu powtarzając tę samą trasę. Wystarczyło, żeby kupili w Pradze nowe krzesło albo przestawili doniczkę, aby Karenin z niesmakiem na to zareagował. Wytrącało go to z jego czasu. Jak gdyby ktoś wskazówkom na cyferblacie wciąż podmieniał cyfry godzin.

Pomimo to udało mu się dość szybko odtworzyć w zurychskim mieszkaniu stary porządek i stare ceremonie. Tak samo jak w Pradze wskakiwał rano do nich do łóżka, aby razem z nimi przywitać dzień, odprowadzał Teresę na pierwsze poranne zakupy i jak w Pradze domagał się regularnych spacerów.

Był zegarem ich życia. W chwilach poczucia beznadziei mówiła sobie, że musi wytrzymać ze względu na niego, bo jest jeszcze słabszy od niej, chyba nawet jeszcze słabszy od Dubczeka i od jej opuszczonej ojczyzny.

Wróciła właśnie ze spaceru, kiedy zadzwonił telefon. Podniosła słuchawkę i zapytała, kto mówi.

Był to głos kobiety; mówiła po niemiecku i chciała rozmawiać z Tomaszem. Głos był niecierpliwy i Teresie wydawało się, że brzmi w nim pogarda. Kiedy powiedziała, że Tomasza nie ma w domu i że nie wie, kiedy wróci, kobieta po drugiej stronie zaśmiała się i odłożyła słuchawkę bez pożegnania.

Teresa wiedziała, że nic w ogóle się nie stało. Mogła to być pielęgniarka ze szpitala, pacjentka, sekretarka, ktokolwiek. Pomimo to była zdenerwowana i nie mogła się nad niczym skupić. Uświadomiła sobie wtedy, że straciła i tę resztkę sił, którą miała w Czechach i że nie jest w stanie wytrzymać nawet takiego incydentu.

Jest za granicą i nie ma pod sobą siatki asekuracyjnej, którą daje człowiekowi jego własny kraj, w którym ma rodzinę, kolegów, przyjaciół i gdzie bez trudu porozumie się w języku znanym od dzieciństwa. W Pradze była zależna od Tomasza tylko sercem. Tutaj jest od niego zależna we wszystkim. Co by się z nią stało, gdyby ją opuścił? Ma więc przeżyć całe życie w strachu, że go utraci?

Powiedziała sobie: ich spotkanie od początku opierało się na nieporozumieniu. „Anna Karenina”, którą ścisła pod pachą była fałszywą legitymacją i okłamała nią Tomasza. Jedno drugiemu stworzyło piekło, mimo że się kochają. To, że się kochają, jest dowodem na to, że błąd nie leży w nich samych, w ich zachowaniu czy w niestałości ich uczuć, ale po prostu nie pasują do siebie, ponieważ on jest silny, a ona słaba. Jest jak Dubczek, który robi w środku zdania półminutową pauzę, jest jak jej ojczyzna, która z trudem łapie oddech, jąka się i nie może mówić.

I właśnie ten słaby musi znaleźć dość siły, by odejść, jeśli ten silny jest za słaby, by umieć skrzywdzić słabego.

Mówiła to sobie i przytulała twarz do kudłatego łba Karenina.

— Nie gniewaj się, Kareninie. Będziesz musiał raz jeszcze zmienić mieszkanie.

28.

Siedziała wtulona w róg przedziału, nad jej głową leżała ciężka walizka, Karenin przywarł jej do nóg. Myślała o kucharzu z restauracji, w której pracowała, kiedy mieszkała u matki. Wykorzystywał każdą okazję, żeby dać jej klapsa w pośladki i często na oczach wszystkich domagał się, żeby się z nim przespała. Dziwne, że myślała teraz właśnie o nim. Był dla niej ucieleśnieniem wszystkiego, co było jej wstrętne. Ale teraz wyobrażała sobie, że go odszuka i powie mu: „Mówiłeś, że chcesz się ze mną przespać. Oto jestem.

Pragnęła zrobić coś takiego, od czego nie miałyby odwrotu. Pragnęła zniszczyć brutalnie całą przeszłość swych ostatnich siedmiu lat. Był to zawrót głowy. Oszałamiające, nie do opanowania pragnienie upadku.

Moglibyśmy nazwać zawrót głowy pijaństwem słabości. Człowiek uświadamia sobie swą słabość i nie chce się przed nią bronić; pragnie jej się poddać. Słabość go upija, chce być jeszcze słabszy, chce upaść pośrodku placu, na oczach wszystkich, chce być na dnie, jeszcze niżej niż na dnie.

Przekonywała samą siebie, że nie zostanie w Pradze i nie będzie już fotoreporterem. Wróci do małego miasta, skąd kiedyś odwołał ją głos Tomasza.

Ale kiedy przyjechała do Pragi, musiała zostać w niej jednak przez pewien czas i pozatławić mnóstwo praktycznych spraw. Zaczęła odkładać odjazd.

Tak minęło pięć dni, aż w mieszkaniu zjawił się nagle Tomasz. Karenin długo podskakiwał i lizał go po twarzy, tak że uwolnił ich na długą chwilę od konieczności, by coś powiedzieć.

Czuli się, jak gdyby stali pośrodku śnieżnej pustyni i drżeli z zimna.

Potem zbliżyli się do siebie jak kochankowie, którzy się jeszcze nie pocałowali.

— Wszystko w porządku? - zapytał.

— Tak – odpowiedziała.

— Byłaś już w tygodniku?

— Dzwoniłam tam.

- I?
- Nic. Czekalam.
- Na co?

Nie odpowiedziala. Nie mogla mu powiedziec, ze czekala na niego.

29.

Wracamy do momentu, który już znamy. Tomasz był zrozpaczony i bolał go żołądek. Usnął dopiero nad ranem.

Wkrótce potem zbudziła się Teresa. (Rosyjskie samoloty krążyły nad Pragą i ich huk nie dawał spać.) Jej pierwszą myślą było: wrócił dla niej. Dla niej zmienił swój los. Teraz już nie on będzie odpowiedzialny za nią, ale ona za niego.

Ta odpowiedzialność wydawała jej się ponad siły.

Ale potem nagle przypomniała sobie, że wczoraj, chwilę potem, kiedy stanął w drzwiach ich mieszkania, na praskim kościele wybiła szósta. Kiedy spotkali się pierwszy raz, kończyła pracę o szóstej. Zobaczyła go siedzącego na żółtej ławce i słyszała dzwon na wieży.

Nie, to nie przesądność, to poczucie piękna uwolniło ją od lęku i nappełniło nową wolą życia. Ptaki przypadków znów obsiadły jej ramiona. Miała łzy w oczach i czuła bezmiar szczęścia, że oto słyszy obok jego oddech.

CZĘŚĆ III

Niezrozumiane słowa

1.

Genewa jest miastem wodotrysków, fontann i parków, w których stoją muszle koncertowe; niegdyś grywały w nich orkiestry. Również budynek uniwersytetu tonie w drzewach. Franz skończył właśnie popołudniowy wykład i wyszedł z budynku. Z polewaczek tryskała woda na trawniki, a on był we wspaniałym humorze. Z uniwersytetu szedł prosto do swej kochanki. Mieszkała o parę ulic stąd.

Wstępował do niej często, ale zawsze w charakterze troskliwego przyjaciela, nigdy jako kochanek. Gdyby się z nią kochał w jej genewskiej pracowni, przechodziłby w ciągu jednego dnia od jednej kobiety do drugiej, od żony do kochanki i z powrotem, a ponieważ w Genewie małżonkowie, francuskim zwyczajem, śpią we wspólnym łóżku, przechodziłby na przestrzeni kilku godzin z łóżka jednej kobiety do łóżka drugiej kobiety. Wydawało mu się, że w ten sposób poniżałby zarówno żonę, jak i kochankę i koniec końców siebie samego.

Jego miłość do kobiety, w której zakochał się przed kilku miesiącami, wydawała mu się czymś tak cennym, że starał się stworzyć dla niej w swym życiu wyodrębnioną przestrzeń, nieprzystępne terytorium czystości. Często zapraszano go na wykłady na różne zagraniczne uniwersytety: przyjmował gorliwie wszystkie te zaproszenia. Ponieważ nie było ich dostatecznie dużo, wymyślał dodatkowo nie istniejące kongresy i sympozja, które uzasadniały wobec żony jego wyjazdy. Jego kochanka, która sama dysponowała swym czasem, towarzyszyła mu. W ten sposób umożliwił jej w krótkim czasie zwiedzenie wielu europejskich i jednego amerykańskiego miasta.

— Jeśli nie masz nic przeciwko temu, moglibyśmy za dziesięć dni pojechać do Palermo — powiedział.

— Wolę Genewę - odpowiedziała. Stała przed sztalugami z rozpoczętym płótnem i przyglądała mu się. — Jak chcesz żyć, nie znając Palermo? - starał się zażartować.

— Znam Palermo - odpowiedziała.

— Jak to? - spytał prawie zazdrośnie.

— Moja znajoma posłała mi stamtąd widokówkę. Przyklepiłam ją skoczem w ubikacji. Nie zauważyłeś? Potem dodała:

— Na początku wieku żył pewien poeta. Był już bardzo stary i jego sekretarz prowadził go na spacer. „Mistrzu - powiedział mu kiedyś - niech pan spojrzy w górę! Dziś leci nad miastem pierwszy samolot!” „Umiem to sobie wyobrazić” — odpowiedział mistrz i nie uniósł wzroku. Widzisz, ja również umiem sobie wyobrazić Palermo. Są tam takie same hotele i takie same samochody jak w innych miastach. W mojej pracowni mam przynajmniej wciąż nowe obrazy.

Franz posmutniał. Przyzwyczał się już do połączenia życia miłosnego z podróżowaniem i w wezwanie „Pojedziemy do Palermo!” wkładał jednoznacznie erotyczną treść. Odpowiedź „Wolę Genewę!” miała dla niego równie jasny sens: jego kochanka nie pragnie go już.

Jak-to możliwe, że jest przy niej taki niepewny? Nie ma przecież po temu żadnych powodów! To nie on. a ona pierwsza podjęła erotyczną inicjatywę zaraz po ich formalnym zapoznaniu się; był przystojnym mężczyzną u szczytu kariery naukowej, jego koledzy nawet się go bali, bo w dyskusjach zawodowych był

zarozumiały i uparty. Dlaczego więc wciąż myśli o tym, że kochanka go porzuci?

Nie mogę tego wyjaśnić inaczej niż przez fakt, że miłość nie była dla niego przedłużeniem jego publicznego życia, ale jego przeciwieństwem. Znaczyła dla niego pragnienie, by zdać się na czyjąś łaskę i niełaskę. Kto oddaje się drugiemu jak żołnierz do niewoli, musi porzucić wszelką broń. A ponieważ nic go nie chroni przed ciosami, nie może obronić się pytaniem, kiedy nastąpi uderzenie. Dlatego mogę powiedzieć: dla Franza miłość oznaczała ustawiczne oczekiwanie na cios.

Podczas gdy oddawał się rozczarowaniu, jego kochanka odłożyła pędzel i odeszła do sąsiedniego pomieszczenia. Wróciła z butelką wina. Bez słowa otworzyła ją i nalała wino do szklanek.

Kamień spadł mu z serca. Miał ochotę sam się z siebie śmiać. Słowa „Wolę Genewę!” nie oznaczały, że nie chce już z nim spać, a wręcz przeciwnie, że ma dość ograniczania chwil ich miłości wyłącznie do obcych miast.

Podniosła szklankę i wypijała ją do dna. Również Franz podniósł szklankę i wypił. Czuł wielką radość, że odmowa podróży do Palermo okazała się wezwaniem do kochania się, ale zaraz potem zrobiło mu się żal: jego kochanka zdecydowała się pogwałcić regułę czystości, którą wniósł do ich związku: nie rozumiała jego starań, by uchronić miłość przed banalnością i oddzielić ją radykalnie od gniazda małżeńskiego.

To, żeby nie kochać się z malarką w Genewie było właściwie karą, którą sam sobie nałożył za to, że jest żonaty z inną kobietą. Odczuwał to jako winę albo defekt. Chociaż jego życie seksualne z żoną niewarte było nawet wzmianki, spali jednak we wspólnym łóżku, budziło ich w nocy obopólne chrapanie i wdychali zapachy swych ciał. Chętniej by sypiał sam, ale wspólne łóżko pozostaje symbolem małżeństwa, a symbole, jak wiemy, są niezniszczalne.

Ilekczo kładł się obok swej żony do łóżka, myślał o tym, że jego kochanka wyobraża sobie, jak właśnie kładzie się obok swej żony do łóżka. Za każdym razem myśl ta budziła w nim wstyd i właśnie dlatego pragnął jak najbardziej oddalić w przestrzeni łóżko, w którym sypiał z żoną od łóżka, w którym kochał się z kochanką.

Malarka znów nalała mu wina, upiła łyk, a potem milcząco, z jakimś dziwnym roztargnieniem, jak gdyby Franza w ogóle nie było, ściągnęła powoli bluzkę. Robiła to jak studentka szkoły teatralnej, która ma na ćwiczeniach pokazać, jak się zachowuje, kiedy jest sama w domu i nikt jej nie widzi.

Została tylko w spódnicy i biustonoszu. Potem (jak gdyby dopiero teraz przypomniawszy sobie, że nie jest w pokoju sama) spojrzała na Franza. Spojrzenie jej wprawiało go w zażenowanie, ponieważ go nie rozumiała. Między kochankami szybko tworzą się reguły gry, których sobie nie uświadamiają, ale które mają swą wagę i nie należy ich lekceważyć. Spojrzenie, które teraz na niego skierowała, wymykało się tym prawidłom; nie miało nic wspólnego ze spojrzeniami i gestami, które antycypowały zwykle ich stosunek miłosny. Nie było w nim wyzwania ani kokieterii, raczej rodzaj pytania. Tylko że Franz nie miał najmniejszego pojęcia, o co go to spojrzenie pyta.

Potem ściągnęła spódnicę. Wzięła Franza za rękę i odwróciła go do wielkiego lustra, które stało o krok od nich oparte o ścianę. Nie puszczać jego ręki patrzyła w lustro wciąż tym samym przeciągłym, pytającym spojrzeniem, przenosząc je z niego na siebie i z powrotem na niego.

Pod lustrem stała na podłodze forma, na którą wetknięto stary męski czarny melonik. Schyliła się i wsadziła sobie ten melonik na głowę. Obraz w lustrze zmienił się od razu: widniała na nim teraz piękna, nieprzystępna, obojętna kobieta w białym i ze straszliwie niewłaściwym melonikiem na głowie. Trzymała za rękę mężczyznę w szarym garniturze i w krawacie.

Franz znów się uśmiechnął, uświadamiając sobie, jak bardzo nie rozumie swej kochanki. Rozebrała się nie po to, by się z nim kochać, ale po to, by wykonać jakiś dziwny żart, prywatny happening dla nich dwojga. Uśmiechnął się zgodliwie i ze zrozumieniem.

Czekał, że malarka odpowie na jego uśmiech uśmiechem, ale nie doczekał się. Nie wypuszczając jego ręki patrzyła w lustro na zmianę to na siebie, to na niego.

Czas happeningu przekroczył swe granice. Franzowi wydawało się, że żart (choć był skłonny uważać, że jest to żart uroczy) trwa już zbyt długo. Chwycił melonik w dwa palce i z uśmiechem zdjął go delikatnie z głowy Sabiny, po czym włożył go znów na formę. Wyglądało to tak, jakby ścierał gumką wąsy, które rozdokazywane dziecko dorysowało na obrazie Najświętszej Pani.

Nie ruszała się jeszcze przez kilka sekund, wciąż przyglądając się sobie w lustrze. Potem Franz obsypał ją delikatnymi pocałunkami. Znów ją poprosił, aby pojechała z nim na dziesięć dni do Palermo. Obiecała mu to tym razem bez sprzeciwu. Odszedł.

Był znówu we wspaniałym humorze. Genewa, którą przeklinał przez całe życie jako stolicę nudy, wydała mu się nagle piękna i pełna przygód. Na ulicy stanął i popatrzył w górę na szerokie okna jej pracowni. Była późna, gorąca wiosna, nad wszystkimi oknami rozpięto pasiaste markizy. Franz doszedł do parku, za którym wznosiły się w oddali złote kopuły prawosławnej cerkwi jak pozłacane kule armatnie, które niewidoczna siła zatrzymała tuż przed upadkiem i zostawiła zawieszzone w powietrzu. Było to piękne. Franz zszedł w dół na nabrzeże, wsiadł na stateczek komunikacji miejskiej i dał się przewieźć na północny brzeg

jeziora, gdzie mieszkał.

Sabina została sama. Wróciła przed lustro. Wciąż jeszcze była w białej bieliźnie. Znów wsadziła na głowę melonik i długo się sobie przyglądała. Sama się dziwiła, że od tylu lat szuka jednej straconej chwili. Kiedyś, przed wieloma laty przyszedł do niej Tomasz. Melonik go zainteresował. Wsadził go na głowę i przeglądał się w wielkim lustrze, które, tak samo jak tutaj, stało oparte o ścianę w jej praskim mieszkaniu. Chciał zobaczyć, czy byłoby mu do twarzy jako staroście z ubiegłego wieku. Stali przed lustrem (zawsze przed nim stali, kiedy się rozbierała) i obserwowali się. Była w samej białej bieliźnie i meloniku na głowie. Potem nagle zrozumiała, że oboje ten widok podniecił.

Jak to się mogło stać? Jeszcze przed chwilą melonik na głowie wydawał jej się zwykłym żartem. Czy od śmiechu do podniecenia jest tylko mały krok?

Tak. Kiedy patrzyła wtedy na siebie w lustrze, w pierwszej chwili widziała tylko zabawną sytuację. Ale wkrótce komizm został przykryty podnieceniem: melonik nie oznaczał żartu, ale gwałt; gwałt na Sabinie, na jej kobiecej godności. Widziała siebie z gołymi nogami, w krótkich majtkach, spod których prześwitywało krocze. Białizna podkreślała siłę jej kobiecości, a twardy męski kapelusz tę kobiecość negował, gwałcił, ośmieszał. Tomasz stał obok niej ubrany, co oznaczało, że nie chodzi o żaden żart (w przeciwnym wypadku on również musiałby być w białej bieliźnie i w meloniku), ale o poniżenie. Zamiast nie zgodzić się na to poniżenie, ona je dumnie i prowokacyjnie demonstrowała, jak gdyby chciała się publicznie i dobrowolnie zgwałcić. W pewnym momencie nie mogła już dłużej wytrzymać i pociągnęła Tomasza na podłogę. Melonik poturlał się pod stół, a oni miotali się na podłodze przed lustrem.

Wróćmy jeszcze do melonika.

Najpierw był całkiem niejasnym wspomnieniem zapomnianego dziadka, starosty w małym czeskim mieście w zeszłym wieku.

Po drugie był pamiątką po ojcu. Po pogrzebie jej brat przywłaszczył sobie cały majątek po rodzicach, a ona, uniesiona ambicją, nie chciała się kłócić o swe prawa. Sarkastycznie oświadczyła, że zabiera melonik jako jedyny spadek po ojcu.

Po trzecie był rekwizytem miłosnych gier z Tomaszem.

Po czwarte był znakiem jej oryginalności, którą świadomie pielęgnowała. Nie mogła zabrać ze sobą na emigrację wielu rzeczy i fakt, że zabrała ten spory i niepraktyczny przedmiot oznaczał, że musiała dlań zrezygnować z wielu praktyczniejszych.

Po piąte: za granicą melonik stał się obiektem sentymentalnym. Kiedy przyjechała do Tomasza do Zurychu, wzięła go ze sobą i miała go na głowie, kiedy otwierała mu drzwi hotelowego pokoju. Wtedy nastąpiło coś, czego się nie spodziewała: melonik nie okazał się ani wesoły, ani podniecający; stał się pamiątką minionego czasu. Oboje byli wzruszeni. Kochali się jak nigdy przedtem; nie było miejsca na obsceniczne zabawy, ponieważ ich spotkanie nie było kontynuacją erotycznych randek, na których za każdym razem wymyślali sobie jakąś nową małą nieprzyzwoitość, ale rekapitulacja czasu, śpiewem ich wspólnej przeszłości, sentymentalnym podsumowaniem niesentymentalnej historii, historii, która ginęła w dali.

Melonik stał się motywem muzycznej kompozycji, którą jest życie Sabiny. Ten motyw wciąż powracał i za każdym razem miał inne znaczenie, a wszystkie znaczenia przepływały przez melonik jak rzeka. Mogę powiedzieć, że było to koryto rzeki z Heraklita: „Nigdy nie wstąpisz dwa razy do tej samej rzeki!”; melonik był korytem, w którym Sabina widziała za każdym razem inną rzekę, inną semantyczną rzekę: ten sam przedmiot budził za każdym razem inne skojarzenie, ale razem z tym skojarzeniem odzywały się (jak echo, jak pochod ech) wszystkie poprzednie znaczenia. Każde nowe przeżycie brzmiało w bogatszych tonach. Tomasz i Sabina w zurychskim hotelu byli wzruszeni widokiem melonika i kochali się prawie płacząc, ponieważ ten czarny przedmiot był nie tylko wspomnieniem ich miłosnych zabaw, ale również pamiątką po ojcu Sabiny i po jej dziadku, żyjącym w stuleciu bez aut i samolotów.

Teraz lepiej możemy zrozumieć przepaść oddzielającą Sabinę od Franza: on łączywie wysłuchiwał historii życia Sabiny, a ona równie łączywie wysłuchiwała historii jego życia. Dokładnie rozumieli sens słów, które wypowiadali, ale nie słyszeli szumu sentymentalnej rzeki, która przez nie przepływała.

Dlatego kiedy wsadziła na głowę melonik, Franz był skonfundowany, jak gdyby ktoś przemówił do niego obcym językiem. Nie wydawało mu się to ani obsceniczne, ani sentymentalne, był to tylko niezrozumiały gest, który krępował go swoim bezsensownością.

Dopóki ludzie są młodzi i muzyczna kompozycja ich życia składa się zaledwie z kilku taktów, mogą ją pisać wspólnie i wymieniać się motywami (tak jak Tomasz i Sabina podzielić się motywem melonika), ale kiedy są już starsi w momencie spotkania, ich muzyczna kompozycja jest mniej więcej zamknięta i każde słowo, każdy przedmiot oznaczają coś innego w kompozycji jednego i drugiego.

Gdybym śledził wszystkie rozmowy między Franzem i Sabiną, mógłbym ułożyć z ich nieporozumień wielki słownik. Zadowolmy się małym słowniczkiem.

Kobieta

Być kobietą oznacza dla Sabiny los, którego sobie nie wybrała. To, czegośmy nie wybrali, nie jest naszą zasługą ani naszą winą. Sabina sądzi, że do przydzielonego losu należy mieć stosunek godny. Buntować się przeciw faktowi, że urodziła się kobietą, wydaje jej się równie niemądre, jak uważać to za wartość.

W trakcie jednego z ich pierwszych spotkań Franz powiedział ze szczególnym naciskiem: „Sabino, pani jest kobietą”. Nie rozumiała, dlaczego oznajmia jej to z uroczystą miną Krzysztofa Kolumba, który właśnie zobaczył brzegi Ameryki. Dopiero później pojęła, że słowo „kobieta”, na które położył szczególny nacisk, nie oznacza dla niego określenia jednej z dwóch ludzkich płci, ale wartość. Nie każda kobieta jest godna tego, by nazywać ją kobietą.

Ale jeśli Sabina jest dla Franza kobietą, czym jest dla niego Marie-Claude, jego prawowita małżonka? Przed ponad dwudziestu laty, kilka miesięcy po ich poznaniu groziła mu, że odbierze sobie życie, jeśli ją opuści. Franza zachwyciła ta pogróżka. Marie-Claude nie podobała mu się zbyt, ale jej miłość uznał za wspaniałą. Wydawało mu się, że nie jest godny tak wielkiej miłości i że powinien się przed nią głęboko pokłonić.

Pokłonił się więc aż do ziemi i ożenił się z nią. Choć Marie-Claude już nigdy potem nie okazała tak wielkiej intensywności uczuć jak w momencie, w którym groziła mu samobójstwem, głęboko w nim pozostał żywy imperatyw: nie wolno mu jej nigdy skrzywdzić i musi w niej szanować kobietę.

To zdanie jest interesujące. Nie mówił do siebie: szanować Marie-Claude, ale szanować kobietę w Marie-Claude.

Ale jeśli Marie-Claude sama jest kobietą, kto jest tą drugą kobietą, która się w niej ukrywa i którą ma szanować? Czy jest to może platoniczna idea kobiety?

Nie. Jest to jego matka. Nigdy by mu nie przyszło do głowy powiedzieć, że w matce szanuje kobietę. Ubóstwiał matkę, a nie jakąś kobietę, która w niej była. Platoniczna idea kobiety i matka były tożsame.

Kiedy miał dwanaście lat, matka została nagle sama, bo ojciec ją opuścił. Chłopiec czuł, że stało się coś poważnego, ale matka osłoniła dramat neutralnymi i spokojnymi słowami, żeby go nie denerwować. Wychodzili tego dnia do miasta i Franz przy wyjściu z mieszkania zauważył, że matka ma na każdej nodze inny but. Zdenerwował się, chciał jej zwrócić na to uwagę, ale jednocześnie bał się, że mógłby ją w ten sposób zranić. Spędził z nią w mieście dwie godziny i przez cały czas nie mógł oderwać wzroku od jej nóg. Wtedy po raz pierwszy zaczął pojmować, czym jest cierpienie.

Wierność i zdrada

Kochał ją od dzieciństwa aż do momentu, kiedy ją odprowadził na cmentarz i kochał również jej wspomnienie. Od tego czasu powstało w nim przekonanie, że wierność jest pierwszą z cnót; to ona nadaje naszemu życiu jednolitość - w przeciwnym wypadku rozprysnęłoby się na tysiące chwilowych wrażeń jak na tysiąc szklanych odłamków.

Franz często opowiadał Sabinie o matce. Być może był w tym rodzaj podświadomego wyrachowania: spodziewał się, że Sabina będzie oczarowana jego zdolnością do wierności i że w ten sposób ją zdobędzie.

Nie wiedział, że Sabinę zachwyciła zdrada, a nie wierność. Słowo „wierność” przypominało jej ojca, małomiasteczkowego purytanina, który w niedziele malował dla rozrywki zachody słońca nad lasem i róże w wazonie. Dzięki niemu zaczęła rysować. Kiedy miała czternaście lat, zakochała się w chłopcu w tym samym wieku. Pewnego dnia pokazał jej kilka reprodukcji Picassa, wyśmiewając się z nich. Skoro nie mogła kochać czternastoletniego kolegi, pokochała przynajmniej kubizm. Odjechała po maturze do Pragi z wesołym uczuciem, że może wreszcie zdradzić swój dom.

Zdrada. Od dzieciństwa tatuś i pan nauczyciel nam mówią, że zdrada jest czymś najgorszym i najobrzydliwszym na świecie. A cóż to jest zdrada? Zdrada oznacza opuszczenie szeregu, aby pójść w nieznaną. Sabina nie zna niczego piękniejszego od odejścia w nieznaną.

Studiowała na Akademii Sztuk Pięknych, ale nie miała prawa malować tak jak Picasso. Były to czasy, kiedy obowiązywał tak zwany realizm socjalistyczny i na Akademii produkowano portrety komunistycznych przywódców. Jej pragnienie by zdradzić ojca pozostało niezaspokojone, ponieważ komunizm był jak drugi ojciec, równie surowy i ograniczony, zabraniający miłości (czasy były purytańskie) i Picassa. Wyszła za mąż za słabego aktora praskiego teatru tylko dlatego, że miał opinię hulaki i był nie do przyjęcia dla obydwu ojców.

Potem umarła matka. Dzień po powrocie z pogrzebu do Pragi dostała telegram: ojciec z rozpaczy odebrał sobie życie.

Zalały ją wyrzuty sumienia: cóż w tym było złego, że tata malował róże w dzbanku i nie lubił Picassa? Czy naprawdę fakt, że bał się, aby jego czternastoletnia córka nie zaszła w ciążę, był tak godny potępienia? Czy było coś śmiesznego w tym, że nie mógł żyć po stracie żony?

Ogarnęła ją znów ochota, by zdradzić: zdradzić swą własną zdradę. Oznajmiła mężowi (nie widziała już w nim hulaki, ale uciążliwego pijaczka), że go opuszcza.

Ale zdradzając B, dla którego zdradziliśmy A, nie wracamy wcale znów do A. Życie rozwiedzionej malarki nie było w niczym podobne do życia jej zdradzonych rodziców. Pierwsza zdrada jest nie do naprawienia. Wywołuje reakcję łańcuchową następnych zdrad, których każda oddala nas coraz dalej i dalej od miejsca początkowej zdrady.

Muzyka

Dla Franza jest to sztuka najbliższa dionizyjskiemu pojęciu piękna rozumianego jako opilstwo. Człowiek nie może upić się powieścią albo obrazem, ale może się upić Dziewiątą Beethovena, koncertem Bartoka na dwa fortepiany i perkusję albo śpiewem Beatlesów. Franz nie robi różnicy między tak zwaną muzyką poważną a muzyką rozrywkową. Rozróżnienie to wydaje mu się staromodne pełne hipokryzji. Kocha rock tak samo jak Mozarta.

Uważa muzykę za siłę wyzwalającą: wyzwala go z samotności zamknięcia w sobie, kurzu biblioteki, otwiera w jego ciele bramę, przez którą dusza wychodzi na świat by się bratać. Lubi tańczyć żałuje, że Sabina nie podziela tej jego pasji.

Siedzą razem w restauracji, a z głośnika przygrywa im do jedzenia rytmiczna muzyka.

Sabina mówi:

— Błędne koło. Ludzie głuchną, ponieważ coraz głośniejsze puszcza sobie muzykę. Ale ponieważ głuchną, nie pozostaje im nic innego jak puszczać ją jeszcze głośniejsze.

— Nie lubisz muzyki? – pyta Franz.

— Nie – mówi Sabina. Potem dodaje:

— Możliwe, że gdybym żyła kiedy indziej... – i myśli o czasach, w których żył Jan Sebastian Bach i w których muzyka przypominała różę rozkwitłą w ogromnej śnieżnej przestrzeni ciszy.

Hałas pod maską muzyki prześladowa ją od wczesnej młodości. Jako studentka malarstwa musiała raz spędzić całe wakacje na tak zwanej młodzieżowej budowie. Mieszkali we wspólnych pokojach chodzili pracować na plac budowy huty. Muzyka grzmiała z głośnika od piątej rano do dziewiątej wieczór. Chciało jej się płakać, ale muzyka była wesoła, i nie można się było przed nią ukryć ani w ubikacji, ani w łóżku pod kocem, głośniki były wszędzie, jak sfora psów spuszczonej z łańcucha.

Myślała wówczas, że tylko w świecie komunistycznym panuje takie barbarzyństwo. Za granicą stwierdziła, że przemiana muzyki w hałas jest procesem planetarnym, przy pomocy którego ludzkość wstępuje w epokę totalnego obrzydlistwa. Totalny charakter obrzydlistwa objawił się najpierw jako wszechobecne obrzydlistwo akustyczne: samochody, motocykle, elektryczne gitary, wiertarki, głośniki, syreny. Wkrótce nastąpi wszechobecne obrzydlistwo wizualne.

Zjedli kolację, poszli na górę do pokoju, kochali się, a potem, na progu snu myśli Franza splątały się. Przypomniał sobie głośną muzykę przy kolacji i przyszło mu do głowy: hałas ma swoje dobre strony. Nie słychać przy nim słów. Uświadomił sobie, że od młodości nie robi niczego innego, tylko mówi, pisze, wyklada, wymyśla zdania, szuka sformułowań, poprawia je tak, że w końcu żadne słowa nie są dokładne, ich sens się zamazuje, tracą treść i zmieniają się w śmiecie, plewy, kurz i piasek, który zamula mu mózg, powoduje ból głowy, staje się jego bezsennością, jego chorobą. W tym momencie zapragnął, niejasno ale mocno, zanurzyć się w niezmiernej muzyce, absolutnym hałasie, pięknym i wesołym wrzasku, który wszystko obejmie, zaleje i zagłuszy i w którym na zawsze znikną ból, marność i nicość słów. Muzyka jest negacją zdań, muzyka to anty-słowo! Pragnął nie wypuszczać Sabiny z objęć, milczeć, nie wymówić już nigdy żadnego zdania i pozwolić, by ich rozkosz zlała się w jedno z orgiastycznym grzmieniem muzyki. W tym pełnym szczęścia imaginacyjnym hałasie usnął.

Światło i ciemność

Dla Sabiny żyć oznacza widzieć. Widzenie jest wymierzone dwiema granicami: silnym, oślepiającym światłem i totalną ciemnością. To, być może, powoduje niechęć Sabiny do wszelkiego ekstremizmu. Skrajności oznaczają granicę, za którą kończy się życie, a skłonność do ekstremizmu w sztuce i w polityce maskuje pragnienie śmierci.

Franzowi słowo „światło” nie kojarzy się z krajobrazem spowitym w miękką poświatę dnia, ale ze źródłem światła samym w sobie: ze słońcem, z żarówką, z reflektorem. Franzowi przychodzi do głowy znane metafory: słońce prawdy, oślepiające światło rozumu itp.

Podobnie jak światło przyciąga go ciemność. Wie, że w naszych czasach gaszenie światła podczas

aktu miłosnego uważa się za coś śmiesznego i dlatego pozostawia zapaloną małą lampkę nad łóżkiem. Ale w momencie, w którym wchodzi w Sabinę, przyryka oczy. Słodycz, która go wypełnia, domaga się ciemności. Ta ciemność jest czysta, bez wizji i wyobrażeń, nieskończona, nie ma granic, jest nieskończonością, którą każdy z nas nosi w sobie. (Tak, kto szuka nieskończoności, niech zamknie oczy!)

W chwili, kiedy czuje, że rozkosz rozlewa się w jego ciele, Franz roztopia się w nieskończonej ciemności, sam staje się nieskończonością. Ale im większy staje się mężczyzna w swej wewnętrznej ciemności, tym bardziej kurczy się na zewnątrz. Mężczyzna z zamkniętymi oczyma jest odpadkiem mężczyzny. Dla Sabiny ten widok jest nieprzyjemny, nie chce patrzeć wtedy na Franza i również zamyka oczy. Ale ciemność nie oznacza dla niej nieskończoności, lecz prostą niezgodę na to, co widzi, negację tego, co widzi, odmowę widzenia.

3.

Sabina dała się namówić na odwiedzenie rodaków. Znów dyskutowali o rym, czy należało, czy też nie należało przeciwstawić się Rosjanom z bronią w ręku. Oczywiście tutaj, w bezpiecznym zaciszu emigracji, wszyscy oświadczyli, że należało walczyć. Sabina powiedziała:

— No to wracajcie i walczcie!

Nie powinna była tego mówić. Mężczyzna z naondulowanymi szpakowatymi włosami mierzył w nią długim palcem wskazującym:

— Proszę tak nie mówić. Co pani zrobiła przeciwko reżymowi komunistycznemu? Malowała pani sobie obrazy, to wszystko...

Ocenianie i weryfikowanie obywateli jest główną i bezustanną działalnością społeczną w krajach komunistycznych. Jeśli malarz ma dostać zgodę na wystawę, jeśli obywatel ma otrzymać paszport, aby móc pojechać na wakacje nad morze, jeżeli piłkarz ma zostać członkiem ekipy narodowej, musi się najpierw zebrać o nim wszystkie informacje i opinie (od dozorczyń, od kolegów, od policji, od organizacji partyjnej, od związków zawodowych) i wszystkie te opinie są następnie czytane, wazone, podsumowywane przez odpowiednich urzędników. To, o czym mówią, w ogóle nie dotyczy zdolności malarskich, piłkarskich albo stanu zdrowia obywatela, które wymaga, by spędził wakacje nad morzem. Dotyczy tylko i wyłącznie tego, co się nazywa „politycznym profilem obywatela” (a więc tego, co myśli, jak się zachowuje, czy bierze udział w zebraniach i pochodach pierwszomajowych). Ponieważ wszystko (życie prywatne, awans w pracy i wakacje) zależy od tego, jak obywatel zostanie oceniony, każdy musi (jeśli chce grać w reprezentacji narodowej, mieć wystawę obrazów albo spędzić wakacje nad morzem) zachowywać się tak, aby ocena wypadła pozytywnie.

O tym myślała Sabina słuchając siwowłosego mężczyzny. Nie obchodził go fakt, czy jego rodacy grają dobrze w piłkę albo dobrze malują (nikt z Czechów nigdy nie zainteresował się, co Sabina właściwie maluje), ale czy ich walka z systemem komunistycznym była aktywna czy tylko pasywna, prawdziwa czy tylko na pokaz, od początku czy dopiero od teraz.

Ponieważ była malarką, miała dobre oko do twarzy i знаła z Pragi fizjonomie ludzi, których namiętnością jest ocenianie i weryfikowanie innych. Wszyscy oni mieli palec wskazujący nieco dłuższy od środkowego i mierzyli nim w rozmówców. Zresztą również prezydent Novotny, który panował w Czechach przez czternaście lat, aż do roku 1968, miał dokładnie tak samo naondulowane przez fryzjera siwe włosy i najdłuższy ze wszystkich mieszkańców Europy środkowej palec wskazujący. Kiedy zasłużony emigrant usłyszał z ust malarki, której obrazów nigdy nie oglądał, że podobny jest do komunistycznego prezydenta Novotnego, spurpurowiał, zbladł, jeszcze raz spurpurowiał, jeszcze raz zbladł, chciał coś powiedzieć, nie powiedział nic i zamilkł. Wszyscy milczeli wraz nim, aż wreszcie Sabina podniosła się i odeszła.

Było jej strasznie przykro, ale już na dole, na chodniku przyszło jej do głowy: dlaczego właściwie miałyby się spotykać z Czechami? Co ją z nimi łączy? Krajobraz? Gdyby każdy z nich miał powiedzieć, co wyobraża sobie pod nazwą Czechy, obrazy, które stanęłyby im przed oczyma byłyby absolutnie różne i nie tworzyłyby żadnej całości.

Albo kultura? Ale co to jest? Muzyka? Dvorak i Janacek? Tak. Ale co z Czechem, który nie ma słuchu? Fundament czeskiej wspólnoty rozplywa się natychmiast.

Albo wielcy ludzie? Jan Hus? Nikt z tych tutaj nie czytał nawet zdania z jego ksiąg. Jedyne, co zgodnie byli skłonni zrozumieć, to były płomienie, sława płomieni, w których spłonął na stosie, sława popiołów. A więc fundamentem czeskiej wspólnoty – mówi sobie Sabina – są dla nich tylko popioły, nic więcej. Tych ludzi łączy tylko klęska i wyrzuty, które sobie nawzajem robią.

Szła szybko ulicą. Bardziej niż rozejście z emigrantami wzburzyły ją teraz jej własne myśli. Wiedziała, że są niesprawiedliwe. Wśród Czechów byli przecież także inni ludzie niż ten mężczyzna z długim palcem wskazującym. Pełna zażenowania cisza, która nastąpiła po jej słowach nie oznaczała wcale, że wszyscy byli przeciwko niej. Raczej byli zaszokowani tym nagłym wybuchem nienawiści, tym nieporozumieniem, którego ofiarą wszyscy na emigracji padają. Dlaczego raczej im nie współczuje?

Dlaczego nie widzi, jak są wzruszający w swym opuszczeniu?

My wiemy już, dlaczego. Kiedy zdradziła ojca, otworzyła się przed nią długa droga zdrad i każda nowa zdrada przyciągała ją jak zboczenie i jak zwycięstwo. Nie chce i nie będzie stała w szeregu! Nie będzie szła w szeregu wciąż z tymi samymi ludźmi i z tą samą gadaniną! Dlatego jest tak wzburzona własną niesprawiedliwością. To wzburzenie nie jest nieprzyjemne, przeciwnie, Sabina ma uczucie, jak gdyby właśnie odniosła jakieś zwycięstwo i ktoś niewidzialny oklaskiwał ją za to.

Ale zaraz za tym upojeniem odzywa się lęk: gdzieś ta droga musi mieć przecież kres! Raz wreszcie musi przestać zdradzać! Kiedyś musi się zatrzymać!

Był wieczór, spieszenie szła po peronie. Pociąg do Amsterdamu był już podstawiony. Szukała swego wagonu. Otworzyła drzwi przedziału, do którego wprowadził ją grzeczny konduktor i zobaczyła siedzącego na rozesłanym łóżku Franza. Wstał, żeby się z nią przywitać, a ona objęła go i obsypała pocałunkami.

Miała straszną ochotę powiedzieć mu jak najbanalniejsza z kobiet: Nie puszczaj mnie, przytul mnie do siebie, trzymaj mnie, zawładnij mną, bądź silny! Ale to były słowa, których nie mogła i nie umiała wypowiedzieć.

Kiedy wypuściła go z objęć, powiedziała tylko: Tak się strasznie cieszę, że jestem z tobą. Przy jej powściągliwości było to najwięcej, na co umiała się zdobyć.

4.

Maty słownik niezrozumianych słów (ciąg dalszy)

Pochody

Dla Włochów albo Francuzów sytuacja jest prosta. Kiedy rodzice zmuszają ich, by chodzili do kościoła, mszczą się wstępując do partii (komunistycznej, maoistycznej, trockistowskiej itp.). Ale ojciec Sabiny posyłał ją najpierw do kościoła, a potem sam, ze strachu, zmuszał ją, żeby się zapisała do Komunistycznego Związku Młodzieży. Kiedy szła w pochodzie pierwszomajowym, nie umiała iść w nogę, tak że dziewczyna, która szła za nią, strofowała ją i naumyślnie następowała jej na pięty. Kiedy w pochodzie śpiewano, nigdy nie знаła tekstu pieśni i tylko niemo poruszała ustami. Ale jej koleżanki to zauważyły i poskarżyły na nią. Od młodości nienawidziła pochodów.

Franz studiował w Paryżu, a ponieważ był nieprzeciętnie zdolny, jego kariera naukowa była pewna już, kiedy miał dwadzieścia lat. Już wtedy wiedział, że przeżyje całe życie między gabinetem uniwersyteckim, bibliotekami publicznymi i dwiema czy trzema salami wykładowymi; ta wizja budziła w nim uczucie, że się dusi. Miał ochotę wyjść ze swego życia, jak się wychodzi z domu na ulicę.

Dlatego, dopóki żył w Paryżu, tak chętnie chodził na manifestacje. Było to piękne – iść, coś czuć, czegoś się domagać, być z innymi. Pochody ciągnące bulwarem St. Germain albo od placu Republiki do Bastylli fascynowały go. Maszerujący i krzyczący tłum był dla niego uosobieniem Europy i jej historii. Europa to jest Wielki Marsz. Marsz od rewolucji do rewolucji, od walki do walki, wciąż naprzód.

Mógłbym to również wyrazić inaczej: Franzowi jego życie wśród książek wydawało się nierzeczywiste. Tęsknił za prawdziwym życiem, za dotknięciem innych ludzi, idących z nim ramię w ramię, za ich krzykiem. Nie uświadamiał sobie, że właśnie to, co uważa za nierzeczywiste (praca w pustelni gabinetów i bibliotek), jest jego prawdziwym życiem, a pochody, które wydawały mu się rzeczywistością, są tylko teatrem, tańcem, uroczystością, inaczej mówiąc: snem.

Sabina mieszkała w czasie studiów w domu akademickim. Na pierwszego maja wszyscy musieli wcześniej rano udawać się na miejsce zbiórki. Chowała się w ubikacji i dopiero kiedy budynek pustoszał, wracała do swego pokoju. Panowała cisza, jakiej nigdy nie przeżyła. Tylko z daleka rozbrzmiewała marszowa muzyka. Było to tak, jak gdyby ukryła się w muszli i z oddali brzmiało morze nieprzyjaznego świata.

Rok czy dwa po odjeździe z Czech znalazła się przypadkiem w Paryżu akurat w rocznicę rosyjskiej inwazji. Odbywała się demonstracja protestacyjna, a ona nie mogła się oprzeć, by nie wziąć w niej udziału. Młodzi Francuzi podnosili pięści i wykrzykiwali hasła przeciwko imperializmowi radzieckiemu. Hasła jej się podobały, ale naraz stwierdziła z zaskoczeniem, że nie jest w stanie krzyczeć wraz z innymi. Wytrzymała w pochodzie zaledwie kilka minut.

Zwierzyła się z tego swym francuskim przyjaciółm. Dziwili się: „Więc nie chcesz walczyć przeciwko okupacji swego kraju?” Chciała im powiedzieć, że za komunizmem, faszyzmem, wszystkimi okupacjami i inwazjami skrywa się ogólniejsze zło: obrazem tego zła jest dla niej maszerujący pochód ludzi, unoszących pięści i wykrzykujących unisono te same sylaby. Ale wiedziała, że nie umiałaby im tego wytłumaczyć. Skonfundowana, szybko zmieniła temat rozmowy.

Piękno Nowego Jorku

Chodzili po Nowym Jorku całymi godzinami: widok zmieniał się co krok, jak gdyby szli po krętej ścieżce w przepięknym górskim krajobrazie: pośrodku chodnika klęczał młody człowiek i modlił się, kawałek dalej drzemała oparta o drzewo piękna Murzynka, mężczyzna w czarnym garniturze przechodził przez jezdnię, dyrygując zamaszystymi gestami niewidzialną orkiestrą, z fontanny tryskała woda, a robotnicy budowlani siedzieli wokół niej i jedli obiad. Żelazne drabinki pięły się po fasadach odrażających domów z czerwonej cegły, ale te domy były tak obrzydliwe, że aż piękne; w ich sąsiedztwie stał wielki, szklany drapacz chmur, a za nim inny, na którego dachu zbudowano mały, arabski pałac z wieżyczkami, galeriami i złoconymi kolumnami.

Przypominała sobie swoje obrazy: również na nich spotykały się rzeczy, które do siebie nie pasowały: budowa huty, a za nią lampa naftowa albo jakaś inna lampa, której staromodny abażur z malowanego szkła jest rozbity na małe odłamki, unoszące się nad jałowym pejzażem krzewów.

— Piękno europejskie — mówi Franz — zawsze miało charakter intencjonalny. Istniał w nim estetyczny zamiar i długoletni plan, na podstawie którego człowiek przez dziesięciolecia budował gotycką katedrę albo renesansowe miasto. Piękno Nowego Jorku ma zupełnie inne źródła. Nie jest to piękno zamierzone. Rodzi się mimowolnie, mniej więcej tak jak jaskinia krasowa. Kształty, same w sobie paskudne, przypadkiem, niechcący znajdują się w sąsiedztwie tak niewiarygodnym, że zaczyna z nich emanować czarodziejska poezja.

— Niezamierzone piękno — odpowiada Sabina. — Tak. Można by również powiedzieć: piękno jako pomyłka. Zanim piękno zupełnie zniknie z tego świata, będzie jeszcze przez chwilę istnieć jako pomyłka. Piękno jako pomyłka jest ostatnią fazą historii piękna.

Przypominała sobie swój pierwszy dojrzały obraz: powstał dzięki temu, że przez pomyłkę skapnęła nań czerwona farba. Tak, jej obrazy miały za podstawę piękno pomyłki i Nowy Jork był tajemną i prawdziwą ojczyzną jej malarstwa.

— Możliwe — odpowiada Franz — że niezamierzone piękno Nowego Jorku jest o wiele bogatsze i barwniejsze od zbyt surowego i zbyt zakomponowanego piękna ludzkiego projektu. Ale nie jest to piękno europejskie. Jest to obcy świat.

Czyżby było coś, o czym jednak oboje myślą tak samo?

Nie. Jest tu różnica. Obcość nowojorskiego piękna Sabinę strasznie pociąga. Franza fascynuje, ale i przeraża; budzi w nim tęsknotę za Europą.

Ojczyzna Sabiny

Sabina rozumie jego niechęć do Ameryki. Franz jest ucieleśnieniem Europy: jego matka pochodziła z Wiednia, ojciec był Francuzem, a on sam jest Szwajcarem.

Franz z kolei podziwia ojczyznę Sabiny. Kiedy opowiada mu o sobie i o swych przyjaciółach z Czech, Franz słyszy słowa: więzienia, prześladowania, czołgi na ulicach, emigracja, ulotki, zakazana literatura, zabronione wystawy i czuje dziwną zawiść połączoną z nostalgią.

Zwiera się Sabinie: „Pewien filozof napisał raz o mnie, że wszystko, co mówię jest nieudowodnioną spekulacją i nazwał mnie «Sokratesem prawie nieprawdopodobnym». Czułem się strasznie poniżony i odpowiedziałem mu z wściekłością. Wyobraź sobie tylko! Ten śmieszny epizod był największym konfliktem, jaki kiedykolwiek przeżyłem! Żyjemy obydwójce w zupełnie innych wymiarach. Weszłaś w moje życie jak Guliwer do kraju liliputów”.

Sabina protestuje. Mówi, że konflikt, dramat, tragedia nic w ogóle nie oznaczają, żadnej wartości, niczego, co by zasługiwało na podziw i szacunek. To, czego każdy może zazdrościć Franzowi, to jego praca, którą może uprawiać w spokoju.

Franz kręci głową: „Kiedy społeczeństwo jest bogate, ludzie nie muszą pracować rękami i oddają się aktywności duchowej. Jest coraz więcej uniwersytetów i coraz więcej studentów. Żeby zdobyć dyplom, studenci muszą sobie wymyślać tematy prac naukowych. Tematów jest nieskończona ilość: o wszystkim na świecie można napisać dysertację. Zapisane kartki papieru piętrzą się w archiwach, smutniejszych od cmentarzy, ponieważ nikt do nich nie zajrzy, nawet w święto zmarłych. Kultura tonie w masie produkcji, w lawinie pism, w szaleństwie ilości. Dlatego właśnie twierdzę, że jedna zakazana książka w twej ojczyźnie znaczy nieskończenie więcej niż miliardy słów, które z siebie wyrzucają nasze uniwersytety”.

W tym sensie mógłbym zrozumieć słabość Franza dla wszystkich rewolucji. Sympatyzował kiedyś z Kubą, potem z Chinami, a kiedy odstręczyło go okrucieństwo tych reżymów, pogodził się melancholijnie z tym, że pozostaje mu tylko morze liter, które nic nie waży i nie są życiem. Został profesorem w Genewie (gdzie nie odbywają się żadne manifestacje) i (w samotności, bez kobiet i pochodów) wydał ze sporym sukcesem kilka książek naukowych. Potem pewnego dnia przyszła jak objawienie Sabina; przybyła z kraju, w którym już od dawna nie kwitły żadne rewolucyjne złudzenia, ale w którym przetrwało to, co najbardziej podziwiał w rewolucjach: życie rozgrywane się w wielkim wymiarze ryzyka, odwagi i niebezpieczeństwa śmierci. Sabina przywróciła mu wiarę w wielkość ludzkiego losu. Była piękniejsza o bolesny dramat jej

kraju, który przeświecał zza jej sylwetki.

Tyle, że Sabina nie kochała tego dramatu. Słowa: więzienie, prześladowanie, zakazane książki, okupacja, czołgi są dla niej paskudnymi słowami bez najmniejszego zapachu romantyzmu. Jedyne słowo, które się w niej odzywa słodko jak nostalgiczne wspomnienie ojczyzny to słowo „cmentarz”.

Cmentarz

Cmentarze w Czechach przypominają ogrody. Groby porastają trawnikiem i kolorowymi kwiatkami. Skromne pomniki toną w zieleni liści. Kiedy się ściemnia, cmentarz migoce małymi zapalonymi świeczkami, jakby zmarli wyprawiali bal dziecięcy. Tak, bal dziecięcy, bo umarli są niewinni jak dzieci. Choć życie było pełne okrucieństwa, na cmentarzach panuje zawsze spokój. Nawet podczas wojny, za Hitlera, za Stalina, za wszystkich okupacji. Kiedy było jej smutno, wsiadała do auta i jechała daleko za Pragę przechadzać się po wiejskich cmentarzach, które tak lubiła. Te cmentarze na tle błękitnych pagórków były piękne jak kołysanka.

Dla Franza cmentarz jest paskudnym składem kości i kamieni.

5.

— Za nic na świecie nie jeździłbym autem. Boję się śmiertelnie wypadku. Nawet jeśli człowiek się nie zabije, musi mu zostać uraz na całe życie — powiedział rzeźbiarz i machinalnie złapał się za palec wskazujący, którego kiedyś o mało sobie nie urznął, kiedy ociosywał drewnianą rzeźbę. Tylko cudem mu go uratowano.

— Ależ skąd! – zaszcebiotała Marie-Claude, która była w świetnej formie. – Przeżyłam ciężki wypadek i było to wspaniałe! Nigdzie się lepiej nie czułam niż w szpitalu! Nie mogłam w ogóle spać i czytałam bezustannie, dzień i noc.

Wszyscy patrzyli na nią z zachwytem, który wprawiał ją w stan błogości. We Franzu odraza (wiedział, że po wspomnianym wypadku jego żona była w bardzo złym stanie psychicznym i ciągle się skarżyła) mieszała się z podziwem (jej zdolność przetwarzania wszystkiego, co przeżyła świadczyła o imponującej witalności).

— Tam zaczęłam – ciągnęła – dzielić książki naienne i nocne. Naprawdę, istnieją książki na dzień i książki, które można czytać tylko w nocy.

Wszyscy wyrazili pełen podziwu zachwytem, tylko rzeźbiarz trzymał się za palec i marszczył twarz w nieprzyjemnym wspomnieniu.

Marie-Claude zwróciła się do niego:

— Do której grupy zaliczyłbyś Stendhala?

Rzeźbiarz nie słuchał, więc wzruszył niepewnie ramionami. Stojący obok niego krytyk sztuki stwierdził, że jego zdaniem Stendhal jest lekturą dzienną.

Marie-Claude pokręciła głową i zaszcebiotała:

— Mylisz się! Nie, nie, nie, mylisz się! Stendhal jest nocnym autorem!

Franz brał udział w dyskusji o sztuce dziennej i nocnej pełen niepokoju, ponieważ myślał tylko o tym, kiedy się zjawi Sabina. Zastanawiali się oboje od wielu dni, czy powinna, czy też nie powinna przyjąć zaproszenia na ten koktajl. Marie-Claude zorganizowała go dla wszystkich malarzy i rzeźbiarzy, którzy kiedykolwiek mieli wystawy w jej prywatnej galerii. Odkąd poznała Franza, Sabina unikała jego żony. Ale ponieważ bali się wpadki, doszli do wniosku, że będzie bardziej naturalne i mniej podejrzane, jeśli przyjdzie.

Zerknął niepostrzeżenie w kierunku przedpokoju i przy tej okazji uświadomił sobie, że z drugiego końca salonu ustawicznie rozbrzmiewa głos jego osiemnastoletniej córki Marie-Anne. Odszedł od grupy, w której panowała jego żona, do kręgu, w którym królowała córka. Ktoś siedział w fotelu, inni stali, Marie-Anne siedziała na podłodze. Franz był pewien, że również Marie-Claude w drugim kącie salonu wkrótce usiądzie na dywanie. Usiąść przy gościach na ziemi oznaczało w tych czasach, że się jest naturalnym, postępowym, przyjacielskim i paryskim. Namiętność, z jaką Marie-Claude siadywała wszędzie na ziemi, była taka, że Franz często się bał, aby nie usiadła na ziemi w sklepie, do którego chodziła kupować papierosy.

— Nad czym teraz pracujesz, Alan? — spytała Marie-Anne, mężczyznę, u którego stóp siedziała.

Alan był naiwnym poczciwiną i pragnął córce właścicielki galerii odpowiedzieć szczerze. Zaczął jej wyjaśniać swój nowy sposób malowania, który był połączeniem fotografii i malarstwa olejnego. Zdążył powiedzieć mniej więcej trzy zdania, kiedy Marie-Anne zaczęła gwizdać. Malarz mówił powoli i w skupieniu i nie usłyszał gwizdania.

Franz szepnął.

— Możesz mi powiedzieć, dlaczego gwizdziesz?

— Ponieważ nie lubię, kiedy się mówi o polityce – odpowiedziała głośno.

Rzeczywiście, dwaj mężczyźni stojący w ich kółku rozmawiali o wyborach we Francji. Marie-Anne, która czuła się w obowiązku kierować zabawą, spytała obu mężczyzn, czy pójdą w przyszłym tygodniu na operę Rossiniego, którą miała wykonać w Genewie włoska trupa. Malarz Alan szukał tymczasem coraz dokładniejszych i bardziej precyzyjnych sformułowań dla wyjaśnienia swojego nowego sposobu malowania i Franz wstydił się za córkę. Żeby jej zamknąć usta, oświadczył, że na operach się potwornie nudzi.

— „Ty jesteś straszny – powiedziała Marie-Anne i starała się z podłogi uderzyć ojca w brzuch. – Główny śpiewak jest piękny. Ach, jak piękny! Widziałam go dwa razy i zakochałam się w nim.

Franz skonstatował, że jego córka jest szalenie podobna do matki. Czemu nie przypomina raczej jego? Nic się nie da zrobić, nie jest do niego podobna. Niezliczona ilość razy słyszał, jak Marie-Claude oświadcza, że zakochała się w tym czy innym malarzu, śpiewaku, pisarzu, polityku, a raz nawet kolarzu. Oczywiście, była to tylko retoryka kolacji i koktajli, on jednak przypominał sobie w tych momentach, że kiedyś, przed dwudziestu laty powiedziała to samo o nim i że groziła mu samobójstwem. W tym momencie do salonu weszła Sabina. Marie-Claude zobaczyła ją i podeszła do niej. Jego córka wciąż prowadziła konwersację o Rossinim, ale on słyszał tylko to, o czym mówiły dwie kobiety. Po kilku przyjaznych zdaniach powitania Marie-Claude wzięła w palce ceramiczny naszyjnik, który wisiał na szyi Sabiny i powiedziała bardzo głośno:

— A to co? Ależ to brzydkie!

To zdanie przygwoździło Franza. Nie było w nim agresji, przeciwnie, szczebiotliwy śmiech miał natychmiast wyrazić, że dezaprobata dla wisiora nie zmienia nic w przyjaźni, którą Marie-Claude żywi dla malarki, ale przecież było to zdanie wymykające się manierze, w jakiej Marie-Claude zwykła rozmawiać.

— Sama go zrobiłam – powiedziała Sabina.

— Jest bardzo brzydki, naprawdę – powtórzyła Marie-Claude bardzo głośno. – Nie powinnaś go nosić.

Franz wiedział, że jego żony nie interesowało specjalnie, czy naszyjnik jest brzydki, czy też nie. Brzydkie było to, co chciała widzieć brzydkim, piękne to, co chciała widzieć pięknym. Klejnoty jej przyjaciół były a priori piękne. Gdyby przypadkiem sądziła, że któryś jest brzydki, zatrzymałaby to dla siebie, ponieważ pochlebstwo stało się jej drugą naturą.

Czemu więc zdecydowała, że klejnot, który Sabina sama sobie zrobiła będzie uważać za brzydki?

Dla Franza nagle wszystko było jasne: Marie-Claude ogłosiła, że naszyjnik Sabiny jest brzydki, ponieważ mogła sobie na to pozwolić.

Dokładniej: Marie-Claude ogłosiła, że naszyjnik Sabiny jest brzydki, żeby pokazać, że może sobie pozwolić na powiedzenie Sabinie, że jej naszyjnik jest brzydki.

Wystawa Sabiny przed rokiem nie miała wielkiego powodzenia i Marie-Claude nie zależało na sympatii Sabiny. Natomiast Sabina miała powody, by zabiegać o sympatię Marie-Claude. Z jej zachowania nie można było tego jednak zauważyć.

Tak, dla Franza było to całkiem jasne: Marie-Claude skorzystała z okazji, aby Sabinie (i innym) pokazać, jaki jest rzeczywisty stosunek sił między nią a praską malarką.

6.

Mały słownik niezrozumianych słów (dokończenie)

Stary kościół w Amsterdamie

Z jednej strony stoją domy, a za wielkimi pastelowymi oknami podobnymi do wystaw sklepowych znajdują się małe pokoiki kurew, które rozebrane do bielizny siedzą tuż przy szybie w fotelikach wyścielanych poduszkami. Wyglądają jak wielkie, znudzone kotki.

Drugą stronę ulicy tworzy wielki gotycki kościół z czternastego wieku. Pomiędzy światem kurew i światem bożym unosi się niczym rzeka między dwoma królestwami intensywny smród moczu.

W środku ze starego gotyckiego stylu pozostały tylko gołe, białe ściany, filary, sklepienia i okna. Na ścianach nie wisi ani jeden obraz, nigdzie nie stoi żadna rzeźba. Kościół jest goły jak sala gimnastyczna. Tylko pośrodku ustawione w czworobok krzesła otaczają miniaturowe podium z pulpitem dla kaznodziei. Za krzesłami stoją drewniane kabiny, łoże bogatych rodzin mieszczan. Te krzesła i łoże są zupełnie niewspółmierne do kształtu ścian i rozmieszczenia filarów, jak gdyby chciały okazać gotyckiej architekturze swą obojętność i pogardę. Wiara kalwińska już przed stuleciami przemieniła kościół w rodzaj hangaru, którego jedyną funkcją jest ochrona wiernych przed deszczem i śniegiem.

Franz był zafascynowany: przez tę ogromną nawę przeszedł Wielki Marsz historii.

Sabina przypomniała sobie, jak po komunistycznym przewrocie w Czechach upaństwowiono wszystkie zamki i zmieniono je w technika, domy starców, a nawet w obory. Jedną z takich obór odwiedziła: do sztukaterii ścian przybito haki z żelaznymi kółkami, a do nich przywiązano krowy patrzące marzycielsko

przez okna na park pałacowy, po którym biegały kury.

Franz powiedział:

— Ta pustka mnie fascynuje. Ludzie zgromadzili ołtarze, rzeźby, obrazy, fotele, dywany, księgi i potem przychodzi chwila radosnej ulgi, kiedy wymiata się to wszystko jak śmiecie ze stołu. Możesz sobie wyobrazić miotłę Herkulesa, która wymiata ten kościół?

Sabina wskazała na drewnianą lożę:

— Biedni musieli stać, a bogaci mieli loże. Jedno wszak łączyło bankiera i biedaka: nienawiść do piękna.

— Co to jest piękno? - spytał Franz i przed oczyma stanął mi wernisaż, w którym musiał niedawno wziąć udział u boku swej żony. Nieskończona marność języka i słów, marność kultury, marność sztuki.

Kiedy jako studentka pracowała na budowie huty i miała już dość wesołych marszy grzmiących bez przerwy z głośników, wsiadła któregoś niedzieli na motocykl i pojechała daleko w góry. Zatrzymała się w nieznanym wiosce zagubionej wśród gór. Oparła motocykle ścianę kościoła i weszła do środka. Właśnie trwała msza. Religia była wtedy prześladowana i większość ludzi unikała kościoła. W ławkach siedzieli tylko starcy i staruszki – ci nie bali się reżymu. Bali się już tylko śmierci.

Ksiądz wygłosił śpiewnym głosem jakieś zdanie, a ludzie chórem je powtórzyli. Była to litania. Te same słowa powracały jak pątnik, który nie może oderwać wzroku od krajobrazu albo jak człowiek, który nie może rozstać się z życiem. Siedziała z tyłu na ławce, chwilami przymykała oczy, tylko po to, by lepiej słyszeć muzykę słów, a potem znów je otwierała: widziała w górze pomalowane na niebiesko sklepienie, a na nim wielkie złote gwiazdy. Była oczarowana.

To, co niespodziewanie spotkała w tym kościele, to nie był Bóg, ile piękno. Wiedziała przy tym dobrze, że ten kościół i te litanie nie były piękne same w sobie, ale właśnie w połączeniu z placem budowy, na którym spędzała dni wśród wrzasku pieśni. Msza była piękna, bowiem pojawiła się przed nią nagle i tajemnie jak zdradzony świat.

Od tego czasu wiedziała, że piękno jest zdradzonym światem. Możemy się z nim spotkać tylko w miejscach, w których prześladowcy przez pomyłkę o nim wspomnieli. Piękno jest ukryte za kulisami pierwszomajowego pochodu. Jeśli chcemy je odnaleźć, musimy rozerwać płótno dekoracji.

— Po raz pierwszy fascynuje mnie jakiś kościół – powiedział Franz. Tego zachwytu nie budził w nim protestantyzm ani asceza. Było to coś innego, coś bardzo osobistego, o czym nie ośmielał się Sabinie mówić. Zdawało się, że słyszy głos, który go namawia, aby wziął w ręce miotłę Herkulesa i wymiółł ze swego życia wernisaże Marie-Gaude, śpiewaków Marie-Anne, kongresy i sympozja, zbyteczne przemówienia i zbyteczne słowa. Wielka pusta przestrzeń amsterdamskiego kościoła wydawała mu się obrazem jego własnego oswobodzenia.

Sila

W łóżku jednego z tych wielu hoteli, w których się kochali, Sabina bawiła się rękami Franza.

— To niewiarygodne – powiedziała – jakie ty masz mięśnie. Franza ta pochwała ucieszyła. Wstał z łóżka, chwycił ciężkie dębowe krzesło za nogę i pomału podniósł do góry.

— Nie musisz się niczego obawiać – powiedział. – Ochronię cię w każdej sytuacji. Uprawiałem kiedyś wyczynowo judo.

Udało mu się wyprostować rękę z ciężkim krzesłem nad głową i Sabina powiedziała:

— To takie przyjemne, widzieć jak jesteś silny.

W głębi duszy dodała: Franz jest silny, ale jego siła jest czysto zewnętrzna. Wobec ludzi, z którymi żyje, których kocha, jest słaby. Słabość Franza nazywa się dobrocią. Franz nigdy nie narzuciłby niczego Sabinie. Nie rozkazałby jej, jak kiedyś Tomasz, żeby położyła na podłodze lustro i chodziła po nim naga. Nie dlatego, że nie jest na to dość zmysłowy, ale brak mu siły, by rozkazywać. Są rzeczy, które można przeprowadzić tylko gwałtem. Miłość cielesna nie jest możliwa bez gwałtu.

Sabina przyglądała się Franzowi przechadzającemu się po pokoju z krzesłem uniesionym do góry, wydawało jej się to groteskowe i wypełnił ją dziwny smutek.

Franz opuścił krzesło i usiadł na nim twarzą do Sabiny.

— Nie mówię, że nie jest przyjemnie być silnym - powiedział. -Ale po co mi w Genewie takie mięśnie? Noszę je jak ornament. Jak pawie pióra. Nigdy w życiu się z nikim nie biłem.

Sabina ciągnęła swoje melancholijne rozmyślenia: a gdyby miała mężczyznę, który jej rozkazuje? Który chciałby nad nią panować? Jak długo by z nim wytrzymała? Nawet nie pięć minut! Z czego wynika, że nie pasuje do niej żaden mężczyzna. Ani silny, ani słaby.

Powiedziała:

— A czemu nigdy nie używasz siły w stosunku do mnie?

— Ponieważ kochać to znaczy wyrzec się siły – odpowiedział cicho Franz.

Sabina uświadomiła sobie dwie rzeczy: po pierwsze, że to zdanie jest piękne i prawdziwe. Po drugie,

że przez to zdanie Franz dyskwalifikuje się w jej życiu erotycznym.

Życ w prawdzie

To jest sformułowanie, którego Kafka użył albo w swym dzienniku, albo w którymś z listów. Franz już nie pamięta, gdzie. To sformułowanie go zafrapowało. Co to znaczy żyć w prawdzie? Definicja negatywna jest łatwa: znaczy to nie kłaniać, niczego nie ukrywać, niczego nie przemilczać. Od czasu, kiedy poznał Sabinę, Franz żyje w kłamstwie. Opowiada żonie o kongresach w Amsterdamie, o wykładach w Madrycie, które nigdy się nie odbyły i boi się chodzić z Sabiną po genewskiej ulicy. Kłamstwo i ukrywanie się bawi go właśnie dlatego, że nigdy dotąd tego nie robił. Jest przyjemnie podniecony, jak prymus, który zdecydował się raz w życiu pójść na wagary.

Dla Sabiny życie w prawdzie, nieokłamywanie siebie ani innych jest możliwe tylko pod warunkiem, że żylibyśmy bez publiczności. W chwili, kiedy ktoś obserwuje nasze zachowanie, chcąc nie chcąc dostosowujemy się do wzroku, który na nas patrzy i nic z tego, co robimy nie jest już prawdą. Obecność publiczności, myśl o publiczności oznacza życie w kłamstwie. Sabina pogardzała literaturą, w której ludzie opowiadają o sobie i o swych przyjaciółach wszystkie intymności. Człowiek, który traci swą intymność, traci wszystko – myśli Sabina. A człowiek, który się jej pozbywa dobrowolnie, jest potworem. Dlatego Sabina bynajmniej nie cierpi z powodu faktu, że musi ukrywać swą miłość. Przeciwnie, tylko tak może „żyć w prawdzie”.

Inaczej Franz. Jest przekonany, że podział życia na sferę prywatną i publiczną jest źródłem wszelkiego kłamstwa: człowiek jest kim innym prywatnie, a kim innym publicznie. „Życie w prawdzie” oznacza dla Franza przełamanie bariery pomiędzy prywatnym a publicznym. Chętnie cytuje zdanie Andre Bretona o tym, że chciałby żyć w „szklanym domu”, w którym nic nie jest tajemnicą i do którego może zajrzeć.

Kiedy usłyszał, jak jego żona mówi do Sabiny: „ten naszyjnik jest brzydki!”, zrozumiał, że nie może dłużej żyć w kłamstwie. W tym momencie powinien był bowiem stanąć po stronie Sabiny. Nie zrobił tego dlatego, że obawiał się zdradzić tajemnicę ich miłości.

Znów przypomniał sobie ogromną przestrzeń starego kościoła w Amsterdamie i znów poczuł w sobie szczególny, niezrozumiały zachwyt, który w nim budziła jego pustka.

Nazajutrz po koktajlu miał pojechać na dwa dni z Sabiną do Rzymu. W duchu słyszał wciąż zdanie: „ten naszyjnik jest brzydki!” i widział swą żonę w zupełnie innym świetle niż przez całe życie. Jej hałaśliwa, na wszystko odporna i porywcza agresywność zdjęła mu z ramion brzemień łagodności, które niósł dobrowolnie przez całe dwadzieścia trzy lata małżeństwa.

Pakował neseser, kiedy Marie-Claude weszła do pokoju; opowiadała mu o wczorajszych gościach, energicznie chwaliła niektóre poglądy, które słyszała, pogardliwie negowała inne.

Franz popatrzył na nią przeciągle, a potem powiedział:

— W Rzymie nie odbywa się żadna konferencja. Nie rozumiała:

— To po co tam jedziesz?

— Już od dziewięciu miesięcy mam kochankę – powiedział. Nie chcę się z nią spotykać w Genewie. Dlatego tak często podróżuję. Sądzę, że powinnaś o tym wiedzieć. Po pierwszych wypowiedzianych słowach przeląkł się. Początkowa odwaga go opuściła. Odwrócił wzrok, aby nie widzieć na twarzy Marie-Claude rozpacz, którą spodziewał się wywołać. Po małej pauzie usłyszał:

— Tak, ja również sądzą, że powinnam o tym wiedzieć.

Głos brzmiał pewnie. Franz podniósł wzrok: Marie-Claude nie była zdruzgotana. Była wciąż podobna do tej kobiety, która wczoraj powiedziała szczebiotliwie: „ten naszyjnik jest brzydki!”

Ciągnęła:

— Skoro już jesteś taki odważny i powiedziałeś mi, że od dziewięciu miesięcy mnie zdradzasz, to może powiesz mi również z kim?

Zawsze sobie powtarzał, że nie ma prawa zranić Marie-Claude, że musi w niej szanować kobietę. Ale gdzie się podziała ta kobieta? Inaczej mówiąc, gdzie podział się obraz matki, który łączył ze swą żoną? Mama, jego smutna i zraniona mama, która na każdą nogę założyła inny but, ulotniła się z Marie-Claude, a właściwie nie ulotniła się, tylko nigdy jej w niej nie było. Uświadomił to sobie z nagłą nienawiścią.

— Nie mam żadnego powodu, by to ukrywać – powiedział.

Skoro nie zranił jej fakt, że nie jest jej wierny, nie wątpił, że zrani ją wiadomość o tym, kto jest jej rywalką. Dlatego opowiadając jej o Sabinie nie spuszczał wzroku z jej twarzy.

W chwilę później spotkał się z Sabiną na lotnisku. Samolot uniósł się w górę, a on z każdą chwilą czuł coraz większą lekkość. Mówił sobie, że po dziewięciu miesiącach znów nareszcie żyje w prawdzie

Sabina czuła się, jakby Franz gwałtem wylał drzwi do jej intymności. Jak gdyby nagle zajrzała do środka głowa Marie-Claude, głowa Marie-Anne, głowa malarza Alana i rzeźbiarza, który wciąż trzyma się za palec, głowy wszystkich ludzi, których znała w Genewie. Wbrew swej woli została rywalką kobiety, która jej w ogóle nie obchodzi. Franz rozwiedzie się, a ona zajmie obok niego miejsce w szerokim łożu małżeńskim. Wszyscy to będą z bliska albo i dystansu obserwować, przede wszystkim będzie musiała coś odgrywać, zamiast pozostać Sabiną, będzie grać rolę Sabiny i wymyślać sobie, jak ma tę rolę grać. Ujawniona miłość nabierze ciężaru, stanie się brzemieniem. Sabina już teraz ugina się pod ciężarem tego brzemienia.

Jedli w rzymskiej restauracji kolację i pili wino. Milczała.

— Naprawdę się nie gniewasz? - pytał się Franz.

Zapewniała go, że się nie gniewa. Była jeszcze niepewna i nie wiedziała, czy ma się cieszyć, czy nie. Przypomniła sobie ich spotkanie w sleepingu do Amsterdamu. Chciała wtedy paść przed nim na kolana i błagać go, żeby przytrzymał ją przy sobie choćby gwałtem i nigdy nie wypuścił. Pragnęła wówczas, żeby raz wreszcie skończyła się ta niebezpieczna droga zdrad. Pragnęła się zatrzymać.

Teraz starała się najintensywniej przywołać to ówczesne pragnienie, oprzeć się o nie. Bez skutku. Poczucie obrzydzenia było mocniejsze.

Wracali do hotelu wieczorną ulicą. Włosi wokół krzyczeli, szumieli, gestykulowali, tak, że mogli iść obok siebie bez słów, nie słysząc swego milczenia.

Potem Sabina długo myślała się w łazience, a Franz czekał na nią łóżku pod kołdrą. Mała lampka była jak zawsze zapalona.

Kiedy wróciła z łazienki, zgasła ją. Zrobiła to po raz pierwszy, Franz powinien był zwrócić uwagę na ten gest. Nie zauważył go, ponieważ światło nie miało dla niego żadnego znaczenia. Jak wiemy, podczas kochania zamykał oczy.

Właśnie ze względu na te zamknięte oczy Sabina zgasła lampę.

Nie chciała już ani przez chwilę oglądać tych opuszczonych powiek. Oczy, jak mówi przysłowie, są oknem duszy. Ciało Franza, które się na niej miotało zawsze z zamkniętymi oczyma, było dla niej ciałem bez duszy. Podobne było do ślepego szczenięcia wydającego bezsilne dźwięki pragnienia. Spółkujący Franz ze wspaniałymi mięśniami był jak gigantyczne szczenię karmiące się z jej piersi. Zresztą naprawdę trzymał w ustach brodawkę jej piersi jak gdyby ssał mleko! Wyobrażenie, że ma do czynienia w dolnej partii z mężczyzną, a w górnej z oseskiem, że spółkuje z niemowlęciem, doprowadziła ją do granicy wstępu. Nie, już nigdy nie chce widzieć, jak drga na niej rozpaczliwie, już nigdy nie nadstawi mu swej piersi jak suczka szczenięciu, dziś jest ostatni raz, nieodwołalnie ostatni!

Wiedziała oczywiście, że jej postępowanie jest szczytem niesprawiedliwości, że Franz jest najlepszym z wszystkich mężczyzn, jakich kiedykolwiek miała, że jest inteligentny, że rozumie jej malarstwo, że jest ładny, że jest dobry, ale im bardziej to sobie uświadamiała, tym bardziej pragnęła zgwałcić tę inteligencję, tę dobroć, zgwałcić tę bezsilną siłę.

Kochała się z nim tej nocy gwałtowniej niż kiedykolwiek, ponieważ podniecała ją świadomość, że robi to po raz ostatni. Kochała się z nim i była już daleko stąd. Słyszała z oddali złotą trąbkę zdrady i wiedziała, że jest to głos, któremu ulegnie. Wydawało jej się, że ma przed sobą niezmierną przestrzeń wolności i dal tej przestrzeni ją podniecała. Kochała się z Franzem wariacko, dziko, tak jak nigdy przedtem.

Franz szlochał na jej ciele i był pewien, że wszystko rozumie: choć Sabina była przy kolacji milcząca, choć mu nie powiedziała, co myśli o jego decyzji, teraz mu odpowiada. Wyraża swą radość, swą namiętność, swą zgodę, swe pragnienie, by zostać z nim na zawsze.

Czuł się jak jeździec, który pędzi na koniu we wspaniałą pustkę, pustkę bez żony, córki, domu, we wspaniałą pustkę wymiecioną miotłą Herkulesa, wspaniałą pustkę, którą wypełni swą miłością.

Obydwoje jechali na tym drugim jak na koniu. Obydwoje jechali w dal, do której tęsknili. Obydwoje byli upojeni zdradą, która ich oswobodziła. Franz jechał na Sabinie i zdradzał swą żonę. Sabina jechała na Franzu i zdradzała Franza.

8.

Przez dwadzieścia lat widział w swej żonie matkę, słabą istotę, którą należy chronić; ta wizja była w nim zbyt mocno zakorzeniona, aby mógł się jej pozbyć w ciągu dwóch dni. Kiedy wracał do domu, miał wyrzuty sumienia, bał się, że po jego odjeździe załamała się i że zobaczy ją udręczoną przez smutek. Nieśmiało odemknął drzwi, wszedł do swego pokoju. Przez chwilę stał cicho i nasłuchiwał: tak, była w domu. Po chwili wahania wszedł do niej przywitać się, jak to mieli w zwyczaju. Uniosła brwi w udawanym zdziwieniu:

— Przyszedłeś tutaj?

— A dokąd miałbym iść? – chciał powiedzieć (z prawdziwym zdziwieniem), ale nie powiedział nic.

Ciągnęła:

— Żeby wszystko było między nami jasne. Nie mam nic przeciwko temu, żebyś wyprowadził się natychmiast.

Kiedy przyznawał się jej w dzień wyjazdu, nie miał żadnego konkretnego planu. Był przygotowany po powrocie na przyjacielskie dyskusje, jak załatwić wszystkie sprawy jak najmniej ją raniąc. Nie liczył się z tym, że sama chłodno i wytrwale będzie nalegała, żeby od niej odszedł.

Choć ułatwiało mu to sytuację, nie mógł nie poczuć rozczarowania. Przez całe życie bał się ją zranić i tylko dlatego zwał na siebie dobrowolną dyscyplinę ogłupiającej monogamii. Po dwudziestu latach nagle zobaczył, że jego względy były zupełnie niepotrzebne i że stracił dziesiątki kobiet przez nieporozumienie!

Po południu miał wykład i prosto z uniwersytetu poszedł do Sabiny. Chciał ją zapytać, czy nie mógłby zostać u niej na noc. Zadzwoił, ale nikt mu nie otwierał. Poszedł do kawiarni naprzeciwko i długo obserwował wejście do jej domu.

Był już późny wieczór i nie wiedział, co ma robić. Jeśli teraz wróci do domu, ma położyć się obok niej do łóżka? Mogłby posłać sobie na tapczanie w sąsiednim pokoju. Ale czy ten gest nie byłby śmieszny i przesadny? Czy nie wyglądałby jak manifestacja wrogości? Chce przecież zachować ze swą żoną przyjazne stosunki. Oczywiście, położyć się obok niej było również niemożliwe. Słyszał już w wyobraźni jej ironiczne pytanie, czemu nie wybrał raczej łóżka Sabiny. Dlatego znalazł sobie pokój w hotelu.

Nazajutrz znowu bez skutku wydzwaniał przez cały dzień do drzwi Sabiny.

Trzeciego dnia odwiedził dozorczynię domu, w którym znajdowała się pracownia Sabiny. Nic nie wiedziała i wysłała go do właścicielki, która wynajmowała Sabinie pracownię. Zatelefonował do niej i usłyszał, że Sabina przedwczoraj wymówiła mieszkanie.

Jeszcze przez kilka dni próbował złapać Sabinę w domu, aż wreszcie któregoś dnia zastał mieszkanie otwarte, a w środku trzech mężczyzn w niebieskich kombinezonach, którzy wnosili obrazy i meble do wielkiej ciężarówki zaparkowanej przed domem.

Spytał ich dokąd mają zawieźć meble.

Odpowiedzieli, że mają wyraźne polecenie, by utrzymać adres w tajemnicy.

Chciał im już wetknąć kilka banknotów, żeby wyciągnąć z nich tę tajemnicę, ale nagle poczuł, że nie ma siły tego zrobić. Smutek go sparaliżował. Niczego nie rozumiał, niczego nie umiał sobie wyjaśnić, wiedział tylko, że czekał na ten moment od chwili, kiedy poznał Sabinę. Stało się, co się stać miało. Franz się nie bronił.

Znalazł sobie małe mieszkanie na Starym Mieście. W czasie, o którym wiedział, że nie zostanie tam żony ani córki, odwiedził swój dawny dom i zabrał ubrania i najważniejsze książki. Zwracał uwagę na to, aby nie wziąć niczego, co mogłoby brakować Marie-Claude.

Pewnego dnia zobaczył ją za szybą kawiarni. Siedziała z dwiema paniami, a jej twarz, na której konwencjonalna mimika wyryła już sporo zmarszczek, była w pełnym temperamencie ruchu. Panie słuchały jej i ustawicznie się śmiały. Franz nie mógł się uwolnić od poczucia, że opowiada o nim. Musiała się z pewnością dowiedzieć o tym, że Sabina zniknęła z Genewy dokładnie w tym czasie, kiedy Franz zdecydował się z nią żyć. To naprawdę komiczna historia! Nie dziwiło go, że stanowi przedmiot zabawy przyjaciółek jego żony.

Wrócił do swego nowego mieszkania, w którym co godzinę słychać było dzwony kościoła Świętego Piotra. Właśnie tego dnia przyniesiono mu z domu towarowego stół. Zapomniał o Marie-Claude i jej przyjaciółkach. Zapomniał w tym momencie również o Sabinie. Siadł za stołem. Cieszył się, że sam go wybrał. Przez dwadzieścia lat żył wśród mebli, których sobie nie wybierał. Wszystko załatwiała Marie-Claude. Właściwie po raz pierwszy przestał być chłopcem i jest samodzielny. Na następny dzień zamówił stolarza, który miał mu zrobić regały. Już od kilku dni rozrysowywał ich kształt, wymiary i rozmieszczenie.

Wtedy właśnie uświadomił sobie nagle ze zdziwieniem, że nie jest nieszczęśliwy. Fizyczna obecność Sabiny była o wiele mniej ważna niż przypuszczał. Ważny był ślad, złoty, czarowny ślad, który wycisnęła na jego życiu i którego nikt mu nie mógł odebrać. Zanim zniknęła z jego pola widzenia, zdążyła mu wcisnąć do rąk miotłę Herkulesa, którą wymiotł ze swego życia wszystko, czego nie lubił. To niespodziewane szczęście, ta pogoda ducha, ta radość z wolności i nowego życia, to był prezent, który mu pozostawiła.

Zresztą zawsze wolał nierzeczywiste od rzeczywistego. Podobnie jak lepiej czuł się w pochodach (które, jak mówiłem, były teatrem i snem) niż za katedrą, gdzie wykladał studentom, był szczęśliwszy z Sabiną, która przemieniła się w niewidoczną boginię, niż z Sabiną, z którą jeździł po świecie i o której miłość nieustannie się lękał. Dała mu nieoczekiwaną wolność mężczyzny, który żyje sam, obdarowała go światłem uwodziciela. Stał się atrakcyjny dla kobiet; jedna z jego słuchaczek zakochała się w nim.

I tak w ciągu niewiarygodnie krótkiego czasu zmieniła się sceneria jego życia. Do niedawna mieszkał w mieszczańskim domu ze służącą, córką i żoną, a teraz wynajmuje małe mieszkanie na Starym Mieście i niemal co noc zostaje u niego młoda kochanka. Nie musi z nią jeździć po hotelach całego świata, może kochać się z nią we własnym mieszkaniu, we własnym łóżku, w obecności swych książek i popielniczki na szafce nocnej!

Dziewczyna była skromna, niezbyt ładna, ale podziwiała Franza tak, jak jeszcze niedawno Franz

podziwiał Sabinę. Nie było to nieprzyjemne. I nawet jeśli mógł odczuwać wymianę Sabiny na studentkę w okularach jako małą degradację, jego dobroć zatroszczyła się o to, by przyjąć nową kochankę wdzięcznie i czuć do niej miłość ojcowską, której przedtem nie mógł nigdy zaspokoić ze względu na to, że Marie-Anne nie zachowywała się jak córka, ale jak druga Marie-Claude.

Pewnego dnia odwiedził swą żonę i powiedział jej, że chciałby się znów ożenić.

Marie-Claude pokręciła głową.

— Ależ nic się nie zmieni, kiedy się rozwiedziemy! Nic na tym nie stracisz! Zostawię ci cały majątek.

— Mnie nie chodzi o majątek – powiedziała.

— Więc o co ci chodzi?

— O miłość — uśmiechnęła się.

— O miłość? — zdziwił się Franz.

— Miłość to walka — uśmiechnęła się Marie-Claude. — Będę walczyć długo. Aż do końca.

— Miłość to walka? Nie mam najmniejszej chęci walczyć - powiedział Franz i odszedł.

9.

Po czterech latach spędzonych w Genewie Sabina zamieszkała w Paryżu i nie mogła pozbyć się melancholii. Gdyby ktoś ją zapytał, co się stało, nie znalazłaby na to słów.

Dramat życiowy zawsze można wyrazić przez metaforę ciężaru. Mówimy, że na człowieka spadło jakieś brzemie. Człowiek uniesie to brzemie albo nie uniesie, upada pod nim, walczy z nim, przegrywa albo zwycięża. Ale co właściwie stało się Sabinie? Nic. Porzuciła mężczyznę, ponieważ chciała go porzucić. Czy prześladował ją później? Czy mścił się na niej? Nie. Jej dramat nie był dramatem ciężaru, ale lekkości. To, co spadło na Sabinę, to nie był ciężar, ale nieznośna lekkość istnienia.

Dotychczas sobie tego nie uświadamiała, co jest zresztą zrozumiałe: cel, do którego człowiek dąży, jest zawsze niejasny. Dziewczyna, która tęskni do małżeństwa, tęskni do czegoś całkiem nieznanego. Młodzieniec, który pragnie sławy, nie wie, co to jest sława. To, co nadaje sens naszemu postępowaniu, jest dla nas zawsze czymś totalnie nieznanym. Sabina również nie wiedziała, jaki cel skrywa się za jej pragnieniem zdrad. Nieznośna lekkość istnienia – czy to miałby być cel? Po odjeździe z Genewy znacznie się do niego zbliżyła.

Była w Paryżu już od trzech lat, kiedy dostała list z Czech. Pisał do niej syn Tomasza, Dowiedział się jakoś o niej, zdobył jej adres i zwracał się do niej jako do „najlepszej przyjaciółki” swego ojca. Informował ją o śmierci Tomasza i Teresy. Żyli podobno w ostatnich latach na wsi, gdzie Tomasz pracował jako szofer ciężarówki. Mieli zwyczaj jeździć razem od czasu do czasu do sąsiedniego miasteczka, gdzie nocowali w tanim hotelu. Droga do tego miasteczka wiodła serpentynami przez góry i auto spadło z wysokiego urwiska. Ich ciała były rozbite na miazgę. Policja stwierdziła w śledztwie, że hamulce ciężarówki były w katastrofalnym stanie.

Nie mogła się otrząsnąć po tej wiadomości. Ostatnia linia, która jeszcze wiązała ją z przeszłością, została zerwana.

Swoim starym zwyczajem chciała uspokoić się spacerem po cmentarzu. Cmentarz na Montparnassie był najbliższy. Składał się z małych domków, miniaturowych kapliczek ustawionych nad każdym grobem. Sabina nie rozumiała, dlaczego martwi chcą mieć nad sobą tę imitację pałacu. Ten cmentarz był próżnością przekutą w kamień. Zamiast zmądrzeć po śmierci, mieszkańcy cmentarza wydawali się jeszcze głębsi niż za życia. Demonstrowali przy pomocy pomników swą ważność. Nie spoczywali tu tatusiowie, bracia, synowie albo babcie, ale dygnitarze i działacze publiczni, kawalerowie orderów, tytułów i zaszczytów; nawet urzędnik pocztowy wystawiał tu swą pozycję, swe znaczenie społeczne, swą ważność.

Szła alejką cmentarza i zobaczyła, że kawałek od drogi właśnie kogoś chowają. Mistrz ceremonii trzymał naręcz kwiatów i rozdawał każdemu z uczestników po jednym. Dał go również Sabinie. Przyłączyła się do reszty. Obchodzili hakiem wiele pomników, aż wreszcie doszli do mogiły, z której odwalono kamień nagrobny. Skłoniła się nad jamę. Była niezmiernie głęboka. Wypuściła kwiat. Spadł kołując na trumnę. Tak głębokich grobów nie ma w Czechach. W Paryżu groby są tak samo głębokie jak domy wysokie. Spojrzała na odwalony kamień leżący obok grobu. Ten kamień tak ją przeraził, że popędziła do domu.

Przez cały dzień myślała o tym kamieniu. Dlaczego tak ją przeraził? Odpowiedziała sobie: jeśli grób przykryty jest kamieniem, martwy nigdy już nie będzie mógł się z niego wydostać.

Ale martwy i tak przecież nie może wyjść z grobu! Czy to nie wszystko jedno, czy grób przykrywa glina czy kamień?

Nie. To, że przywalamy grób kamieniem, oznacza, że nie chcemy, żeby martwy do nas wrócił. Ciężki kamień mówi martwemu: „Zostań tam, gdzie jesteś!”.

Sabina przypomniała sobie grób swego taty. Nad jego trumną leży glina, z gliny wyrastają kwiaty, a jawor wyciąga ku trumnie swe korzenie, tak że może nam się wydawać, że martwy poprzez te kwiaty i

korzenie wychodzi z grobu, gdyby tata był przykryty kamieniem, nigdy by nie mogła z nim po jego śmierci porozmawiać, nigdy nie mogłaby usłyszeć w koronie drzewa jego głosu, który jej wybacza.

Jak może wyglądać cmentarz, na którym leżą Tomasz z Teresą?

Znów zaczęła o nich myśleć. Jeździli czasem do sąsiedniego miasteczka przespać się w tamtejszym hotelu. Ten fragment listu ją zastanowił. Świadczył o tym, że byli szczęśliwi. Znów widziała Tomasza, jakby był na jednym z jej obrazów: na pierwszym planie Don Juan jako fałszywa dekoracja namalowana przez malarza naiwistę; przez rozdarcie w dekoracji widać było Tristana. Zginął jak Tristan, nie jak Don Juan. Rodzice Sabiny zmarli w tym samym tygodniu. Tomasz i Teresa w tej samej sekundzie. Zatęskniła nagle do Franza.

Kiedy opowiadała mu o swych wyprawach na cmentarz, otrząsał się z obrzydzeniem i nazywał cmentarze składem kości i kamieni. W tamtej chwili otworzyła się między nimi przepaść nieporozumienia. Dopiero dziś na cmentarzu na Montparnassie zrozumiała, co miał na myśli. Żałuje, że była niecierpliwa. Możliwe, że gdyby zostali dłużej razem, zaczęliby nawzajem powoli rozumieć wypowiedane słowa. Ich słowniki wstydliwie i pomału przybliżały się do siebie jak bardzo nieśmiali kochankowie i muzyka każdego zaczęłaby przenikać w muzykę tego drugiego. Ale jest już za późno.

Tak, jest za późno i Sabina wie, że nie zostanie w Paryżu, że pojedzie dalej, jeszcze dalej, ponieważ gdyby tu umarła, przywaliliby ją kamieniem, a dla kobiety, która nie może ustać na jednym miejscu, nie ma straszniejszej groźby niż ta, że jej ucieczka zostałaby zatrzymana na zawsze.

10.

Wszyscy przyjaciele Franza wiedzieli o Marie-Claude i wszyscy wiedzieli o jego studentce w wielkich okularach. Tylko o Sabinie nie wiedział nikt. Franz mylił się, kiedy myślał, że jego małżonka opowiadała o niej przyjaciółkom. Sabina była piękną kobietą i Marie-Claude nie chciała, aby ludzie w duchu porównywali ich twarze.

Ponieważ bał się, że rzecz się wyda, nie wziął od niej nigdy ani obrazu, ani rysunku, ani nawet małego zdjęcia. Tak więc zniknęła z jego życia bez śladu. Nie istniał żaden materialny dowód na to, że spędził z nią najpiękniejszy rok swego życia.

Tym bardziej pragnie pozostać jej wierny.

Kiedy są razem w pokoju, jego młoda kochanka unosi czasem głowę znad książki i przypatruje mu się badawczym spojrzeniem:

— O czym myślisz? - pyta. Franz siedzi w fotelu ze wzrokiem wbitym w sufit. Cokolwiek by jej nie odpowiedział, wiadomo, że myśli o Sabinie.

Kiedy Franz drukuje artykuł w piśmie specjalistycznym, jego studentka jest pierwszym czytelnikiem i chce z nim dyskutować. Ale on myśli o tym, co o jego tekście powiedziałyby Sabina. Wszystko, co robi, robi dla Sabiny i robi tak, żeby się to Sabinie spodobało.

Jest to bardzo niewinna wierność, skrojona dokładnie na miarę Franza, który nigdy nie mógłby skrzywdzić swej okularnicy. Kult Sabiny uprawia raczej jak religię, nie jak miłość.

Zresztą z teologii tej religii wynika, że młoda kochanka została mu posłana przez Sabinę. Między jego miłością ziemską a transcendentną panuje zupełny pokój. Jego nieziemska miłość zawiera (ponieważ jest nieziemska) wiele niewyjaśnionego i niezrozumiałego (przypomnijmy sobie słownik niezrozumianych słów, tę długą listę nieporozumień!), za to ziemską bazuje na absolutnym wzajemnym zrozumieniu.

Studentka jest o wiele młodsza od Sabiny, muzyczna kompozycja jej życia jest ledwie naszkicowana i z wdzięcznością dołącza ona do niej motywy, które otrzymuje od Franza. Wielki Marsz Franza jest również jej wyznaniem. Muzyka jest dla niej dionizyjskim pijaństwem jak dla niego. Często chodzą razem tańczyć. Żyją w prawdzie, nie mają przed światem tajemnic. Łakną towarzystwa przyjaciół, kolegów, studentów i nieznanym ludzi, chętnie z nimi siedzą, piją i gadają. Często jeżdżą na wycieczki w Alpy. Franz nachyla się, dziewczyna wskakuje mu na plecy, a on biegnąc z nią po łące wykrzykuje na dodatek długi niemiecki poemat, którego nauczyła go w dzieciństwie mama. Dziewczyna śmieje się, obejmuje go za szyję i podziwia jego nogi, ramiona i płuca.

Nie rozumie tylko znaczenia tej szczególnej sympatii, którą Franz ma dla kraju okupowanego przez Rzeszę rosyjską. W rocznicę inwazji jedno z czeskich towarzystw emigracyjnych organizuje uroczystość pamiątkową. Na sali jest bardzo mało ludzi. Mówca ma siwe włosy naondulowane przez fryzjera. Czyta bardzo długie przemówienie, które nudzi nawet tych kilku entuzjastów, którzy przyszli go posłuchać. Mówi po francusku bez błędów, ale ze straszliwym akcentem. Od czasu do czasu, żeby podkreślić myśl podnosi w górę palec wskazujący, jakby groził ludziom zebranych na sali.

Okularnica siedzi obok Franza i z trudem przewycięża ziewanie. Za to Franz uśmiecha się szczęśliwie. Patrzy na siwowłosego mężczyznę, który wydaje mu się sympatyczny nawet ze swym przedziwnym palcem wskazującym. Wydaje mu się, że ten mężczyzna jest tajnym posłem, aniołem, który utrzymuje kontakt pomiędzy nim a jego boginią. Przymyka oczy i marzy. Przymyka oczy tak samo, jak

przymykał je na ciele Sabiny w piętnastu europejskich i jednym amerykańskim hotelu.

CZĘŚĆ IV

Dusza i ciało

1.

Teresa wróciła o wpół do drugiej w nocy, poszła do łazienki, przebrała się w piżamę i położyła obok Tomasza. Spał. Skłoniła się nad jego twarzą, a kiedy go pocałowała, poczuła płynący z jego włosów dziwny zapach. Powąchała jeszcze raz i jeszcze raz. Obwąchała go jak pies, aż zrozumiała: był to zapach kobiecego łona.

O szóstej zadzwonił budzik. Była to chwila Karenina. Budził się zawsze o wiele wcześniej niż oni, ale nie miał odwagi im przeszkadzać. Czekał niecierpliwie na dzwonek, który dałby mu prawo uskoczyć na łóżko, deptać po ich ciałach i trącać ich łbem. Kiedyś dawno starali się mu tego zabronić i zrzucali go z łóżka, ale on był bardziej uparty od nich i w końcu wywalczył sobie swe prawa. Zresztą właśnie ostatnio Teresa zrozumiała, że przyjemnie jest być zapraszającym do dnia przez Karenina. Dla niego chwila przebudzenia była czystym szczęściem: dziwił się głupio i naiwnie, że znów jest na świecie i szczerze się tym cieszył. Ona przeciwnie, budziła się z niechęcią, pragnęła przedłużyć noc i nie otwierać oczu.

Teraz stał w przedpokoju i patrzył w górę na wieszak, na którym wisiała obroża ze smyczą. Zapięła mu ją na karku i ruszyli razem do sklepu. Kupiła mleko, chleb, masło i – jak zawsze – jeden rogalik dla niego. W drodze powrotnej kroczył obok niej z rogalikiem w pysku. Rozsiadał się dumnie i odczuwał dumę, że ludzie zauważają go i że pokazują go sobie palcem.

W domu położył się z rogalikiem na progu pokoju i czekał, aż Tomasz zauważy go, przykucnie, zacznie warczeć i udawać, że chce mu zabrać rogalik. Tak było każdego dnia, przynajmniej przez pięć minut gonili się po mieszkaniu, a potem Karenin włożył pod stół i szybko rogalik połykał. Ale tym razem bezskutecznie domagał się swej porannej ceremonii. Tomasz trzymał małe radio tranzystorowe i słuchał.

2.

W radiu nadawali audycję o czeskiej emigracji. Był to montaż podsłuchanych prywatnych rozmów telefonicznych, które ponagrywał jakiś czeski szpicel, który wkręcił się między emigrantów, a potem w chwale wrócił do Pragi. Były to rozmowy bez znaczenia, w trakcie których od czasu do czasu pojawiały się ostre sformułowania o reżymie okupacyjnym w Czechach, ale także zdania, w których jeden emigrant nazywał drugiego głupcem albo oszustem. Właśnie te zdania zajmowały w reportażu czołowe miejsce: miały udowodnić, że ludzie ci nie tylko mówią źle o Związku Radzieckim! (to nikogo nie oburzało), ale także obmawiają się nawzajem, używając przy tym nieprzyzwoitych wyrazów. Dziwne, ludzie klną od rana do wieczora, ale kiedy słyszą przez radio znanego człowieka, którego szanowali, jak w każdym zdaniu mówi „pierdolę”, są w jakiś sposób rozczarowani.

— To się zaczęło od Prochazki – powiedział Tomasz i słuchał dalej. Jan Prochazka był czeskim powieściopisarzem, czterdziestolatkiem o witalności byka, który już przed rokiem 1968 zaczął głośno krytykować stosunki w kraju. Był jednym z najlubieńszych bohaterów praskiej wiosny, tej zawrotnej liberalizacji komunizmu, którą zakończyła radziecka inwazja. Wkrótce po niej wszystkie gazety rozpoczęły nagonkę przeciwko niemu, ale im bardziej szczuły, tym bardziej ludzie go lubili. Dlatego radio zaczęło nadawać (był to rok 1970) cykl prywatnych rozmów, które przed dwoma laty (a więc na wiosnę 68) prowadził z pewnym profesorem uniwersyteckim. Żaden z nich nie przypuszczał wówczas, że w mieszkaniu profesora zainstalowano podsłuch i że już od dawna śledzą każdy ich krok! Prochazka zawsze zabawiał swych przyjaciół paradoksami i nieprzyzwoitościami. Teraz te nieprzyzwoitości brzmiały codziennie z radia. Tajna policja, która redagowała audycje, skwapliwie podkreślała miejsca, w których powieściopisarz wyśmiewał się ze swych przyjaciół, na przykład z Dubczeka. Ludzi, którzy sami obgadują swych przyjaciół przy każdej okazji, bardziej gorszył ukochany Prochazka niż metody tajnej policji.

Tomasz wyłączył radio i powiedział:

— Tajna policja istnieje wszędzie na świecie. Ale to, że nadaje swoje taśmy przez radio, tego nigdzie nie ma! To jest bezprecedensowe!

— Och, znam to – powiedziała Teresa. – Kiedy miałam czternaście lat, pisałam dziennik. Bałam się, żeby go ktoś nie przeczytał. Schowałam go na strychu. Matka to wysłodziła. Raz przy obiedzie, kiedy wszyscy siedzieli pochyleni nad zupą, wyciągnęła go z kieszeni i powiedziała: A teraz posłuchajcie! I czytała, parszcząc śmiechem przy każdym zdaniu. Wszyscy śmiali się tak, że nie mogli jeść.

3.

Zawsze ją przekonywał, żeby pozwoliła mu jeść śniadanie samemu i położyła się jeszcze spać. Ale nie zgadzała się na to. Tomasz pracował od siódmej do czwartej, a ona od czwartej do północy. Gdyby nie jadła z nim śniadania, mogliby ze sobą rozmawiać właściwie tylko w niedzielę. Dlatego wstawiała razem z nim, a po jego odejściu kładła się z powrotem i dosypiała.

Teraz jednak bała się usnąć, bo chciała o dziesiątej pójść do sauny w drewnianej pływalni na wyspie Zofin. Chętnych było wielu, miejsc mało i można tam się było dostać tylko przez protekcję. W kasie siedziała, na szczęście, żona profesora wyrzuconego z uniwersytetu. Profesor był przyjacielem byłego pacjenta Tomasza. Tomasz poprosił pacjenta, pacjent profesora, profesor swą żonę i w ten sposób Teresa miała raz na tydzień zarezerwowany wstęp.

Szła na piechotę. Nienawidziła wiecznie przepelnionych tramwajów, gdzie ludzie pełni nienawiści przytulali się do siebie, deptali sobie po nogach, obrywali sobie guziki u płaszczy i miotali przekleństwa.

Mżyło. Przechodnie spiesząc się otwierali nad głowami parasole i od razu na chodnikach powstał tłok. Pręty parasoli zakleszczały się o siebie. Mężczyźni byli uprzejmi i kiedy mijali Teresę, podnosili parasol wysoko nad głowę, żeby mogła pod nim przejść. Ale kobiety nie ustępowały. Mierzyły się twardym wzrokiem i każda czekała, aż ta druga okaże się słabsza i ustąpi. Spotkanie dwóch parasoli było pojedynkiem siły. Teresa z początku ustępowała, ale kiedy zobaczyła, że żadna nie rewanżuje jej uprzejmości, zaczęła mocno zwierać parasol, tak samo jak tamte. Kilka razy wpadła na parasol z naprzeciwnika, ale nikt nigdy nie powiedział: „Przepraszam”. Na ogół nie padło ani słowo, tylko dwa czy trzy razy usłyszała: „Krowa”, albo „Ślepa jesteś?”

Kobiety uzbrojone w parasole były stare i młode, ale najwytrwalsze bojowniczkami zdarzały się właśnie między młodymi. Teresa przypominała sobie dni inwazji. Dziewczyny w spódniczkach mini nosiły na długich drzewcach narodowe flagi. Był to seksualny zamach na rosyjskich żołnierzy trzymany przez lata w stanie płciowej ascezy. Musieli czuć się w Pradze jak na planecie wymyślonej przez autora powieści fantastycznej pełnej niewiarygodnie eleganckich kobiet, które demonstrowały swą pogardę krocząc na wysokich, pięknych nogach, jakich w Rosji nie można zobaczyć już od pięciu czy sześciu wieków.

Zrobiła wtedy mnóstwo zdjęć tych młodych kobiet na tle czołgów. Podziwiała je! Dokładnie te same kobiety szły teraz naprzeciwno niej, bezczelne i złe. Zamiast flag trzymały parasole, ale trzymały je z taką samą pychą. Były skłonne walczyć z armią najeźdźcy równie bezwzględnie jak z parasolem, który nie chce ustąpić im z drogi.

4.

Doszła na Rynek Staromiejski z surowym Tyńskim kościołem i rzędami kamieniczek ustawionych w nieregularny czworobok. Stary ratusz, z XIV wieku, który kiedyś zajmował jedną ze stron placu, leży już od dwudziestu siedmiu lat w ruinach. Warszawa, Drezno, Berlin, Kolonia, Budapeszt były podczas ostatniej wojny straszliwie zniszczone, ale ich mieszkańcy je odbudowali i na ogół starannie zrekonstruowali stare, historyczne dzielnice. Prażanie mieli kompleks niższości w stosunku do tych miast. Jedynym sławnym budynkiem zniszczonym przez wojnę był staromiejski ratusz. Zdecydowali się zostawić go w stanie ruiny na wieczną pamiątkę, żeby żaden Polak ani Niemiec nie mógł im zarzucić, że mało cierpieli. U wejścia do słynnej ruiny, która miała być po wsze czasy przestrożą przed wojną, postawiono z metalowych tyczek trybunę z okazji jakiejś manifestacji, na którą partia komunistyczna zapędziła wczoraj albo zapędzi jutro mieszkańców Pragi.

Teresa spojrzała na zburzony ratusz i nagle przypomniało jej to matkę: ta perwersyjna potrzeba, by prezentować swe ruiny, by chlubić się swą brzydota, epatować nędzą, obnażać kikut amputowanej ręki i zmuszać cały świat, żeby mu się przyglądał. Wszystko w ostatnich czasach przypominało jej matkę. Wydawało jej się, że świat matki, od którego uciekła przed dziesięciu laty, powraca teraz i otacza ją ze wszystkich stron. Dlatego opowiedziała dziś rano o tym, jak matka czytała przy obiedzie rechoczącej rodzinie jej intymny dziennik. Cóż oznacza innego nadawanie prywatnej rozmowy przy winie w środkach masowego przekazu, jak nie to, że świat zmienia się w obóz koncentracyjny?

Teresa posługiwała się tym pojęciem niemalże od dzieciństwa, kiedy chciała wyrazić, jak wygląda życie w jej rodzinie. Obóz koncentracyjny to takie miejsce, w którym ludzie nieustannie żyją obok siebie, dzień i noc. Okrucieństwo i gwałt to tylko drugorzędne (i nie zawsze nieodłączne) znaki. Obóz koncentracyjny to absolutna negacja prywatności.

Prochazka, który nie mógł pogadać przy winie ze swym przyjacielem w bezpiecznym azylu intymności, żył (nie przypuszczając tego w ogóle, co okazało się jego życiowym błędem!) w obozie koncentracyjnym. Teresa żyła w obozie koncentracyjnym, kiedy mieszkała u matki. Od tego czasu wie, że obóz koncentracyjny nie jest niczym wyjątkowym, godnym uwagi, ale przeciwnie, czymś codziennym, podstawowym; człowiek rodzi się w nim i ucieka zeń tylko kosztem najwyższego wysiłku.

5.

Na trzech umieszczonych przed sobą amfiteatralnie ławach siedziały kobiety, tak ściśnięte, że jedna dotykała drugiej. Obok Teresy pocila się trzydziestoletnia mniej więcej kobieta o prześlicznej twarzy. Od pach zwisały jej dwie niezwykle rozmiarów piersi, które huśtały się przy każdym ruchu. Kobieta wstała i Teresa stwierdziła, że również jej tyłek przypomina dwa monstrialne worki, i że nijak się nie ma do jej twarzy.

Możliwe że ta kobieta staje często przed lustrem, ogląda swe ciało i chce ujrzeć poprzez nie swoją duszę, tak jak to od dzieciństwa próbuje zrobić Teresa. Zapewne również myślała kiedyś naiwnie, że mogłaby używać swego ciała jako wizytówki swej duszy. Ale jak monstrialna musiałaby to być dusza, gdyby miała czymkolwiek przypominać to ciało, ten wieszak z czterema workami?

Teresa wstała i poszła pod prysznic. Potem wyszła na zewnątrz. Ciągle mżyło. Stała na drewnianej platformie, pod którą płynęła Wełtawa, ogrodzona na przestrzeni kilkunastu metrów kwadratowych wysokim płotem chroniącym kobiety przed wzrokiem miasta. Spojrzała w dół i ujrzała nad powierzchnią twarz kobiety, o której przed chwilą myślała.

Kobieta uśmiechnęła się do niej. Miała delikatny nosek, ogromne piwne oczy i dziecięce spojrzenie.

Wchodziła po drabince i w ślad za delikatną twarzą znów wyłoniły się dwa wielkie worki, które kołysały się, rozpryskując wokół siebie drobne kropelki zimnej wody.

6.

Poszła się ubrać. Stała przed wielkim lustrem.

Nie, w jej ciele nie było niczego monstrialnego. Pod obojczykiem miała nie worki, ale całkiem małe piersi. Matka wyśmiewała się z nich, że są zbyt małe, toteż miała z tego powodu kompleksy, z których dopiero Tomasz ją wyleczył. Ale choć udało się jej pogodzić z ich rozmiarem, przeszkadzały jej zbyt wielkie i ciemne kręgi wokół brodawek. Gdyby mogła sama zaprojektować swoje ciało, brodawki byłyby dyskretne, delikatne, tylko nieznacznie przebijałyby wypukłość piersi i nie różniłyby się kolorem od reszty skóry. Ta ogromna, ciemnoczerwona tarcza sprawiała wrażenie, jakby była namalowana przez wiejskiego malarza, który pragnie uprawiać sztukę erotyczną dla ubogich.

Patrzyła na siebie i wyobrażała sobie, że jej nos zwiększa się codziennie o milimetr. Za ile dni jej twarz przestałaby być do siebie podobna?

A gdyby różne części jej ciała zaczęły się zwiększać i zmniejszać tak, że Teresa przestałaby być do siebie podobna, czy pozostałaby nadal sobą, Teresą?

Tak. Nawet gdyby Teresa przestała w ogóle przypominać Teresę, jej dusza w środku pozostałaby wciąż taka sama i ze zgrozą obserwowałaby, co się dzieje z ciałem.

Jaki jest więc stosunek między Teresą a jej ciałem? Czy jej ciało ma w ogóle prawo nosić imię Teresa? A jeśli nie ma tego prawa, jakiej części istnienia to imię dotyczy? Tylko czegoś bezcielesnego, niematerialnego?

(Są to wciąż te same pytania, które przychodzą Teresie do głowy od czasów dzieciństwa. Bowiem prawdziwie poważne pytania to te, które można sformułować już jako dziecko. Tylko te najbardziej naiwne pytania są naprawdę poważne. Są to pytania, na które nie ma odpowiedzi. Pytanie, na które nie ma odpowiedzi, jest barierą nie do przekroczenia. Inaczej powiedziawszy: właśnie pytania, na które nie ma odpowiedzi, wyznaczają granice ludzkich możliwości, rysują ramy ludzkiego istnienia.)

Teresa stoi w osłupieniu przed lustrem i przygląda się swemu ciału, jakby było czymś obcym; obce, a jednak przydzielono je właśnie jej. Czuje do niego odrazę. To ciało nie miało dość siły, by stać się dla Tomasza jedynym ciałem jego życia. To ciało rozczarowało ją i zdradziło. Musiała dziś przez całą noc wachać na jego włosach zapach obcego kobiecego łona!

Pragnęłaby swemu ciału wymówić jak służącej. Pozostać z Tomaszem tylko w formie duszy, a ciało wygnać w świat, żeby robiło tam to, co inne kobiece ciała robią z męskimi ciałami. Skoro jej ciało nie umiało stać się dla Tomasza tym jedynym, skoro przegrało swą życiową walkę, niech idzie do diabła!

7.

Wróciła do domu, bez apetytu, na stojąco zjadła w kuchni obiad. O wpół do czwartej wzięła na smycz Karenina i poszła z nim (znów na piechotę) na przedmieście do swego hotelu. Kiedy wyrzucili ją z tygodnika, zaczęła tam pracować jako barmanka. Stało się to kilka miesięcy po ich powrocie do Czechosłowacji. Nie wybaczył jej jednak, że przez siedem dni fotografowała rosyjskie czołgi. Nową posadę dostała dzięki przyjacielom: schronili się tam razem; nią również inni wyrzuceni z pracy ludzie. W buchalterii pracował były profesor teologii, a w recepcji były ambasador.

Znów bała się o swoje nogi. Kiedyś, gdy pracowała w restauracji małego miasta, z lękiem

obserwowała pokryte żyłakami łydki swoich koleżanek. Była to choroba zawodowa wszystkich kelnerek zmuszonych do spędzania życia na chodzeniu, bieganiu albo staniu z dużym obciążeniem. Z tym, że praca teraz była nieco wygodniejsza niż w małym mieście. Przed rozpoczęciem zmiany musiała, co prawda, przynieść ciężkie skrzynie z piwem i wodą mineralną, ale potem już stała za kontuarem baru, nalewała gościom alkohol, a w przerwach myła szklanki w małym zlewie zainstalowanym w kącie kontuaru. Karenin przez cały czas leżał cierpliwie u jej nóg.

Było już grubo po północy, kiedy skończyła podliczanie kasy i zniosła pieniądze dyrektorowi hotelu. Potem poszła jeszcze pożegnać się z ambasadorem, który miał nocną służbę. Za długim blatem recepcji znajdowały się drzwi prowadzące do małego pokoiku, w którym można się było zdrzemnąć na wąskiej kozetce. Nad kozetką wisiały zdjęcia w ramach, na wszystkich był on z jakimiś ludźmi, którzy albo uśmiechali się do obiektywu, albo ściskali ręce, albo siedzieli obok niego za stołem i coś podpisywali. Niektóre zdjęcia miały podpisy z dedykacją. Na honorowym miejscu wisiała fotografia, na której, obok głowy ambasadora, uśmiechała się twarz Johna F. Kennedy'ego.

Tym razem ambasador nie rozmawiał z Kennedym, ale z nieznanym sześćdziesięcioletkiem, który na widok Teresy zamilkł.

— To moja przyjaciółka – powiedział ambasador. – Możesz spokojnie mówić. Potem zwrócił się do Teresy:

— Właśnie skazali mu na pięć lat syna.

Dowiedziała się, że syn sześćdziesięcioletka pilnował wraz z przyjaciółmi w pierwszych dniach inwazji wejścia budynku, w którym umieszczono specjalne służby armii radzieckiej. Było dla nich jasne, że Czesi, którzy stamtąd wychodzili, byli agentami na rosyjskim żołdzie. Śledził ich potem z przyjaciółmi, identyfikował numery ich samochodów i informował o tym redaktorów podziemnego radia, którzy ostrzegali przed nimi ludność. Jednego z nich z pomocą kolegów pobił.

Sześćdziesięcioletek powiedział:

— To zdjęcie było jedynym corpus delicti. Wypierał się wszystkiego aż do momentu, kiedy mu je pokazali. Wyciągnął z portfela wycinek:

— To wyszło w Timesie, na jesieni 1968.

Na zdjęciu widać było młodego mężczyznę, który trzyma za gardło drugiego mężczyznę. Wokół stoją ludzie i przyglądają się. Pod fotografią widnieje podpis: „Karanie kolaboranta”.

Teresa odetchnęła z ulgą. Nie, to nie było jej zdjęcie. Później szła z Kareninem przez nocną Pragę. Myślała o dniach, w których fotografowała czołgi. Naiwni, sądzili, że ryzykują życiem dla ojczyzny, a tymczasem pracowali dla rosyjskiej bezpieki.

Doszła do domu o wpół do piątej. Tomasz już spał. Jego włosy miały zapach kobiecego łona.

8.

Co to jest kokieteria? Można by chyba powiedzieć, że jest to takie zachowanie, które ma temu drugiemu dać do zrozumienia, że zbliżenie seksualne byłoby możliwe, przy czym ta możliwość nie może nigdy wyglądać jak pewność. Mówiąc inaczej: kokieteria to nie zobowiązująca obietnica spółkowania.

Teresa stoi za kontuarem baru, a klienci, którym nalewa alkohol, ją kokietują. Czy ten ciągły zalew komplementów, dwuznaczników, dowcipów, propozycji, uśmiechów i spojrzeń jest jej niemiły? W ogóle nie. Ma nieodpartą ochotę, by wystawić na ten przyływ swe ciało (to obce ciało, które chce wygnać w świat).

Tomasz ciągle ją przekonuje, że miłość i fizyczne zbliżenie to są dwie zupełnie różne rzeczy. Nie chciała tego zrozumieć. Teraz jest otoczona przez mężczyzn, do których nie czuje cienia sympatii. Jak by to było kochać się z nimi? Pragnie to wypróbować przynajmniej w formie nie zobowiązującej obietnicy, którą nazywamy kokieterią. Żeby nie było nieporozumienia: nie chce rewanzować się Tomaszowi. Chce znaleźć wyjście z labiryntu. Wie, że stała mu się ciężarem; traktuje sprawy zbyt poważnie, z wszystkiego robi tragedie, nie umie zrozumieć lekkości i barwnej nieważności miłości fizycznej. Chciałaby się tej lekkości nauczyć! Marzy, by ktoś nauczył ją, jak nie być anachroniczną!

Jeśli dla innych kobiet kokieteria jest drugą naturą, rutyną bez znaczenia, to dla Teresy stała się ona polem do ważnych eksperymentów, które mają jej pokazać, do czego jest zdolna. Ale właśnie dlatego, że jest to dla niej takie ważne, kokieteria jej nie ma w sobie lekkości, jest nienaturalna, wymuszona, przesadna. Równowaga pomiędzy obietnicą a brakiem zobowiązania (na tym właśnie polega prawdziwa wirtuozeria kokieterii!) jest u niej zachwiana. Obiecuje zbyt gorliwie, niedostatecznie podkreśla, że obietnica jest nie zobowiązująca. Innymi słowy, wydaje się każdemu aż nadto przystępna. Kiedy potem mężczyźni domagają się spełnienia tego, co – jak im się wydawało – zostało im obiecane, natrafiają na gwałtowny opór, którego nie mogą sobie wyjaśnić inaczej, niż jako wyrachowanie i złośliwość Teresy.

9.

Na wolnym stołku przy barze przysiadł szesnastoletni mniej więcej chłopiec. Powiedział kilka wyzywających zdań, które pozostały potem w rozmowie, jak na rysunku pozostaje błędne pociągnięcie pióra, którego nie można zmasać.

— Ma pani piękne nogi – powiedział do niej.

— A co, widzi pan przez bufet – odburknęła.

— Znam panią z ulicy – wyjaśnił, ale w tym momencie już odwróciła się od niego i obsługiwała innego klienta. Zamówił potem koniak. Odmówiła.

— Mam już osiemnaście lat – obruszył się.

— To niech mi pan pokaże legitymację – powiedziała Teresa.

— Nie pokażę.

— To niech pan pije lemoniadę.

Chłopiec podniósł się bez słowa ze stołka i odszedł. Mniej więcej za pół godziny znów wrócił i usiadł przy barze. Jego gesty były nieskoordynowane i na trzy metry można było wyczuć z jego ust alkohol.

— Lemoniadę! — zawołał.

— Pan jest pijany — powiedziała Teresa.

Chłopiec pokazał na tabliczkę, która wisiała na ścianie za Teresą: Podawanie alkoholu młodzieży do lat osiemnastu wzbronione.

— Tam jest napisane, że nie może mi pani podać alkoholu — powiedział, mierząc w Teresę szerokim gestem. — Ale nigdzie nie jest napisane, że nie mam prawa być pijany.

— Gdzie się pan tak urządził? — spytała Teresa.

— W knajpie naprzeciwko — śmiał się i znów domagał się lemoniady.

— To czemu pan tam nie został?

— Bo chcę patrzeć na panią — odpowiedział chłopiec. — Ja panią kocham.

Jego twarz skrzywiła się dziwnie, kiedy to mówił. Teresa nie zrozumiała: wysmiewa się? Kokietuje? Żartuje? Albo po prostu jest tak pijany, że nie wie, co mówi?

Postawiła przed nim lemoniadę i zajęła się innymi gośćmi.

Zdanie: „Kocham panią!” jak gdyby wyczerpało chłopca. Nic już nie powiedział, cicho położył na kontuarze pieniądze i zniknął niepostrzeżenie.

Ale gdy tylko odszedł, odezwał się mały, łysawy mężczyzna, który wypił właśnie trzecią wódkę:

— Pani powinna wiedzieć, że niepełnoletnim nie wolno podawać alkoholu!

— Przecież mu nie podałam! Dostał lemoniadę!

— Patrzyłem dobrze, czego mu tam pani do tej lemoniady dodała!

— Coś pan zmyśla! — krzyknęła Teresa.

— Jeszcze jedną wódkę — zakomenderował mężczyzna z łysiną i dodał. — Już od dawna panią obserwuję!

— To niech pan będzie wdzięczny, że może pan oglądać piękną kobietę i niech pan siedzi cicho! — odezwał się wysoki mężczyzna, który przed chwilą podszedł do baru i obserwował całą scenę.

— Pan się nie wtrąca! Co panu do tego?! — krzyczał mężczyzna z łysiną.

— A mógłby pan wyjaśnić, co to pana obchodzi? — zapytał wysoki mężczyzna.

Teresa naląła tysemu zamówioną wódkę, wypił jednym haustem, zapłacił i wyszedł.

— Dziękuję panu — powiedziała Teresa do wysokiego mężczyzny.

— Nie ma o czym mówić — odpowiedział i również wyszedł.

10.

W kilka dni później znów zjawił się w barze. Kiedy go zobaczyła, uśmiechnęła się do niego jak do przyjaciela:

— Muszę panu raz jeszcze podziękować. Ten łysy często tu przychodzi i jest dość nieprzyjemny.

— Niech pani o nim zapomni.

— Czemu się mnie czepia?

— To jakiś zwykły pijaczek. Jeszcze raz bardzo panią proszę: niech pani o nim zapomni.

— Skoro pan mnie o to prosi, zapomnę o nim. Wysoki mężczyzna patrzył jej w oczy:

— Niech mi to pani obieca.

— Obiecuję.

— To piękne, słyszeć z pani ust, że coś mi pani obiecuje — powiedział mężczyzna i wciąż patrzył jej w oczy.

To była kokieteria: zachowanie, które daje do zrozumienia temu drugiemu, że zbliżenie seksualne jest możliwe, choć jednocześnie ta możliwość jest nie obowiązująca i teoretyczna.

— Jak to w ogóle możliwe, że w tej najbrzydlivszej dzielnicy Pragi można spotkać taką kobietę jak pani? A ona:

— A pan? Co pan robi w tej najbrzydliwszej dzielnicy Pragi? Powiedział jej, że mieszka niedaleko, że jest inżynierem i że ostatnio zaszedł tu przypadkiem, wracając z pracy.

11.

Patrzyła na Tomasza, ale jej spojrzenie nie mierzyło w jego oczy, ale o dziesięć centymetrów wyżej, w jego włosy, które pachniały obcą kobietą.

Powiedziała:

— Tomasz... Ja już nie mogę tego wytrzymać. Wiem, że nie mam prawa się skarżyć. Od czasu, kiedy dla mnie wróciłeś do Pragi, zabroniłam sobie być zazdrosną. Nie chcę być zazdrosna, ale nie mam dość sił, by się przed tym bronić. Proszę cię, pomóż mi!

Wziął ją pod ramię i zaprowadził do parku, tam, gdzie przed laty chodzili często na spacer. Były tam ławki niebieskie, żółte, czerwone. Usiedli na jednej z nich i Tomasz powiedział:

— Rozumiem cię. Wiem, czego chcesz. Wszystko załatwiłem. Pójdiesz teraz na Petrzyn.

Strasznie jej się nie chciało iść; jej ciało było tak osłabłe, że nie mogła się podnieść z ławki. Ale nie umiała nie usłuchać Tomasza. Wstała z wysiłkiem.

Obejrzała się. Siedział wciąż na ławce i uśmiechał się do niej prawie wesoło. Zrobił ręką gest, który miał jej dodać odwagi.

12.

Kiedy już weszła na stok Petrzyna, tej zielonej góry sterczącej w środku Pragi, uświadomiła sobie ze zdziwieniem, że nie ma tam ludzi. Było to dziwne, zazwyczaj spacerowały tam tłumy Prażan. Czowała w sercu lęk, ale góra była tak cicha, a cisza tak kojąca, że pozwoliła jej sobą zawładnąć. Szła pod górę, chwilami zatrzymywała się i oglądała: widziała za sobą wieże i mosty, święci wygrażali pięściami i wlepiali w chmury kamienne spojrzenia. Było to najpiękniejsze miasto świata.

Doszła na górę. Za kioskami z lodami, pocztówkami i herbatnikami (nie było w nich żadnego sprzedawcy) słał się rozległy trawnik z rzadka usiany drzewami. Zobaczyła na nim kilku mężczyzn. Im bardziej się do nich zbliżała, tym jej krok stawał się wolniejszy. Było ich sześciu. Stali albo przechadzali się bardzo wolno jak gracze na polu golfowym, którzy przemierzają teren, ważą w rękę kij golfowy i starają się osiągnąć przed meczem jak najlepszą kondycję.

Potem podeszła do nich, blisko. Z tych sześciu ludzi przynajmniej trzech miało grać podobną do niej rolę, byli niepewni, wydawało się, że chcą zadać wiele pytań, ale boją się przeszkadzać, więc raczej milczą i rozglądają się pytająco.

Z pozostałych trzech promieniowała pełna zrozumienia życzliwość. Jeden z nich trzymał w rękę strzelbę. Kiedy zobaczył Teresę, skinął na nią z uśmiechem: „Tak, dobrze pani trafiła”. Skinęła głową na przywitanie i czuła coraz silniejszy lęk.

Mężczyzna dodał:

— Żeby nie było nieporozumienia. To jest pani życzenie?

Można było łatwo odpowiedzieć: „Nie, nie, to nie jest moje życzenie”, ale nie mogła sobie wyobrazić, że miałyby rozczarować Tomasza. Jak by przed nim usprawiedliwiła swój powrót do domu? Powiedziała więc:

— Tak, oczywiście. To jest moje życzenie. Mężczyzna ze strzelbą kontynuował:

— Żebyśmy się dobrze zrozumieli. Pytam, ponieważ wykonujemy to tylko wtedy, kiedy mamy pewność, że ludzie, którzy do nas przychodzą, mają naprawdę ochotę umrzeć. My im tylko służymy. Popatrz na Teresę pytająco, musiała go więc raz jeszcze zapewnić:

— Nie, proszę się nie lękać. To jest moje życzenie.

— Czy chce pani być pierwsza? - zapytał.

Chciała choć trochę oddalić egzekucję, więc powiedziała

— Nie, bardzo pana proszę. Jeśli to możliwe, chciałabym być ostatnia.

— Jak pani sobie życzy - powiedział i odszedł do innych. Dwaj jego pomocnicy nie byli uzbrojeni i opiekowali się po prostu ludźmi, którzy mieli umrzeć. Brali ich pod pachy i prowadzili po trawniku. Rozległa płaszczyzna trawy ciągnęła się aż do horyzontu. Skazańcy sami mogli wybrać sobie drzewo. Zatrzymywali się, rozglądali i długo nie mogli się zdecydować. Dwóch z nich wybrało wreszcie dwa platany, ale ten trzeci szedł wciąż dalej i dalej, jak gdyby żadne drzewo nie wydawało mu się godne jego śmierci. Pomocnik, który trzymał go delikatnie pod ramię, cierpliwie go prowadził, wreszcie mężczyzna stracił odwagę by iść dalej i zatrzymał się pod rozłożystym jaworem.

Potem pomocnicy zawiązali wszystkim trzem mężczyznom przepaski na oczach.

I tak stali na tym rozległym trawniku trzej mężczyźni przyciśnięci placami do pni drzew, każdy z przepaską na oczach i z głową zwróconą ku niebu.

Mężczyzna ze strzelbą wycelował i strzelił. Oprócz śpiewu ptaków nic nie było słychać. Strzelba miała tłumik. Było tylko widać, jak mężczyzna oparty o jawor zaczyna się osuwać.

Nie ruszając się z miejsca, mężczyzna ze strzelbą odwrócił się w innym kierunku i człowiek oparty o platan osunął się w kompletnej ciszy, a kilka chwil później (mężczyzna ze strzelbą znów odwrócił się na miejscu) upadł na trawie również trzeci rozstrzelany.

13.

Jeden z pomocników milcząc podszedł do Teresy. Trzymał w ręce ciemnoniebieską wstęgę.

Zrozumiała, że chce jej przewiązać oczy. Pokręciła głową i powiedziała:

— Nie, chcę wszystko widzieć.

Ale to nie był prawdziwy powód. Nie czuła w sobie nic z bohatera, który jest zdecydowany odważnie spoglądać w oczy plutonu egzekucyjnego. Chciała tylko oddalić śmierć. Wydawało się jej, że w chwili, w której już będzie mieć przepaskę na oczach, znajdzie się w przedsionku śmierci, skąd nie będzie już powrotu.

Mężczyzna nie zmuszał jej do niczego i wziął ją pod ramię. Szli po szerokim trawniku i Teresa nie była w stanie wybrać żadnego z drzew. Nikt nie zmuszał jej do pośpiechu, ale wiedziała dobrze, że i tak nie może uciec. Kiedy zobaczyła przed sobą kwitnący kasztan, stanęła pod nim. Oparła się plecami o pień i spojrzała w górę: widziała prześwietloną słońcem zielenią i słyszała zniekształcone przez odległość odgłosy miasta, cichutkie i słodkie, jak gdyby grały tysiące skrzypiec.

Mężczyzna podniósł strzelbę.

Teresa poczuła, że jej odwaga niknie. Była zrozpaczona z powodu swej słabości, ale nie umiała jej opanować. Powiedziała:

— Ale ja tego nie chciałam.

Natychmiast opuścił lufę strzelby i powiedział bardzo łagodnie:

— Jeśli pani sobie tego nie życzyła, nie możemy tego zrobić. Nie mamy do tego prawa.

Jego głos był tak łagodny, jak gdyby usprawiedliwiał się przed Teresą za to, że nie może jej zastrzelić. Ta łagodność raniła jej serce, odwróciła się do drzewa, oparła twarz o jego korę i rozplakała się.

14.

Całe jej ciało trzęsło się od szlochów, a ona obejmowała pień, jakby to nie było drzewo, ale jej ojciec, którego straciła, jej dziadek, którego nigdy nie widziała, jej pradziadek, jej prapradziadek, jakiś strasznie stary mężczyzna, który przyszedł z najdalszych głębin czasu w postaci szorstkiej kory drzewa aby teraz dać jej oparcie. Potem odwróciła się. Trzej mężczyźni byli już daleko, brodzili w trawie jak golfiści, a strzelba w rękach jednego z nich naprawdę wyglądała jak kij golfowy.

Schodziła na dół ścieżkami Petrzyna, a w duszy czuła tęsknotę do mężczyzny, który miał ją zastrzelić i nie zastrzelił. Pragnęła go. Ktoś przecież musi jej pomóc! Tomasz jej nie pomoże. Tomasz ją posłał na śmierć. Musi jej pomóc ktoś inny!

Im bardziej zbliżała się do miasta, tym bardziej tęskniła do tamtego mężczyzny i tym bardziej bała się Tomasza. Nie wybaczy jej, że nie spełniła obietnicy. Nie wybaczy jej, że nie była dostatecznie odważna i że go zdradziła. Była już na ulicy, przy której mieszkali i wiedziała, że za chwilę go zobaczy. Bała się tego tak strasznie, że czuła ciężar w żołądku i chciało jej się wymiotować.

15.

Inżynier zaprasza ją do swego mieszkania. Już dwa razy odmówiła. Tym razem zgodziła się.

Obiad zjadła jak zawsze na stojąco w kuchni, a potem wyszła. Nie było jeszcze drugiej.

Zbliżała się do jego domu i czuła, że nogi same, bez udziału jej woli zwalniają kroku.

Ale potem przyszło jej do głowy, że to właśnie Tomasz posyła ją do niego. To przecież on ciągle jej wyjaśniał, że miłość i seks nie mają ze sobą nic wspólnego a ona idzie teraz tylko po to, by wypróbować i potwierdzić jego słowa. Słyszy w duchu jego głos: „Rozumiem cię. Wiem czego chcesz. Wszystko załatwiłem. Wejdiesz na górę i wszystko zrozumiesz”.

Tak, nie robi niczego, wypełnia tylko rozkazy Tomasza.

Chce zostać u inżyniera tylko przez chwilę, wypijać tylko filiżankę kawy, chce tylko poczuć, co to znaczy dojść aż do granicy niewierności. Chce postawić swoje ciało na tej granicy, pozwolić mu tak stać przez chwilę jak pod pręgierzem, a potem, kiedy inżynier będzie chciał ją objąć, powie mu, jak powiedziała temu mężczyźnie ze strzelbą na Petrzynie: „Ale ja tego nie chciałam”.

A mężczyzna opuści lufę strzelby i powie łagodnym głosem: „Skoro pani sobie tego nie życzyła, nie się pani nie może stać. Nie mam do tego prawa”. A ona odwróci się do pnia drzewa i rozplacze się.

Była to podmiejska kamienica, postawiona na początku wieku w robotniczej dzielnicy Pragi. Weszła do klatki schodowej o brudnych, bielonych wapnem ścianach. Wydeptane kamienne schody z żelazną poręczą zaprowadziły ją na pierwsze piętro. Teraz skręciła w lewo. Było to drugie drzwi, bez wizytówki i bez dzwonka. Zastukała.

Otworzył.

Całe mieszkanie składało się z jednego pomieszczenia przedzielonego po pierwszych dwóch metrach zasłonką, która stwarzała jakąś iluzję przedpokoju; stał tam stół z kuchenką elektryczną i lodówką. Kiedy weszła dalej, zobaczyła przed sobą pionowy prostokąt okna na końcu długiego i wąskiego pokoju, po jednej stronie stał regał z książkami, po drugiej tapczan i krzesło.

— Moje mieszkanie jest dość prymitywne – powiedział inżynier. – Mam nadzieję, że to pani nie odstrasza.

— Nie, nie odstrasza – odpowiedziała Teresa i patrzyła na ścianę, którą w całości zasłaniały półki z książkami. Ten mężczyzna nie ma nawet porządnego stołu, ale ma setki książek. To się Teresie spodobało i lęk, który czuła, trochę uciął. Od dzieciństwa uważa książkę za znak tajnego bractwa. Człowiek, który ma w domu tyle książek, nie może jej skrzywdzić.

Zapytał, co jej może zaproponować. Wino?

— Nie, nie chcę wina. Jeśli już coś, to kawę.

Odszedł za zasłonkę, a ona podeszła do regałów. Jedna z książek ją zaintrygowała. Było to tłumaczenie „Króla Edypa” Sofoklesa. Jakie to dziwne, że jest tu właśnie ta książka! Przed wielu laty Tomasz dał ją Teresie do przeczytania i długo jej o niej opowiadał. Napisał potem ten artykuł do gazety, przez który całe ich życie wywróciło się do góry nogami. Przyglądała się grzbietowi książki. Jej widok uspokajał ją. Jak gdyby Tomasz zostawił tu swój ślad naumyślnie, jakby to był znak, że wszystko to on załatwił. Wyciągnęła książkę i otworzyła ją. Kiedy wysoki mężczyzna wróci zza zasłonki, spyta go, dlaczego ma tę książkę, czy ją czytał i co o niej myśli. W ten sposób rozmowa wymknie się z niebezpiecznego terytorium obcego mieszkania w intymny świat myśli Tomasza.

Potem poczuła rękę na ramieniu. Mężczyzna wziął z jej rąk książkę, włożył ją bez słowa na półkę i poprowadził Teresę w stronę tapczanu.

Znów przypomniało jej się zdanie, które powiedziała katowi z Petryna. Teraz powiedziała je na głos: „Ale ja tego nie chciałam”.

Wierzyła, że jest to czarodziejskie zaklęcie, które natychmiast odmieni sytuację, ale w tym pokoju słowa te utraciły swą magiczną moc.

Wydaje się nawet, że sprowokowały mężczyznę do bardziej zdecydowanego działania: przycisnął ją mocno i położył rękę na jej piersiach.

Szczególna rzecz: to dotknięcie pozbawiło ją natychmiast uczucia lęku. Jak gdyby inżynier wskazał przez to dotknięcie na jej ciało, a ona sobie uświadomiła, że przecież w ogóle nie chodzi o nią (o jej duszę), ale właśnie tylko o ciało. O ciało, które ją zdradziło i które wyгнаła w świat pomiędzy inne ciała.

Rozpiął jej guziczek przy bluzce i dał do zrozumienia, że sama ma rozpiąć resztę. Ale ona nie odpowiedziała na ten rozkaz. Wyгнаła w świat swe ciało, ale nie chciała brać za nie żadnej odpowiedzialności. Nie broniła się, ale też mu nie pomagała. Dusza chciała w ten sposób powiedzieć, że co prawda nie zgadza się z tym, co się dzieje, ale zdecydowała się pozostać neutralna.

Rozebrał ją prawie nieruchomą. Kiedy ją pocałował, jej wargi nie odpowiedziały na dotknięcie jego warg. Ale potem nagle poczuła wilgoć między nogami i przestraszyła się.

Czuła podniecenie, tym większe, że było sprzeczne z jej wolą. Dusza już, co prawda, cicho pogodziła się ze wszystkim, co się działo, ale wiedziała również, że jeśli podniecenie ma pozostać tak silne, zgoda nie śmie być wypowiedziana. Gdyby powiedziała głośno „tak”, gdyby chciała dobrowolnie wziąć udział w scenie miłosnej, podniecenie by opadło. Ponieważ duszę podniecało właśnie to, że ciało działa wbrew jej woli, że ją zdradza, a ona się tej zdradzie przygląda. Potem ściągnął z niej figi i stanęła całkiem naga. Dusza widziała nagie ciało w objęciach obcego mężczyzny i wydawało jej się to niewiarygodne, jak gdyby patrzyła z bliska na planetę Mars. Światło nieprawdopodobieństwa sprawiło, że po raz pierwszy jej ciało utraciło banalność; po raz pierwszy patrzyła na nie z oczarowaniem, widziała całą jego wyjątkowość, całą jego osobowość, niezwykłość. Nie było to najzwyczajniejsze ze wszystkich ciał (tak je widziała dotychczas), ale najbardziej niezwykle. Dusza nie mogła oderwać wzroku od znamienia, okrągłej, brązowej plamki umieszczonej dokładnie nad trójkątnym owłosieniem, wydawało się jej, że to znamię jest pieczęcią, którą ona sama (dusza) wycisnęła na ciele i że obcy członek porusza się w świętokradczej bliskości tej

świętej pieczęci.

A kiedy potem spojrzała na jego twarz, uświadomiła sobie, że nigdy nie dała zgody na to, aby ciało, na którym jej dusza wyryła swój podpis, znalazło się w objęciach kogoś, kogo nie zna i nie chce znać. Wypełniła ją osłepiająca nienawiść. Zebrała w ustach ślinę, żeby ją wypluć w twarz temu obcemu mężczyźnie. On obserwował ją równie łakomie jak ona jego; spostrzegł jej gniew i jego ruchy na jej ciele przyspieszyły się. Teresa czuła, jak z daleka zbliża się do niej rozkosz i zaczęła krzyżeć: „nie! nie! nie!”, broniła się przed nadchodzącą rozkoszą, a kiedy tak się broniła, powstrzymywana rozkosz rozplywała się po całym jej ciele, nie miała bowiem którędy uciec; rozchodziła się po jej ciele jak morfina wstrzyknięta do żyły. Miotła się w jego objęciach, młóciła wokół rękami i pluła mu w twarz.

18.

Muszle klozetowe w nowoczesnych łazienkach wyrastają z podłóg jak kwiaty lilii wodnej. Architekt stara się, by ciało mogło zapomnieć o swej nędzy i żeby człowiek nie wiedział, co dzieje się z odpadkami jego wnętrzości, kiedy szumi nad nimi potok spuszczonej z rezerwuaru wody. Sieć kanałów, mimo że sięga swymi mackami aż do naszych mieszkań, jest przed naszym wzrokiem pieczołowicie ukryta i możemy nic nie wiedzieć o nie kończącej się Wenecji gówna, na której zbudowano nasze łazienki, sypialnie, sale bankietowe i parlamenty.

Ubikacja w starej, przedmiejskiej kamienicy w praskiej robotniczej dzielnicy nie miała w sobie hipokryzji; podłogę ułożono z szarych kafli, pośród których sterczała biedna, sieroca muszla klozetowa. Kształt jej nie przypominał kwiatu nenufaru. Wyglądała dokładnie na to, czym była w istocie: na rozszerzone zakończenie rury kanalizacyjnej. Nie było na niej nawet drewnianej deski klozetowej i Teresa musiała usiąść na zimnej, emaliowanej blasze.

Siedziała na muszli; nagle potrzeba opróżnienia wnętrzości była pragnieniem, by dojść do ostatecznej granicy poniżenia, być w jak największym stopniu, być w pełni ciałem, tym ciałem, o którym matka mówiła, że służy do trawienia i wydalania. Teresa wypróżnia swe wnętrzości i ma w tym momencie uczucie nieskończonego smutku i samotności. Nic nie jest nędzniejsze od jej nagiego ciała siedzącego na tym rozszerzonym zakończeniu rury kanalizacyjnej.

Dusza jej utraciła ciekawość widza; nie ma w niej już ironii ani pychy; ukryła się znów gdzieś w głębiach ciała, na dnie wnętrzości i z rozpaczą czeka, aby ktoś ją przywołał, aby mogła wyjść na zewnątrz.

19.

Podniosła się z muszli klozetowej i weszła za przepierzenie. Dusza drżała w ciele, które było nagie i odtrącone. Czuła jeszcze na swym odbycie dotknięcie papieru, którym się podcierała.

I w tym momencie nastąpiło coś, czego potem nie mogła zapomnieć: zapagnęła iść do niego do pokoju i usłyszeć jego głos, jego czułość. Gdyby przemówił do niej cichym, głębokim głosem, dusza ośmieliłaby się wyjść na powierzchnię ciała, a ona rozplakałaby się. Objęłaby go w ten sam sposób, w jaki we śnie obejmowała szeroki pień kasztana.

Stała w sionce i starała się powściągnąć tę niezrozumiałą chęć, by się na jego oczach rozplakać. Wiedziała, że jeśli się nie opanuje, dojdzie do czegoś, czego wcale nie chciała. Zakocha się w nim. W tej chwili z wnętrza zabrzmiał jego głos. Słyszając ten głos sam w sobie (nie widząc jednocześnie wysokiej sylwetki inżyniera) stanęła zaskoczona. Głos był cienki i wysoki. Jak to się stało, że dotychczas sobie tego nie uświadomiła?

Prawdopodobnie tylko dzięki zaskakującemu i nieprzyjemnemu wrażeniu, jakie zrobił na niej timbre jego głosu, zdołała opanować pokusę. Weszła do środka, schyliła się nad rozrzuconym ubraniem, szybko się ubrała i wyszła.

Wracała ze sklepu z Kareninem niosącym w pysku rogalika. Ranek był chłodny, chwycił lekki przymrozek. Przechodzili właśnie koło osiedla, gdzie na wielkich przestrzeniach między domami ludzie porobili sobie małe działki i ogródki. Karenin zatrzymał się nagle i patrzył z wyężeniem w tamtym kierunku. Ona spojrzała również, ale nie zauważyła niczego szczególnego. Karenin ciągnął ją za sobą, dawała się prowadzić. Potem dopiero ujrzała w bruzdzie zamrożonej gliny pustego zagonku czarną główkę wrony z wielkim dziobem. Główka bez ciała nieznacznie poruszała się, a dziób wydawał od czasu do czasu smutny, chrapliwy dźwięk.

Karenin był tak wyrażony z równowagi, że wypuścił rogalika. Teresa musiała przywiązać go do drzewa, bała się, że zrobi wronie krzywdę. Potem uklękła i starała się odgarnąć ziemię udeptaną wokół pogrzebanego za życia ptaka. Nie było to łatwe. Złamała sobie paznokcie, zaczęła ciec krew.

W tej chwili tuż obok niej upadł kamień. Obejrzała się i ujrzała za rogiem dwóch zaledwie dziesięcioletnich chłopców. Wstała. Dostrzegli jej ruch, psa przy drzewie i uciekli.

Znów uklękła na ziemi i odgarniała glinę. Wreszcie wyciągnęła wronę z jej grobu. Ale ptak był jak

sparalizowany; nie mógł chodzić ani się unieść. Otuliła go czerwonym szalikiem, który miała na szyi i lewą ręką przycisnęła do siebie. Prawą odwiązała Karenina od drzewa; musiała użyć wszystkich sił, aby ściągnąć smycz i utrzymać go tuż przy nodze. Zadzwoiła do drzwi, ponieważ nie miała wolnej ręki, aby odnaleźć klucz w kieszeni. Tomasz jej otworzył. Podała mu smycz z Kareninem. „Trzymaj go!” – zakomenderowała i zaniósła wronę do łazienki. Położyła ją na ziemi pod umywalką. Wrona szamotała się, ale nie mogła się ruszyć z miejsca. Wyciekała z niej jakaś gęsta, żółta ciecz. Podesłała pod umywalką jakieś stare szmaty, żeby wronie nie było zimno od chłodnych kafelków. Ptak co chwila machał rozpaczliwie zranionym skrzydłem, a jego dziób sterczał w górę jak wyrzut.

20.

Usiadła na krawędzi wanny i nie mogła spuścić wzroku z umierającej wrony. W jej sierocym opuszczeniu widziała obraz własnego losu i kilkakrotnie powiedziała sobie: nie mam na świecie nikogo oprócz Tomasza.

Czy historia z inżynierem uświadomiła jej, że erotyczne przygody nie mają nic wspólnego z miłością? Że są lekkie i bez wagi? Czy stała się spokojniejsza?

Ani trochę.

W myślach wciąż powraca do tej sceny: wychodzi z ubikacji i jej ciało stoi w sieni nagie i odtrącone. Dusza drży, przerażona, schowana głęboko we wnętrzościach. Gdyby w tym momencie mężczyzna, który znajdował się w pokoju, zwrócił się do jej duszy, byłaby skłonna rozplakać się i paść mu w objęcia.

Wyobraziła sobie, że zamiast niej stoi w sionce któraś z kochanek Tomasza, a zamiast inżyniera w pokoju siedzi Tomasz. Powiedziałaby tej dziewczynie jedno tylko słowo, a ona objęłaby go z płaczem. Teresa wie, że tak wyglądają chwile, w których rodzi się miłość: kobieta nie może się oprzeć głosowi, który wywołuje na zewnątrz jej duszę, mężczyzna nie może się oprzeć kobiecie, której dusza jest wrażliwa na jego głos. Tomasz nigdzie nie jest bezpieczny wobec groźby miłości i Teresa musi lękać się o niego w każdej minucie, w każdej godzinie. Co jest jej bronią? Tylko jej wierność. Oddała mu ją zaraz na początku, pierwszego dnia, jak gdyby zdawała sobie sprawę, że nie ma niczego innego do ofiarowania. Ich miłość jest budowlą przedziwnie niesymetryczną: spoczywa na absolutnej pewności jej wierności jak mamuci pałac na jednym słupie.

Wrona już prawie nie poruszała skrzydłami i tylko od czasu do czasu drgała jej zraniona, złamana nóżka. Teresa nie chciała oddalić się od niej, jak gdyby czuwała u łóżka umierającej siostry. Jednak odeszła w końcu do kuchni, żeby zjeść szybko obiad. Kiedy wróciła, wrona była martwa.

21.

W pierwszym roku miłości Teresa w trakcie aktu miłosnego krzyczała i ten krzyk — jak już powiedziałem — chciał oślepić i zagłuszyć zmysły. Później krzyczała mniej, ale jej dusza była wciąż zaślepiona miłością i nic nie widziała. Dopiero kiedy kochała się z inżynierem, nieobecność miłości pozwoliła jej duszy przejrzeć.

Znów była w saunie i stała przed lustrem. Przyglądała się sobie i w duchu widziała scenę cielesnej miłości w mieszkaniu inżyniera. To, co z niej zapamiętała, to nie był kochanek. Szczerze mówiąc nie umiałaby nawet go opisać, chyba w ogóle nie zwróciła uwagi na to, jak wyglądał nago. To, co pamiętała (i na co teraz, podniecona, patrzyła do lustra), to było jej własne ciało; jej krocze i okrągła plama tuż nad nim. Ta plamka, która dotychczas była dla niej tylko prozaiczną skazą, wryła się w jej myśli. Pragnęła znowu i znowu widzieć ją w tym niewiarygodnym sąsiedztwie obcego męskiego członka.

Nie mogę nie podkreślić tego jeszcze raz: nie chciała oglądać organów płciowych obcego mężczyzny. Chciała widzieć swoje przyrodzenie w sąsiedztwie obcego członka. Nie tęskniła do ciała kochanka. Tęskniła do własnego ciała, nagle odkrytego, najbliższego i najbardziej obcego, najbardziej podniecającego.

Przyglądała się swemu ciału, pokrytemu drobnymi kropelkami, które pozostawił na nim prysznic i myślała o tym, że w najbliższych dniach inżynier znowu zajdzie do jej baru. Pragnęła, żeby przyszedł, pragnęła, aby zaprosił ją do siebie! Niezmiernie tego pragnęła.

22.

Codziennie bała się, że inżynier przyjdzie do baru i że nie będzie mu umiała powiedzieć: „nie”. Kiedy dni mijały, obawa, że przyjdzie zmieniała się w strach, że nie przyjdzie.

Upłynął miesiąc i inżynier nie zjawił się. Teresa nie umiała sobie tego wytłumaczyć. Rozczarowana tęsknota odeszła na bok i przyszło zaniepokojenie: dlaczego nie przyszedł?

Obsługiwała klientów. Był wśród nich znów mężczyzna z łysiną, który kiedyś na nią napadł, że

nalewa alkohol niepełnoletnim. Opowiadał głośno sprośny dowcip, ten sam, który słyszała sto razy z ust pijaków, którym kiedyś w małym mieście podawała piwo. Znów jej się wydawało, że wraca do niej świat matki i dlatego dość brutalnie przerwała łysemu mężczyźnie.

Mężczyzna obraził się

— Nie będzie mnie pani pouczać! Może być pani zadowolona, że dajemy tu pani pracować!

— Kto: my? Kto to jest: my?

— My – odpowiedział mężczyzna i zamówił następną wódkę. – I proszę sobie zapamiętać, że mnie pani obrażać nie będzie!

Potem wskazała na szyję Teresy, wokół której był okręcony sznur tanich pereł:

— Skąd pani ma te perły? Przecież nie od męża, który zajmuje się myciem okien! Tego nie stać na to, żeby kupować prezenty! Klienci to pani dają, co? Ciekawe za co...

— Proszę natychmiast się zamknąć — zasyczała Teresa. Mężczyzna starał się złapać w palce naszyjnik:

— Proszę sobie dobrze zapamiętać, że prostytutka jest u nas zabroniona!

Karenin podniósł się, oparł się przednimi łapami o blat i zawarczał.

23.

Ambasador powiedział:

— To był ubek.

— Jeśli jest ubekiem, powinien się zachowywać dyskretnie – zaproponowała Teresa. – Cóż to za tajna policja, która przestaje być tajna.

Ambasador usadowił się na swojej kozetce i podwinął nogi pod siebie – nauczył się tego na kursach jogi. Nad nim, w ramce, uśmiechał się Kennedy, dając jego słowom szczególne błogosławieństwo.

— Pani Teresko – powiedział ojcowskim tonem – ubecy mają kilka funkcji. Pierwsza jest klasyczna. Podслушują rozmowy ludzi i informują o nich swoich zwierzchników.

Druga funkcja to zastraszanie. Dają nam do zrozumienia, że mają nas w swojej władzy i chcą, żebyśmy się ich bali. O to starał się pani łysoń.

Trzecia funkcja polega na tym, że starają się zainscenizować sytuacje, które mogłyby nas skompromitować. Dziś już nikt nie jest zainteresowany tym, by nas oskarżać o spisek przeciwko państwu, ponieważ to by nam tylko zyskało nową sympatię ludzi. Raczej będą się starali znaleźć nam w kieszeni haszysz albo udowodnić nam, że zgwałciliśmy dwunastoletnią dziewczynkę. Zawsze znajdą jakąś dziewczynkę, która to poświadczy.

Znów przypomniał jej się inżynier. Jak to możliwe, że już nigdy potem nie przyszedł?

Ambasador kontynuował:

— Chcą zapędzić ludzi do pułapki, żeby pozyskać ich do współpracy i z ich pomocą zastawić następne sidła na następnych ludzi i zrobić powoli z całego narodu rodzaj organizacji konfidentów.

Teresa nie myślała już o niczym innym, tylko o tym, że inżyniera przysłała do niej policja. Kim był dziwny chłopiec, który upił się w gospodzie naprzeciwko i wyznawał jej miłość? Łysy ubek napadł na nią w związku z nim, a inżynier stanął w jej obronie. Wszyscy trzej grali swoje role w z góry przygotowanym scenariuszu, który miał na celu pozyskać jej sympatię dla mężczyzny, który później miał ją uwieść. Jak to możliwe, że nie przyszło jej to do głowy? Przecież to mieszkanie było tak dziwne i w ogóle nie pasowało do tego człowieka! Dlaczego elegancko ubrany inżynier miałby mieszkać w tak nędznej norze? Czy był w ogóle inżynierem? Jeśli był inżynierem, w jaki sposób zwolnił się z pracy o drugiej po południu? Czy inżynier czytałby Sofoklesa? Nie, to nie była biblioteka żadnego inżyniera! To pomieszczenie przypominało raczej zarekwirowane mieszkanie jakiegoś zaarrestowanego intelektualisty. Kiedy miała dziesięć lat i zamknęli jej ojca, również zarekwirowali mieszkanie, a w nim całą bibliotekę. Kto wie, do czego potem wykorzystywali to mieszkanie.

Teraz stało się jasne, czemu już nigdy nie przyszedł. Spełnił swoje zadanie. Jakie? Pijany ubek zdradził się niechcący, kiedy powiedział – „Prostytucja jest u nas zabroniona, proszę to sobie zapamiętać!” Domniemany inżynier będzie świadczyć, że przespała się z nim i domagała się od niego pieniędzy! Będą grozić jej skandalem i szantażować ją, by składała donosy na ludzi, którzy piją przy jej barze.

— Ta pani historia jest kompletnie niegroźna – uspokajał ją ambasador.

— Chyba tak — odpowiedziała matowym głosem i odeszła z Kareninem w nocne ulice Pragi.

24.

Ludzie najczęściej uciekają przed swymi zmartwieniami w przyszłość. Wyobrażają sobie na drodze czasu linię, poza którą ich dzisiejsze zmartwienie przestaje istnieć. Ale Teresa nie widzi przed sobą żadnej takiej linii. Pociężyć ją może tylko spojrzenie wstecz. Znów była niedziela. Wsiedli do auta i pojechali

daleko za Pragę.

Tomasz siedział za kierownicą. Teresa obok niego, a Karenin od czasu do czasu nachylał się ku nim z tylnego siedzenia i lizał ich po uszach. Po dwóch godzinach przyjechali do małego uzdrowiska, w którym spędzili razem przed sześciu laty kilka dni i chcieli tam przenocować.

Zatrzymali samochód na ryneczku i wysiedli. Nic się nie zmieniło. Naprzeciwko stał hotel, w którym kiedyś mieszkali, a przed nim stara lipa. Na lewo od hotelu ciągnęła się stara drewniana kolumnada, na której końcu tryskało do marmurowej misy źródło, nad którym dziś, tak jak wówczas, nachylali się ludzie ze szklaneczkami w dłoniach.

Potem Tomasz znów wskazał ręką na hotel. Coś się jednak zmieniło. Kiedyś nazywał się Grand, a teraz jest na nim napis Bajkał. Popatrzyli na tabliczkę na rogu domu: Plac Moskiewski. Potem szli (Karenin biegł obok nich bez smyczy) wszystkimi ulicami, które znali i czytali ich nazwy: była tam ulica Stalingradzka, ulica Lenin-gradzka, ulica Rostowska, ulica Nowosybirsk, ulica Kijowska, ulica Odessa, dom uzdrowiskowy Czajkowski, dom uzdrowiskowy Tołstoj, dom uzdrowiskowy Rymski-Korsakow, był hotel Suworow, kino Górki i kawiarnia Puszkina. Wszystkie nazwy zostały przejęte z rosyjskiej geografii i rosyjskiej historii.

Teresa przypomniała sobie pierwsze dni inwazji. Ludzie we wszystkich miastach pozdejmowali tabliczki z nazwami ulic, a na szosach zdejmowali drogowskazy, na których były napisane nazwy miast. W ciągu jednej nocy ziemia stała się bezimienna. Przez siedem dni rosyjskie wojska błądziły po kraju nie wiedząc, gdzie są. Oficerowie szukali budynków redakcji, radia, telewizji, żeby je obsadzić, ale nie mogli ich znaleźć. Pytali ludzi, ale ci wzruszali ramionami, albo podawali fałszywe nazwy i fałszywy kierunek.

Po latach okazuje się nagle, że ta chwilowa anonimowość była dla kraju niebezpieczna. Ulice i domy nie mogły już powrócić do swych dawnych nazw. W ten sposób czeskie uzdrowisko stało się jakąś imaginacyjną małą Rosją, a przeszłość, której Teresa przyjechała tu szukać, okazała się skonfiskowana. Nie można było tu nocować.

25.

Wracali do auta milcząc. Myślała o tym, że wszystkie rzeczy i ludzie występują w przebraniu. Stare czeskie miasto okryło się rosyjskimi nazwami. Czesi, którzy fotografowali inwazję, pracowali w rzeczywistości dla tajnej policji. Człowiek, który posyłał ją na śmierć, miał na twarzy maskę Tomasza. Policjant występował pod mianem inżyniera, a inżynier chciał grać rolę mężczyzny z Petryna. Tajny znak książki w jego mieszkaniu był fałszywy i miał ją sprowadzić na bezdroże.

Kiedy teraz przypomniała sobie książkę, którą tam trzymała w ręku, coś sobie nagle uświadomiła i oblało ją gorąco. Jak to było? Inżynier powiedział, że przyniesie kawę. Podeszła do regału i wyciągnęła „Króla Edypa” Sofoklesa. Inżynier potem wrócił. Ale bez kawy!

Wciąż i wciąż powracała pamięcią do tej sytuacji: kiedy poszedł po kawę, jak długo go nie było? Z pewnością co najmniej minutę, może dwie, chyba trzy. Co robił tak długo w tej miniaturowej sionce? Poszedł do ubikacji? Teresa stara się przypomnieć sobie, czy słyszała skrzypnięcie drzwi albo szum spuszczonej wody. Nie, wody nie słyszała z pewnością, to by zapamiętała. Jest też niemal pewna, że drzwi się nie zamknęły. Cóż więc robił w tej sionce?

Nagle wszystko wydało się aż nadto jasne. Jeśli chcą złapać ją w pułapkę, nie wystarczy im tylko świadectwo inżyniera. Potrzebują nieodpartego dowodu. W ciągu tej podejrzanej długiej nieobecności inżynier instalował w sionce kamerę. Albo, co jest prawdopodobniejsze, wpuścił kogoś do środka, kogoś uzbrojonego w aparat fotograficzny, kogoś, kto potem ich fotografował ukryty za zasłonką.

Jeszcze przed kilku tygodniami śmiała się z Prochazki, który nie wiedział, że żyje w obozie koncentracyjnym, w którym nie istnieje żadna prywatność. A cóż ona sama? Kiedy odeszła z domu matki, wyobrażała sobie naiwnie, że raz na zawsze stała się panem swej prywatności. Ale dom matki rozciąga się na cały świat i wyciąga po nią ręce. Teresa już przed nim nigdzie nie ucieknie.

Schodzili po schodach między ogrodami w kierunku placu, na którym zostawili auto.

— Co ci jest? - spytał Tomasz.

Zanim zdążyła mu odpowiedzieć, Tomasz kogoś pozdrowił.

26.

Był to pięćdziesięciolatek z ogorzałą twarzą, wieśniak, którego Tomasz kiedyś operował. Od tego czasu posyłali go co rok na leczenie do tego uzdrowiska. Zaprosił Tomasza i Teresę na szklaneczkę wina. Ponieważ w Czechach psy nie mają wstępu do lokali publicznych, Teresa poszła zaprowadzić Karenina do samochodu, a mężczyźni tymczasem usiedli w kawiarni. Kiedy wróciła do nich, wieśniak mówił:

— U nas jest spokój. Wybrali mnie nawet dwa lata temu na przewodniczącego spółdzielni.

— Gratuluję — powiedział Tomasz.

— Wie pan, wiocha. Ludzie stamtąd uciekają. Ci na górze muszą być zadowoleni, że w ogóle ktoś tam chce siedzieć. Nas wyrzucić z pracy nie mogą.

— To by było idealne miejsce dla nas – powiedziała Teresa.

— Nudziłaby się tam pani. Tam niczego nie ma. Tam nie ma w ogóle niczego... Teresa przyglądała się ogorzalej twarzy rolnika. Wydał jej się bardzo miły. Po tak strasznie długim czasie ktoś znów wydał jej się miły! Wyobraziła sobie tę wieś: wieża kościoła, pole, lasy, zając biegnący bruzdą, myśliwy w zielonym kapeluszu. Nigdy nie mieszkała na wsi. Ten obraz miała w sobie tylko z opowiadań. Albo z lektury. Albo został wyciśnięty w jej podświadomości przez jakichś dalekich przodków. Pomimo to ten obraz był w niej, jasny i wyraźny jak zdjęcie prababci w albumie rodzinnym, albo jak jakaś stara rycina.

— Ma pan jeszcze kłopoty ze zdrowiem? – spytał Tomasz. Rolnik pokazał na miejsce w tyle karku, tam, gdzie czaszka łączy się z kręgosłupem.

— Tutaj miewam czasem bóle.

Nie podnosząc się z miejsca, Tomasz obmacał to miejsce ręką i jeszcze przez chwilę wypytywał swego byłego pacjenta. Potem powiedział:

— Ja nie mam już prawa zapisywać recept. Ale niech pan powie swemu lekarzowi, że rozmawiał pan ze mną i że radzę panu używać tego. Wyciągnął z portfela bloczek, wyrwał z niego kartkę. Wielkimi literami napisał na niej nazwę leku.

27.

Wracali do Pragi.

Teresa myślała o zdjęciu, na którym widać jej nagie ciało w objęciach inżyniera. Pocieszała się: nawet, jeśli takie zdjęcie istnieje. Tomasz nigdy go nie zobaczy. To zdjęcie ma dla nich wartość tylko dlatego, że dzięki niemu będą mogli Teresę szantażować. Gdyby posłali fotografię Tomaszowi, przestałaby mieć dla nich jakąkolwiek wartość.

Ale jeśliby policja w międzyczasie doszła do wniosku, że Teresa nie ma dla nich żadnego znaczenia! W rym wypadku zdjęcie stałoby się dla nich niczym więcej niż zabawką i nikt nie będzie mógł zabronić, aby któryś z nich, ot tak, dla rozrywki, nie wsadził go do koperty i nie posłał na adres Tomasza.

Co by się stało, gdyby Tomasz otrzymał taką fotografię? Czy wygnałby ją? Może nie. Chyba nie. Ale krucha konstrukcja ich miłości rozpadłaby się natychmiast. Ponieważ konstrukcja ta stoi na jej wierności jak na jednym słupie, a miłość jest jak imperium – kiedy niknie idea, która je zrodziła, musi się i ono rozpaść.

Miała przed oczyma obraz: zając biegnący bruzdą, myśliwy w zielonym kapeluszu i wieża kościoła nad lasem.

Chciała powiedzieć Tomaszowi, że powinni odjechać z Pragi. Odejść daleko od dzieci, które zakopują w ziemię żywe wrony, daleko od ubeków, daleko od dziewczyn uzbrojonych w parasole. Chciała mu powiedzieć, że powinni przenieść się na wieś. Była to jedyna możliwość ratunku.

Zwróciła ku niemu twarz. Ale Tomasz milczał i patrzył na szosę przed sobą. Nie umiała przekroczyć bariery ciszy, która zaległa między nimi. Straciła odwagę do mówienia. Czuli się tak, jak wtedy, kiedy wracała z Petrzyna. Czuli ssanie w żołądku i chciało jej się wymiotować. Bała się Tomasza. Był dla niej zbyt silny, a ona była zbyt słaba. Wydawał jej rozkazy, których nie rozumiała. Starła się je wypełniać, ale nie umiała tego robić.

Pragnęła wrócić na Petrzyn i poprosić mężczyznę ze strzelbą, żeby mogła zawiązać wokół oczu opaskę i oprzeć się o pień kasztana. Chciało jej się umrzeć.

28.

Obudziła się i stwierdziła, że jest sama w domu.

Wyszła na ulicę i poszła w stronę nabrzeża. Pragnęła zobaczyć Wełtawę. Chciała stanąć na brzegu i długo patrzeć w fale, dlatego że spojrzenie na płynącą wodę uspokaja i leczy. Rzeka płynie od wieków do wieków, a ludzkie historie rozgrywają się na jej brzegu. Dzieją się po to, by jutro je zapomnieć i aby rzeka płynęła dalej.

Oparła się o poręcz i patrzyła w dół. Było to na peryferiach Pragi, Wełtawa przepłynęła już prawie przez miasto, miała za sobą sławę Hradczan i kościołów, była jak aktorka po przedstawieniu, zmęczona i zamyślona. Płynęła między brudnymi brzegami obramowanymi płotami i murami, za którymi stały fabryki i opuszczone boiska.

Długo już patrzyła w wodę, która wydawała jej się coraz smutniejsza i ciemniejsza, kiedy nagle zobaczyła pośrodku rzeki jakiś przedmiot, czerwony przedmiot. Tak, była to ławka. Drewniana ławka ogrodowa na metalowych nogach, ławka, jakich pełno w praskich parkach. Płynęła powoli środkiem Wełtawy. Za nią następna ławka. I następna, i następna i dopiero teraz widzi, że z miasta odpływają wodą

ławki z praskich parków, jest ich dużo, coraz więcej, płyną po wodzie jak jesienne liście, które woda niesie z lasów, czerwone, żółte, niebieskie.

Obejrzała się za siebie, jak gdyby chciała spytać ludzi, co to ma oznaczać. Dlaczego odpływają po wodzie ławki z praskich parków? Ale ludzie przechodzili obok obojętnie i było im wszystko jedno, czy jakaś rzeka płynie od wieków przez środek ich nie-wiecznego miasta. Znow zapatrzyła się na rzekę. Było jej niezmiernie smutno. Rozumiała, że to, co ogląda oznacza rozłąkę.

Główna partia ławek zniknęła już z jej pola widzenia i pojawiło się jeszcze kilka ostatnich maruderów, jeszcze jedna żółta ławka, a potem jeszcze jedna, niebieska, ostatnia.

CZĘŚĆ V

Lekkość i ciężar

1.

Kiedy Teresa niespodziewanie przyjechała do Tomasza do Pragi, kochał się z nią, jak już napisałem w pierwszej części, jeszcze tego samego dnia, czy tej samej godziny, ale zaraz potem dostała gorączki. Leżała w jego łóżku, a on stał nad nią i miał intensywne uczucie, że jest ona dzieckiem, które ktoś włożył do koszyka i puścił z biegiem rzeki.

Dlatego obraz porzuconego dziecka stał mu się drogi i często myślał o starych mitach, w których obraz ten występował. To było prawdopodobnie ukrytym powodem, dla którego pewnego dnia wziął do rąk „Króla Edypa” Sofoklesa.

Historia Edypa jest znana: pasterz znalazł go jako porzucone niemowlę, zaniósł do swego króla Polybosa, który go wychował. Kiedy Edyp był już młodzieńcem, spotkał się na drodze w górach z wozem, na którym jechał nieznanemu wielmożę. Zaczęła się kłótnia, Edyp zabił podróżnego. Później został mężem królowej Jokasty i władcą Teb. Nie przypuszczał, że mężczyzna, którego kiedyś zabił w górach był jego ojcem, a kobieta, z którą sypia, jest jego matką. Los w międzyczasie wziął się na jego poddanych i trapił ich różnymi chorobami. Kiedy Edyp zrozumiał, że to on jest winien ich cierpień, wykuł sobie szpilką oczy i ślepy odszedł z Teb.

2.

Ktoś, kto sobie wyobraża, że reżymy komunistyczne w Europie środkowej są wyłącznie dziełem zbrodniarzy, nie zdaje sobie sprawy z podstawowej prawdy: zbrodnicze reżymy zostały stworzone nie przez zbrodniarzy, ale przez entuzjastów, przekonanych, że odkryli jedyną drogę prowadzącą do raj. Bronili jej zapamiętali i dlatego zamordowali wielu ludzi. Potem ogólnie się okazało, że żadnego raj. nie ma i że entuzjaści byli mordercami. Wtedy wszyscy zaczęli krzyczeć na komunistów: jesteście odpowiedzialni za nieszczęścia kraju (zbiedniał i schamiał), za utratę jego niepodległości (wpadł we władzę Rosji), za morderstwa sądowe! Ci, których obwiniano, odpowiadali: Nie wiedzieliśmy! Okłamano nas! Wierzyliśmy! W głębi duszy jesteśmy niewinni!

Spór sprowadził się do jednego problemu: naprawdę nie wiedzieli? Czy tylko udają, że nie wiedzieli?

Tomasz śledził ten spór (śledził go cały dziesięciomilionowy czeski naród) i mówił sobie, że wśród komunistów znajdowali się z pewnością ludzie, którzy nie byli tak całkiem nieświadomi (musieli coś przecież wiedzieć o potwornych rzeczach, które działy się i nie przestały się dziać w porewolucyjnej Rosji). Ale jest prawdopodobne, że większość spośród nich naprawdę o niczym nie wiedziała.

I powiedział sobie, że podstawowy problem nie polega na tym, czy wiedzieli, ale na tym, czy człowiek jest niewinny dlatego, że nie wie? Czy głupiec na tronie jest zwolniony od wszelkiej odpowiedzialności tylko dlatego, że jest głupcem?

Załóżmy, że czeski prokurator na początku lat pięćdziesiątych, żądając śmierci dla niewinnego, został okłamany przez rosyjską tajną policję i przez władze swego kraju. Ale czy jest możliwe, by dziś, kiedy już wiemy, że oskarżenia były absurdalne, a skazani niewinni, ten sam prokurator bronił czystości swej duszy i bił się w piersi: moje sumienie jest czyste, nie wiedziałem, wierzyłem! Czy przypadkiem w jego „nie wiedziałem! wierzyłem!” nie tkwi wina?

Wtedy właśnie Tomasz przypomniał sobie historię Edypa: Edyp nie wiedział, że śpi z własną matką, ale pomimo to, kiedy zrozumiał o co chodzi, nie czuł się wcale niewinny. Nie mógł znieść widoku nieszczęścia, jakie z jego powodu spadło na jego poddanych, wykuł sobie oczy i ślepy opuścił Teby.

Tomasz słyszał krzyk komunistów, którzy bronili swej czystości wewnętrznej i mówił sobie: z winy waszej nieświadomości ten kraj utracił, być może na całe stulecia, wolność, a wy krzyczycie, że czujecie się niewinni? Jak możecie w ogóle na to patrzeć? Jak możecie nie być przerażeni? Czy widzicie w ogóle?

Gdybyście mieli oczy, musielibyście je sobie wykluć i opuścić Teby.

To porównanie tak mu się spodobało, że często używał go w rozmowach z przyjaciółmi i z czasem wypowiadał je przy pomocy coraz dokładniejszych i elegantszych sformułowań.

Czytał w tych czasach, podobnie jak wszyscy intelektualisci, tygodnik wydawany w nakładzie około trzystu tysięcy przez Związek Pisarzy Czeskich, który zdobył sobie wewnątrz systemu dość znaczną autonomię i mówił o sprawach, o których inni publicznie mówić nie mogli. Dlatego pisano w nim również o tym, kto i jak jest odpowiedzialny za zbrodnie procesów politycznych na początku panowania komunistów.

We wszystkich tych sporach wciąż powtarzało się pytanie: wiedzieli, czy nie wiedzieli? Ponieważ Tomasz uważał to pytanie za drugorzędne, napisał pewnego dnia swoje przemyślenia o Edypie i posłał je do tygodnika. Po miesiącu otrzymał odpowiedź. Zaprosili go do redakcji. Kiedy tam przyszedł, przywitał go redaktor, niedużego wzrostu, wyprostowany jak linijka i zaproponował mu, by zmienił szyk słów w jednym ze zdań. Tekst potem istotnie ukazał się na przedostatniej stronie w rubryce „Listy czytelników”.

Tomasz nie ucieszył się z tego. Czy warto było zapraszać go redakcji i prosić o zgodę na zmianę szyku w zdaniu, żeby potem, nie pytając go wcale, skrócić jego tekst do tego stopnia, że cały esej został zredukowany do podstawowej tezy (trochę zbyt schematycznej i agresywnej) i przestał mu się podobać?

To się działo jeszcze na wiosnę 1968 roku. U władzy był Aleksander Dubczek a wraz z nim ci komuniści, którzy czuli się winni i byli skłonni jakoś tę winę naprawić. Ale ci drudzy komuniści, którzy krzyczeli, że są niewinni, bali się, że kiedy utracą władzę, rozgniewany naród zechce ich sądzić. Dlatego chodzili codziennie na skargę do rosyjskiego ambasadora i prosili go o pomoc. Kiedy ukazał się list Tomasza, zaczęli krzyżeć: więc do tego już doszło! Już publicznie piszą, że trzeba nam wyłupywać oczy!

W dwa, trzy miesiące później Rosjanie zdecydowali, że swobodne dyskusje w ich guberni są absolutnie nie na miejscu i w ciągu jednej nocy zajęli przy pomocy swej armii ojczyznę Tomasza.

3.

Kiedy Tomasz wrócił z Zurychu, zaczął, tak jak przedtem, pracować w swym szpitalu. Ale pewnego dnia wezwał go szef.

— Koniec końców, panie kolego — powiedział — nie jest pan przecież pisarzem ani dziennikarzem, ani zbawcą narodu, ale lekarzem i naukowcem. Nie chciałbym pana stracić i zrobię wszystko, żeby pana utrzymać. Ale musi pan odwołać ten swój artykuł o Edypie. Bardzo panu na nim zależy?

— Panie ordynatorze... — powiedział Tomasz i przypomniał sobie, jak mu amputowali z jego artykułu jedną trzecią. — Nigdy mi na niczym mniej nie zależało.

— Wie pan, o co mi chodzi — powiedział ordynator.

Wiedział: na szalach leżały dwie rzeczy: na jednej stronie jego cześć (która polegała na tym, że nie będzie odwoływał tego, co powiedział), na drugiej to, co przyzwyczał się uważać za sens swego życia (jego praca naukowca i lekarza).

Ordynator ciągnął dalej:

— Ich żądanie, by ludzie publicznie odwoływali to, co przedtem powiedzieli, ma w sobie coś średniowiecznego. Co to w ogóle znaczy „odwołać”? W dzisiejszych czasach myśl można tylko przekonać inną myślą, ale nie odwołać. I dlatego, panie kolego, ponieważ odwołanie myśli jest czymś niemożliwym, czysto werbalnym, formalnym, magicznym, nie widzę powodu, dla którego nie miałby pan zrobić tego, czego oni się domagają. W społeczeństwie, które jest rządzone za pomocą terroru, żadne oświadczenia nie mają ważności, są to wymuszone oświadczenia i uczciwy człowiek jest zobowiązany nie przyjmować ich do wiadomości, nie słuchać ich. Mówię panu, panie kolego, że w moim interesie i w interesie pana pacjentów leży, żeby kontynuował pan swoją pracę.

— Ma pan z pewnością rację, panie ordynatorze — odpowiedział Tomasz z nieszcześliwą miną.

— Ale? — starał się odgadnąć jego myśli ordynator.

— Boję się, że bym się wstydził.

— Przed kim? Czyżby miał pan o ludziach wokół siebie aż tak dobrą opinię, że zależy panu na tym, co o panu myślą?

— Nie, nie mam o nich aż tak dobrej opinii — powiedział Tomasz.

— Zresztą — dodał ordynator - zapewniali mnie, że nie chodzi o oświadczenie publiczne. To są biurokraci. Potrzebny im gdzieś w ich aktach dowód na to, że nie jest pan wrogiem systemu, żeby mogli się bronić, kiedy ktoś ich zaatakuje za to, że pozwolili panu dalej pracować. Zapewniali mnie, że pańskie oświadczenie pozostanie między nami a nimi i że nie mają zamiaru go publikować.

— Niech mi pan da tydzień do zastanowienia — zamknął rozmowę Tomasz.

4.

Tomasz miał opinię najlepszego chirurga w szpitalu. Mówiono, że ordynator, który zbliżał się już do

wieku emerytalnego, przekaże mu swą funkcję. Kiedy rozeszło się, że organy domagają się od niego samokrytyki, nikt nie wątpił, że Tomasz ustąpi.

To była pierwsza rzecz, która go zaskoczyła: pomimo, iż nie dał im ku temu żadnego powodu, ludzie liczyli na jego podłość, a nie na jego cnotę. Drugim zaskoczeniem była ich reakcja na jego spodziewane zachowanie. Mógłbym ją podzielić na dwa główne rodzaje:

Pierwszy manifestowali ci, którzy sami (oni, lub ich bliscy) coś odwołali, albo zostali zmuszeni do wygłoszenia swej aprobaty dla okupacyjnego reżymu, albo byli gotowi to zrobić (choć niechętnie, nikt tego nie robi chętnie).

Ci ludzie uśmiechali się do niego specyficznym uśmieszkiem, jakiego dotąd nie znał: płochym uśmieszkiem tajnej porozumiewawczej zgody. Jest to uśmiech dwóch mężczyzn, którzy przypadkiem spotkali się w burdelu; trochę się wstydzą, ale jednocześnie sprawia im przyjemność wzajemność tego wstydu; powstaje między nimi więź szczególnego braterstwa.

Uśmiechali się do niego z tym większą satysfakcją, że nie cieszył się nigdy opinią konformisty. Dlatego jego spodziewana zgoda na propozycję ordynatora świadczyła o tym, że tchórzostwo pomału, ale nieodwołalnie staje się powszechną normą zachowania i wkrótce przestanie być uważane za coś złego. Ludzie ci nie byli nigdy jego przyjaciółmi. Tomasz uświadomił sobie z przerażeniem, że gdyby naprawdę wygłosił oświadczenie, o które prosił go ordynator, tamci zaczęliby go do siebie zapraszać na wino i chcieliby się z nim zaprzyjaźnić.

Drugi rodzaj reakcji dotyczył ludzi, którzy sami (oni, lub ich bliscy) byli prześladowani, którzy odmówili pójścia na jakikolwiek kompromis z władzą okupacyjną albo od których nikt żadnego kompromisu (żadnego oświadczenia) nie wymagał (na przykład dlatego, że byli zbyt młodzi i nigdzie nie zdążyli się „skompromitować”) i którzy byli przekonani, że nigdy by nań nie poszli.

Jeden z nich, bardzo zresztą zdolny młody lekarz S., spytał Tomasza:

— To co, napisałeś im to?

— O czym, proszę cię, mówisz? — spytał Tomasz.

— O twoim odwołaniu – odpowiedział S. Nie mówił tego ze złością. Uśmiechał się nawet. Był to zupełnie inny uśmiech z grubego słownika uśmiechów: uśmiech zadowolonej z siebie przewagi moralnej.

Tomasz powiedział:

— Słuchaj, co ty wiesz o moim odwołaniu? Czytałeś je?

— Nie – odpowiedział S.

— To po co gadasz? – powiedział Tomasz. S. ciągle uśmiechał się z zadowoleniem:

— Słuchaj no, my wszyscy dobrze wiemy, co jest grane. Takie odwołanie pisze się w formie listu do jakiegoś dyrektora albo ministra, albo Bóg wie kogo, tamten obieca, że list nie zostanie opublikowany, żeby piszący nie czuł się zbyt poniżony. Jest tak, czy nie?

Tomasz wzruszył ramionami i słuchał dalej.

— To oświadczenie leży sobie spokojnie w jego biurku, ale autor wie, że w każdej chwili może zostać opublikowane. Więc nigdy już nie będzie mógł nic powiedzieć ani krytykować, przeciwko niczemu protestować, dlatego że w tym wypadku opublikowano by jego oświadczenie i czułby się wobec wszystkich niegodny. Można powiedzieć, że to całkiem humanitarna metoda. Można sobie wyobrazić gorsze.

— Tak, to bardzo humanitarna metoda – powiedział Tomasz. — Ciekawiloby mnie tylko, kto ci powiedział, że na nią poszedłem.

Kolega wzruszył ramionami, ale uśmiech nie zniknął z jego twarzy. Tomasz uświadomił sobie dziwną rzecz. Wszyscy się do niego uśmiechają, wszyscy sobie życzą, żeby napisał odwołanie, wszystkim sprawiłby tym radość! Pierwsi cieszą się z tego, że inflacja tchórzostwa ubanalnia ich zachowanie i zwraca im utracony honor. Drudzy już się przyzwyczaili uważać swój honor za specjalny przywilej, z którego nie chcą zrezygnować. Dlatego żywią dla tchórzów tajemne uczucie miłości; bez nich ich własna odwaga spowszedniałaby i stałaby się jakimś zbytecznym trudem, którego nikt już by nie podziwiał.

Tomasz nie mógł znieść tych uśmiechów, wydawało mu się, że widzi je wszędzie, również na twarzach nieznanym ludzi na ulicy. Nie mógł spać. Jak to? Więc przywiązuje do tych ludzi tak wielkie znaczenie? Nie, nie myśli o nich niczego dobrego i sam jest wściekły na siebie za to, że ich spojrzenia tak go wzburzają. Nie ma w tym żadnej logiki. Jak to możliwe, że ktoś, kto tak mało szanuje ludzi, jest aż tak zależny od ich opinii?

Jego głęboki brak zaufania do ludzi (wątpił, czy mają prawo decydować o nim i sądzić go) miał prawdopodobnie wpływ na jego wybór zawodu, który wykluczał wystawienie się na widok publiczny. Człowiek, który na przykład wybierze drogę polityka, z własnej woli czyni publiczność swym sędzią, z naiwną i nieukrywaną wiarą, że zyska sobie jej przychylność. Ewentualne niezadowolenie tłumu pobudza go do jeszcze większej aktywności, podobnie jak Tomasza pobudzały trudności w diagnozie.

Lekarz (w przeciwieństwie do polityka czy aktora) jest sądzony tylko przez swoich pacjentów i najbliższych kolegów, a więc wśród czterech ścian i w cztery oczy. Na spojrzenia tych, którzy go sądzą, może odpowiedzieć w tej samej chwili swym własnym spojrzeniem, wytłumaczyć się lub obronić. Teraz

Tomasz znalazł się (pierwszy raz w życiu) w sytuacji, w której skierowało się na niego więcej spojrzeń niż zdołał zarejestrować. Nie mógł na nie odpowiedzieć ani własnym spojrzeniem, ani słowami. Był wystawiony na ich żer. Mówiło się o nim w szpitalu i poza szpitalem (w tych czasach zdenerwowana Praga z niezwykłą szybkością afrykańskiego tam-tamu przekazywała sobie wiadomości o tym, kto zawiódł, kto złożył donos, kto kolaborował), a on wiedział o tym i nic nie mógł na to poradzić. Sam był zaskoczony, że tak bardzo to wszystko było dlań nieznosne i że wprawiło go w taką panikę. Zainteresowanie tych wszystkich ludzi dla jego osoby było mu przykre jak tłok albo dotknięcie ludzi, którzy zrywają z nas ubranie w koszmarnych snach.

Przyszedł do ordynatora i oznajmił mu, że niczego nie napisze.

Ordynator uściśnął mu dłoń mocniej niż kiedykolwiek i powiedział, że spodziewał się po nim takiej decyzji.

Tomasz powiedział:

— Panie ordynatorze, może udałoby się mnie tu zatrzymać i bez takiego oświadczenia — i chciał mu w ten sposób dać do zrozumienia, że wystarczyłoby, gdyby wszyscy jego koledzy zagrozili, że podadzą się do dymisji w momencie, kiedy Tomasz będzie musiał odejść.

Ale nikomu nie przyszło do głowy grozić dymisją i po pewnym czasie Tomasz (ordynator uściśnął mu wówczas rękę jeszcze mocniej niż ostatnim razem, zostały mu po tym uścisku siniaki) musiał opuścić swą pracę w szpitalu.

5.

Najpierw znalazł się w wiejskim szpitalu około osiemdziesiąt kilometrów za Pragą. Dojeżdżał tam codziennie pociągiem i wracał śmiertelnie zmordowany. W rok później udało mu się znaleźć wygodniejszą, ale o wiele podrzędniejszą pracę w przychodni na przedmieściu. Nie mógł tutaj uprawiać chirurgii i zajmował się prymitywnym leczeniem. Poczekalnia była przepełniona, mógł poświęcić nie więcej niż pięć minut na pacjenta; zapisywał im aspirynę, pisał dla ich pracodawców zwolnienia lekarskie i posyłał ich na badania specjalistyczne. Nie uważał się już za lekarza, ale za urzędnika.

Tutaj odwiedził go pod koniec godzin przyjęć pięćdziesięcioletni mniej więcej mężczyzna. Pewna otyłość dodawała mu powagi. Przedstawił się jako referent Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i zaprosił Tomasza do gospody naprzeciwko.

Zamówił butelkę wina. Tomasz bronił się:

— Jestem samochodem. Jeśli złapie mnie policja, odbiorą mi prawo jazdy. Człowiek z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych uśmiechnął się:

— Gdyby coś się stało, wystarczy, że powoła się pan na mnie, i podał Tomaszowi swoją wizytówkę, na której widniało jego nazwisko (z pewnością fałszywe) i numer telefonu ministerstwa.

Rozwodził się potem długo o tym, jak bardzo Tomasza szanuje. Wszyscy w jego ministerstwie żalują, że chirurg tego formatu musi zapisywać aspirynę w podmiejskiej przychodni. Dawał do zrozumienia, że policja, choć nie może tego powiedzieć na głos, nie zgadza się z drastycznymi metodami, przy pomocy których specjaliści są pozbawiani swych funkcji. Tomasza już dawno nikt nie chwalił, tak że z uwagą słuchał tęgawego mężczyzny i był zaskoczony, jak dokładne i szczegółowe informacje o jego sukcesach ten człowiek posiada. Jakże bezbronni jesteśmy wobec pochlebstw! Tomasz nie mógł się opanować, by nie brać poważnie tego, co mówi mu facet z bezpieki.

Powodem była nie tylko ambicja. Głównym powodem był brak doświadczenia. Jeśli siedzicie naprzeciwko kogoś, kto jest miły, uprzejmy i taktowny, bardzo trudno wam stale pamiętać o tym, że nic z tego, co mówi, nie jest prawdą, że nic nie jest pomyślane szczerze. Nieufność (ciągła i systematyczna, bez chwili wahania) wymaga ogromnego wysiłku i treningu, to znaczy częstych przesłuchań policyjnych. Tomaszowi brak było tego treningu.

Człowiek z ministerstwa kontynuował:

— My wiemy, panie doktorze, że miał pan w Zurychu wspaniałą pozycję. I bardzo sobie cenimy, że zdecydował się pan wrócić. To było bardzo piękne z pana strony. Wiedział pan, że pana miejsce jest tutaj. - Po czym dodał jakby z wyrzutem w stosunku do Tomasza – ale pana miejsce jest przy stole operacyjnym!

— Zgadzam się z panem – powiedział Tomasz. Nastąpiła krótka pauza, po której mężczyzna z ministerstwa spytał ze smutkiem:

— Niech mi pan powie, panie doktorze, czy pan naprawdę myśli, że komunistom powinno się wykluwać oczy? Nie wydaje się panu dziwne, że takie rzeczy mówi właśnie pan, który przez tyle lat przywracał ludziom zdrowie?

— To jest przecież kompletny absurd – bronił się Tomasz. – Niech pan uważnie przeczyta, co tam napisałem.

— Ja to przeczytałem – powiedział człowiek z ministerstwa głosem, który chciał brzmieć smutnie.

— Czy tam napisałem, że komunistom należy wykluwać oczy?

— Wszyscy to zrozumieli w ten sposób – powiedział człowiek z ministerstwa. Jego głos był coraz smutniejszy.

— Gdyby pan przeczytał cały tekst, nie mogłoby to panu przyjść do głowy. Wyszedł trochę skrócony.

— Co? – człowiek z ministerstwa żywo się zainteresował. – Nie wydali pana tekstu tak, jak pan go napisał?

— Skrócili go.

— Dużo?

— Mniej więcej o jedną trzecią.

Człowiek z ministerstwa zdawał się być szczerze zgorzony:

— Ależ to nie była z ich strony uczciwa gra. Tomasz wzruszył ramionami.

— Powinien pan zaprotestować! Powinien pan się domagać sprostowania!

— Przecież zaraz potem weszli Rosjanie. Mieliśmy wszyscy inne kłopoty – powiedział Tomasz.

— Dlaczego ludzie mają o panu myśleć, że pan, lekarz, domaga się, żeby ktoś inny ludziom odbierał wzrok?

— Proszę pana, ten mój artykuł był wydrukowany gdzieś z tyłu pomiędzy listami czytelników. Nikt na niego nie zwrócił uwagi. Tylko rosyjska ambasada, której się akurat nadał.

— Niech pan tak nie mówi, panie doktorze! Sam rozmawiałem z wieloma ludźmi, którzy mówili o pańskim artykule i dziwili się, jak pan go mógł napisać. Ale teraz sprawa wygląda o wiele jaśniej, teraz, kiedy mi pan wyjaśnił, że artykuł nie wyszedł w formie, w której go pan napisał. To oni pana namówili do napisania tego?

— Nie — powiedział Tomasz. — Sam im to posłałem.

— Pan przecież zna tych ludzi?

— Których?

— Tych, którzy wydrukowali pański artykuł.

— Nie.

— Nigdy pan z nimi nie rozmawiał?

— Raz mnie zaprosili do redakcji.

— Po co?

— W związku z tym artykułem.

— Iz kim pan rozmawiał?

— Z jakimś redaktorem.

— Jak się nazywał?

Teraz dopiero Tomasz zrozumiał, że jest przesłuchiwany. Wydawało mu się nagle, że każde jego słowo może ściągnąć na kogoś niebezpieczeństwo. Znał, oczywiście, nazwisko tego redaktora, ale wyparł się tego:

— Nie wiem.

— Ależ panie doktorze! – powiedział mężczyzna tonem pełnym zgorzienia z powodu nieszczerości Tomasza. – Przecież przedstawił się panu.

To tragikomiczne, ale właśnie nasze dobre wychowanie staje się współnikiem policji. Nie umiemy kłamać. Imperatyw: „mów prawdę!”, który nam zaszczepili mamusia i tatuś działa tak automatycznie, że wstydzimy się swych kłamstw również wobec policjanta, który nas przesłuchuje. Łatwiej nam przychodzi kłótnia z nim, obrażanie go (co nie ma w ogóle żadnego sensu), niż łganie mu w oczy (co jest jedyną rzeczą, którą powinniśmy robić).

Kiedy człowiek z ministerstwa zarzucił mu kłamstwo, Tomasz poczuł się niemal winny, musiał przewyciężyć swego rodzaju barierę moralną, żeby upierać się nadal przy swym kłamstwie:

— Chyba mi się przedstawił – powiedział. – Ale ponieważ to nazwisko nic mi nie mówiło, od razu je zapomniałem.

— Jak wyglądał?

Redaktor, który z nim rozmawiał, był nieduży i miał krótko ostrzyżone jasne włosy. Tomasz starał się wybierać cechy dokładnie odwrotne:

— Był wysoki. Miał długie, czarne włosy.

— Tak – powiedział człowiek z ministerstwa. – i długą brodę.

— Tak — przyświadczył Tomasz.

— Trochę zgarbiony?

— Tak – zgodził się jeszcze raz Tomasz i uświadomił sobie, że właśnie teraz człowiek z ministerstwa kogoś zidentyfikował. Tomasz nie tylko doniósł na jakiegoś nieszczęsnego redaktora, ale jego donos był jeszcze do tego fałszywy.

— Ale po co pana zaprosił? O czym żeście rozmawiali?

— Chodziło o jakąś zmianę szyku słów w zdaniu.

Brzmiało to jak śmieszny wykręt. Człowiek z ministerstwa znów zdziwił się ze zgorznięciem, że Tomasz nie chce mówić prawdy.

— Ależ panie doktorze! Przed chwilą pan twierdził, że panu wycięli jedną trzecią z tekstu, a teraz pan mi mówi, że dyskutowaliście o szyku słów w zdaniu! To przecież nielogiczne!

Tomaszowi łatwiej teraz przychodziło odpowiedzieć, ponieważ to, co mówił było czystą prawdą:

— Nielogiczne, ale tak było – zaśmiał się. – Poprosili mnie, żebym im pozwolił zmienić w jednym zdaniu szyk słów, a potem wyrzucili mi jedną trzecią.

Człowiek z ministerstwa znów kręcił głową, jak gdyby nie mógł zrozumieć tak niemoralnego zachowania i powiedział:

— Ci ludzie nie zachowali się fair w stosunku do pana. Dopił szklankę wina i podsumował:

— Panie doktorze, stał się pan ofiarą manipulacji. Byłoby straszna szkoda, gdyby mieli za to płacić również pańscy pacjenci. My, panie doktorze, doskonale zdajemy sobie sprawę z pańskich umiejętności. Zobaczmy, co by można było z tym zrobić. Podał Tomaszowi rękę i serdecznie nią potrząsnął. Potem wyszli z gospody i każdy wsiadł do swego samochodu.

6.

Tomasz miał po tym spotkaniu strasznie złe samopoczucie. Wyrzucał sobie, że przystał na jowialny ton rozmowy. Skoro już nie odmówił rozmawiania z policjantem (nie był przygotowany na taką sytuację, nie wiedział, na co prawo pozwala, a na co nie), powinien był przynajmniej odmówić picia z nim wina w gospodzie, jak z jakimś przyjacielem! Co by było, gdyby zobaczył go ktoś, kto zna tego człowieka? Musiałby dojść do wniosku, że Tomasz współpracuje z policją! I po co mu w ogóle powiedział, że jego artykuł skrócono? Po co podał mu kompletnie niepotrzebną informację? Był z siebie w najwyższym stopniu niezadowolony.

W czternaście dni później człowiek z ministerstwa zjawiał się ponownie. Chciał jak ostatnio iść do gospody naprzeciwko, ale Tomasz go poprosił, żeby zostali w gabinecie.

— Rozumiem pana, panie doktorze – uśmiechnął się.

Zdanie to zafrapowało Tomasza. Człowiek z ministerstwa przemówił jak szachista, który potwierdza rywalowi, że zrobił błąd w poprzednim ruchu. Siedzieli naprzeciwko siebie na krzesłach, rozdzieleni biurkiem Tomasza. Mniej więcej po dziesięciu minutach, w trakcie których mówili o epidemii grypy, która właśnie panowała, mężczyzna powiedział:

— Zastanawialiśmy się nad pańskim przypadkiem, panie doktorze. Gdyby chodziło tylko o nas sprawa byłaby prosta. Ale musimy liczyć się z opinią publiczną. Czy pan tego chciał, czy nie, dołączył się pan ze swym artykułem do historii antykomunistycznej. Nie będę przed panem ukrywał, że dostaliśmy nawet polecenie, żeby pozwać pana w związku z tym artykułem przed sąd. Jest na to paragraf. Publiczne namawianie do gwałtu.

Człowiek z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych zamilkł i patrzył Tomaszowi w oczy. Tomasz wzruszył ramionami. Mężczyzna znów przybrał łagodny ton:

— Nie zgodziliśmy się z tą propozycją. Jaka by nie była pańska odpowiedzialność, w interesie społeczeństwa leży, żeby pracował pan tam, gdzie pańskie zdolności mogą być najlepiej wykorzystane. Pana ordynator niezmiernie pana szanuje. Mamy również informacje od pańskich pacjentów. Z pana jest wybitny specjalista, panie doktorze! Nikt nie może wymagać od lekarza, żeby się znał na polityce. Dał się pan ponieść emocjom. Powinno się to załatwić. Dlatego chcieliśmy panu zaproponować tekst oświadczenia, które powinien pan według nas dać do prasy. My byśmy się już postarali, żeby został opublikowany we właściwej chwili — i podał Tomaszowi papier.

Tomasz przeczytał, co tam było napisane i przeraził się. Było to o wiele gorsze niż to, o co prosił go przed dwoma laty ordynator. To nie było tylko odwołanie artykułu o Edypie. Były tu zdania o miłości do Związku Radzieckiego, o wierności partii komunistycznej, potępienie intelektualistów, którzy podobno chcieli doprowadzić do wojny domowej, ale przede wszystkim był to donos na redaktorów z tygodnika pisarzy łącznie z nazwiskiem wysokiego, zgarbionego redaktora (Tomasz nigdy się z nim nie spotkał, ale znał jego nazwisko i zdjęcie), którzy świadomie zniekształcili jego artykuł, aby nadać mu inny sens i zmienić w kontrrewolucyjny apel; byli zbyt tchórzliwi, by samemu napisać taki artykuł i chcieli skryć się za naiwnym lekarzem. Człowiek z ministerstwa widział przerażenie w oczach Tomasza. Nachylił się i klepnął go przyjaźnie pod biurkiem po kolanie:

— Panie doktorze, to jest tylko propozycja! Pan się zastanowi i gdyby pan chciał zmienić jakies sformułowanie, możemy oczywiście, o tym podyskutować. Przecież koniec końców to jest pański tekst!

Tomasz zwrócił papier policjantowi, jak gdyby bał się choć sekundę dłużej trzymać go w rękach. Wyglądało to prawie tak, jakby się obawiał, że ktoś będzie na nim badał odciski jego palców.

Zamiast przyjąć papier, człowiek z ministerstwa rozłożył ramiona w geście udanego zdziwienia (był to taki sam gest, jakim papież błogosławi tłumy ze swego balkonu):

— Ależ panie doktorze, po co pan mi to zwraca? Niech pan to sobie zostawi! Trzeba to spokojnie przemyśleć w domciu.

Tomasz kręcił głową i cierpliwie trzymał papier w wyciągniętej ręce.

Człowiek z ministerstwa przestał naśladować błogosławiącego papieża i musiał wreszcie go wziąć.

Tomasz chciał mu powiedzieć bardzo energicznie, że nigdy nie napisze i nie podpisze żadnego tekstu. Ale w ostatniej chwili zmienił ton.

Powiedział łagodnie:

— Nie jestem przecież analfabetą. Dlaczego miałbym podpisywać coś, czego sam nie napisałem?

— Dobrze, panie doktorze. Możemy wybrać odwrotną metodą. Pan nam to najpierw napisze sam, a potem wspólnie to przejrzymy. To, co pan przeczytał, mogłoby panu przynajmniej posłużyć za wzór.

Dlaczego Tomasz od razu nie odrzucił zdecydowanie propozycji policjanta? Przeleciała mu przez głowę następująca myśl: Tego typu oświadczenia poza tym, że demoralizują cały naród (na tym prawdopodobnie polega główna rosyjska strategia), mogą mieć również na celu użytek bardziej konkretny. Możliwe, że policja przygotowuje proces przeciwko redaktorom tygodnika, dla którego Tomasz napisał swój artykuł. Jeśli tak jest, oświadczenie Tomasza jest im potrzebne jako dowód w przewodzie sądowym i jako część kampanii prasowej, którą będą prowadzić. Gdyby teraz zasadniczo i energicznie odmówił, wystawiłby się na niebezpieczeństwo, że policja opublikuje przygotowany tekst, choćby miała sfalszować jego podpis. Żadna gazeta nigdy nie opublikowałaby jego dementi! Nikt na świecie nie uwierzyłby, że tego nie napisał i nie podpisał! Zrozumiał już, że ludzie są zbyt szczęśliwi widząc kogoś w stanie moralnego ponizenia, żeby psuć sobie tę satysfakcję jego wyjaśnieniami. Dając policji nadzieję, że sam napisze jakiś tekst zyskał na czasie. Następnego dnia złożył pisemne podanie o zwolnienie z pracy. Przypuszczał (słusznie), że w momencie, kiedy zstąpi dobrowolnie na najniższy szczebel drabiny społecznej (na który zresztą zeszło w tych czasach tysiące intelektualistów z innych dziedzin), policja straci nad nim władzę i przestanie się nim interesować. W takich okolicznościach nie będzie już mogła opublikować żadnego tekstu z jego oświadczeniem, bo stałby się on absolutnie niewiarygodny. Haniebne publiczne oświadczenia zawsze bowiem łączą się z awansem, a nie z upadkiem podpisanych. Lekarze są w Czechach pracownikami państwowymi i państwo może, ale nie musi, zwolnić ich ze służby. Urzędnik, z którym Tomasz rozmawiał o swej dymisji, znał jego nazwisko i szanował go. Namawiał go, by nie rzucał pracy. Tomasz nagle uświadomił sobie, że nie ma żadnej pewności, czy robi słusznie. Ale czuł się już przywiązany do swej decyzji jakąś obietnicą wierności i upierał się przy swoim. W ten sposób został człowiekiem, który myje szyby.

7.

Odjeżdżając przed laty z Zurychu do Pragi, Tomasz mówił sobie w duchu: „es muss sein” i myślał przy tym o swej miłości do Teresy. Natychmiast po przekroczeniu granicy zaczął powątpiewać, czy naprawdę tak się musiało stać: uświadomił sobie, że do Teresy doprowadził go łańcuch śmiesznych przypadków, które wydarzyły się przed siedmiu laty (na początku był ischias jego szefa) i że przez nie wraca do klatki, z której nie będzie już wyjścia.

Czy to oznacza, że w jego życiu nie było żadnego „es muss sein”, żadnej wielkiej konieczności? Myślę, że jednak było coś takiego. Nie była to miłość, był to jego zawód. Do medycyny nie doprowadził go przypadek ani rozumowa kalkulacja, ale głęboka potrzeba wewnętrzna. Jeśli można dzielić ludzi na jakieś kategorie, to na podstawie tych głębokich wewnętrznych pragnień, które ich doprowadzają do tej czy innej całościowej działalności. Każdy Francuz jest inny. Ale wszyscy aktorzy na całym świecie są do siebie podobni, w Paryżu, w Pradze i w najbardziej zabitym deskami teatrze prowincjonalnym. Aktorem jest ten, kto od dzieciństwa zgadza się występować przez całe życie przed anonimową publicznością. Bez tej podstawowej zgody, która nie ma nic wspólnego z talentem, która jest istotniejsza od talentu, nie można zostać aktorem. Podobnie lekarzem jest ten, kto zgadza się zajmować się przez całe życie, z wszystkimi tego konsekwencjami, ciałem ludzkim. Ta podstawowa zgoda (a nie talent czy zręczność) pozwala mu już na pierwszym roku wejść do prosektorium, a w sześć lat później stać się lekarzem.

Chirurgia doprowadza podstawowy imperatyw powołania lekarskiego aż do ostatecznej granicy, na której ludzkie dotyka boskiego. Jeśli walniecie kogoś pałąk w głowę, upadnie i przestanie oddychać raz na zawsze. Ale i tak kiedyś przestałby oddychać. Takie morderstwo wyprzedzi tylko to, co nieco później pan Bóg sam by załatwił. Bóg, jak można sądzić, liczył się z morderstwami, ale nie liczył się z chirurgią. Nie przypuszczał, by ktoś odważył się wsadzić rękę do środka mechanizmu, który on wymyślił, opakował pieczęlowicie w skórę, zapieczętował i zamknął przed oczyma człowieka. Kiedy Tomasz po raz pierwszy wbił skalpel w skórę śpiącego w narkozie człowieka, a potem zdecydowanym ruchem tę skórę przeciął równym i pewnym pociągnięciem (jak gdyby był to kawał nieżywego materiału, płaszcz, suknia, zasłona) przeżył krótkie lecz intensywne uczucie świętokradztwa. Ale to właśnie go tak pociągnęło! To było „es muss sein”, zakorzenione w nim głęboko, do którego nie doprowadził go żaden przypadek, żaden ischias

ordynatora, nic zewnętrznego.

Jak to możliwe, że coś tak głębokiego zrzucił z siebie tak szybko, lekko i energicznie?

Odpowiedziałby nam, iż zrobił tak dlatego, że nie chciał być wykorzystany przez policję. Ale, szczerze mówiąc, choć teoretycznie było to możliwe (takie wypadki zdarzały się przecież), nie było jednak zbyt prawdopodobne, aby policja wydrukowała fałszywe oświadczenia z jego podpisem. Człowiek ma, oczywiście, prawo lękać się również tych niebezpieczeństw, które nie są zbyt prawdopodobne. Zgódźmy się z tym. Zgódźmy się również na to, że gniewał się sam na siebie, na swą niezręczność i że pragnął uniknąć następnych kontaktów z policją, które wzmacniały w nim poczucie bezsilności. Przyjmijmy również, że o powołaniu nie mogło już przecież być mowy, bo mechaniczna praca w przychodni, gdzie przepisywał aspirynę nie miała z jego wyobrażeniem o medycynie nic wspólnego. Pomimo wszystko jednak szybkość jego decyzji wydaje mi się zaskakująca. Czy nie kryje się za nią jeszcze coś innego, głębszego, coś, co wymyka się racjonalnej analizie?

8.

Chociaż dzięki Teresie pokochał Beethovena, Tomasz nie znał się na muzyce i wątpię, czy znał rzeczywistą historię sławnego beethovenowskiego motywu „muss es sein? es muss sein!”.

Było to tak: niejaki pan Dembscher był winien Beethovenowi pięćdziesiąt forintów i kompozytor, który wiecznie był bez pieniędzy, upomniał się o nie. „Muss es sein?” - westchnął nieszczęśliwie pan Dembscher, a Beethoven zaśmiał się rubasznie: „Es muss sein!” i zaraz zapisał te słowa w nutach i ułożył na ten realistyczny motyw małą kompozycję na cztery głosy: trzy głosy śpiewają „es muss sein, es muss sein, ja, ja, ja” - tak być musi, tak być musi, tak, tak, tak, a czwarty głos dodaje: „heraus mit dem Beutel!” – wyciągnij zaraz portmonetkę!

Ten sam motyw stał się w rok później podstawą czwartej frazy jego ostatniego kwartetu opus 135. Wtedy Beethoven nie myślał już o portmonetce Dembschera. Słowa: „es muss sein!” pobrzmiwały mu coraz uroczyściej, jak gdyby wypowiadało je samo przeznaczenie. W języku Kanta nawet „dzień dobry” odpowiednio wypowiedziane może przybrać kształt tezy metafizycznej. Niemczyzna jest językiem ciężkich słów. „Es muss sein” nie było już żadnym żarcikiem, ale „der schwer gefasste Entschluss”.

Beethoven więc przemienił żartobliwą inspirację w poważny kwartet, dowcip w metafizyczną prawdę. Jest to ciekawa historia o przemianie lekkiego w ciężkie (więc, według Parmenidesa, o przemianie pozytywnego w negatywne). Co dziwne, taka przemiana nas nie zaskakuje. Przeciwnie, zgorzłyoby nas, gdyby Beethoven przemienił powagę swego kwartetu w lekki żart czterogłosowego kanonu o portmonetce Dembschera. Działalby wtedy całkowicie zgodnie z duchem Parmenidesa: zmieniłby ciężkie w lekkie, a więc negatywne w pozytywne! Na początku (jako niedoskonały szkic) byłaby wielka prawda metafizyczna, a na końcu (jako doskonałe dzieło) leciutki żarcik. Tylko że my już nie umiemy myśleć tak jak Parmenides.

Wydaje mi się, że owo agresywne, uroczyste, surowe „es muss sein” już od dawna w głębi duszy drażniło Tomasza i że istniało w nim głębokie pragnienie, by przemienić według zaleceń Parmenidesa ciężkie w lekkie.

Przypomnijmy sobie, jak kiedyś w ciągu jednej chwili zdecydował się nigdy nie oglądać swej pierwszej żony i syna i jak z poczuciem ulgi przyjął fakt, że rozstali się z nim ojciec i matka. Cóż to było innego jak nie całkiem racjonalny, gwałtowny gest, którym odrzucił to, co przedstawiało mu się jako ciężki obowiązek, jako „es muss sein”?

Ale wtedy to było „es muss sein!” zewnętrzne, wymuszone przez konwenanse społeczne, a „es muss sein!” jego miłości do medycyny było wewnętrzne. Imperatyw wewnętrzny jest jeszcze silniejszy i dlatego w jeszcze większym stopniu domaga się rewolty.

Bycie chirurgiem oznacza rozkrawanie powierzchni rzeczy i patrzenie, co ukrywa się w środku. Chyba to właśnie pragnienie prowadziło Tomasza do chęci poznania, co jest po drugiej stronie „es muss sein”; inaczej mówiąc, co pozostanie z życia, kiedy człowiek pozbędzie się tego, co dotychczas uważał za swe posłannictwo.

Kiedy przedstawił się dobrodusznej dyrektorce praskiego przedsiębiorstwa mycia witryn i okien, zobaczył nagle wynik swej decyzji w całej konkretności i nieodwracalności i niemal się przeraził. W tym przestrachu przeżył pierwszych kilka dni swej nowej pracy. Ale kiedy przewyciężył (trwało to mniej więcej przez tydzień) zaskakującą niezwykłość swego nowego życia, zrozumiał nagle, że znalazł się na długich wakacjach. Robił rzeczy, na których w ogóle mu nie zależało i było to piękne. Zrozumiał nagle szczęście ludzi (dotychczas zawsze im współczuł), którzy wykonują zawód, do którego nie zmusza ich żadne wewnętrzne „es muss sein!” i o którym mogą zapomnieć w momencie, kiedy wychodzą z pracy. Nigdy dotychczas nie znał tej błogiej obojętności. Jeśli na stole operacyjnym coś mu nie wyszło tak, jak tego pragnął, był zrozpaczony i nie mógł spać. Często tracił wtedy ochotę nawet na kobiety. „Es muss sein” jego zawodu było jak wampir, który mu wysysał krew.

Teraz chodził po Pradze z tyczką do mycia witryn sklepowych i ze zdziwieniem stwierdził, że czuje

się o dziesięć lat młodszy. Sprzedawczyni z wielkich magazynów zwracały się do niego „panie doktorze” (praski tam-tam funkcjonował niezawodnie) i prosiły go o rady dotyczące ich katarów, bólów kręgosłupa i nieregularnych menstruacji. Niemalże wstydyły się obserwując, jak polewa szybą wodę, wsadza szmatę na kij i zaczyna myć witrynę. Gdyby mogły zostawić klientów w sklepie, z pewnością odebrałyby mu tyczkę i myły szyby zamiast niego. Tomasz zamawiały na ogół duże sklepy, ale przedsiębiorstwo posyłało go często również do prywatnych klientów. Ludzie przeżywali jeszcze wówczas masowe prześladowania czeskich intelektualistów w jakiejś euforii solidarności. Kiedy jego dawni pacjenci dowiedzieli się, że Tomasz myje okna, dzwonili do jego przedsiębiorstwa i zamawiali go. Witali go butelką szampana albo śliwownicy, wypisywali zaświadczenia, że umył trzynaście okien i przez dwie godziny gadali z nim i wznosili toasty. Tomasz odchodził do następnego mieszkania albo sklepu w świetnym humorze. Rodziny oficerów rosyjskich zamieszkały w jego kraju, z radia rozbrzmiewały pełne pogroźek wystąpienia urzędników Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, którzy zastąpili wyrzuconych z pracy redaktorów, a on szwendał się pijany po Pradze i wydawało mu się, że idzie z jednej uroczystości na drugą. Były to jego wielkie wakacje. Wracał do czasów kawalerstwa. Nagle bowiem był bez Teresy. Widywał się z nią tylko w nocy, kiedy wracała z restauracji, a on lekko przebudzał się z pierwszego snu, a potem rano, kiedy ona jeszcze była zaspana, a on spieszył się do pracy. Miał szesnaście godzin wyłącznie dla siebie i była to nieoczekiwana przestrzeń wolności. Przejście ta od wczesnej młodości oznaczała dla niego kobiety.

9.

Kiedy czasem przyjaciele pytali go, ile miał w życiu kobiet, odpowiadał wykrętnie, a kiedy nalegali, mówił: „Mogło ich być tak około dwustu”. Niektórzy zawistnicy twierdzili, że przesadza. Bronił się: „To nie jest tak wiele. Moje kontakty z kobietami trwają od mniej więcej dwudziestu pięciu lat. Podzielcie dwieście przez dwadzieścia pięć. Wyjdzie wam jakieś osiem nowych kobiet rocznie. To przecież nie tak dużo”.

Ale odkąd żył z Teresą jego erotyczna działalność napotykała na problemy organizacyjne – mógł na nią poświęcić (pomiędzy salą operacyjną a domem) tylko wąski odstęp czasu, który co prawda intensywnie wykorzystywał (tak jak rolnik w górach gorliwie uprawia swe małe poletko), ale którego nie można było porównać z obszarem szesnastu godzin, które teraz dostał w prezencie (mówię szesnaście godzin, bo te osiem, w trakcie których mył okna, były wypełnione poznawaniem nowych sprzedawczyń, urzędniczek, pań domu, z którymi mógł organizować sobie schadzki).

Czego w nich szukał? Co go do nich przyciągało? Czyż akt miłosny nie jest wiecznym powtarzaniem tego samego?

Nie. Zawsze pozostaje mały procent niewyobraźnego. Kiedy widział ubraną kobietę, umiał sobie oczywiście wyobrazić, jak mniej więcej będzie wyglądała nago (w tym względzie jego doświadczenie jako lekarza dopełniało jego doświadczenia kochanka), ale pomiędzy niedokładnością wyobraźni a dokładnością rzeczywistości pozostawała jeszcze mała szczelina niewyobraźnego i nie dawała mu spokoju. Pogoń za niewyobraźnym nie kończy się zresztą na odkryciu nagości, idzie dalej: jak będzie się zachowywać, kiedy się rozbierze? Co będzie mówiła, kiedy będzie ją kochał? Jaki będzie ton jej westchnień? Jaki grymas będzie wypisany na jej twarzy w chwili rozkoszy?

Wyjątkowość „ja” jest ukryta w tym właśnie, co niewyobraźalne. Wyobrazić sobie umiemy tylko to, co jest takie samo we wszystkich ludziach, to, co jest ogólne. Indywidualnym „ja” jest to, co się odróżnia od ogólnego, a więc to, czego nie można z góry odgadnąć, czego nie można wyliczyć, co trzeba dopiero odsłonić, odkryć, zdobyć!

Tomasz, który przez ostatnie dziesięć lat zajmował się w swej praktyce lekarskiej wyłącznie mózgiem ludzkim, wie, że nic nie jest trudniejsze do uchwycenia niż „ja”. Między Hitlerem a Einsteinem, między Breżniewem a Solżenicynem jest o wiele więcej podobieństw niż różnic. Gdyby dało się to wyrazić liczbą, jest między nimi jedna milionowa niepodobnego, a dziewięćset dziewięćdziesiąt tysięcy milionowych podobnego. Tomasz opanowany jest przez pragnienie, by odkryć i posiadać tę jedną milionową i wydaje mu się, że w tym leży sens jego zafascynowania kobietami. Nie jest opanowany przez kobiety, ale przez to, co w każdej z nich jest niewyobraźalne, innymi słowy ma obsesję tej jednej milionowej niepodobnego, która odróżnia kobietę od innych kobiet. (Prawdopodobnie tutaj styka się jego namiętność dziwkarza z jego namiętnością chirurga. Nie wypuszcza z rąk imaginacyjnego skalpela, nawet wtedy, kiedy jest z kochanką. Pragnie posiadać to, co jest głęboko w niej i dla czego trzeba rozciąć jej powierzchnię).

Możemy oczywiście słusznie spytać, czemu szukał tej jednej milionowej właśnie w seksie. Czy nie mógł jej odnaleźć w sposobie chodzenia, w gustach kulinarnych albo w artystycznych zainteresowaniach tej czy innej kobiety?

Tak, jedna milionowa niepodobnego jest zawarta we wszystkich dziedzinach życia ludzkiego, tylko że wszędzie indziej jest wystawiona na widok publiczny, nie trzeba jej odkrywać, nie potrzeba do niej skalpela. Jeśli jakaś kobieta woli ser od deseru, a inna nie znosi kalafiora, to jest to co prawda znak jej oryginalności, ale oryginalność ta od razu nas przekonuje, że nie ma żadnego znaczenia, jest niepotrzebna i

nie ma sensu doszukiwania się w niej jakis wartości.

Tylko w seksie jedna milionowa wydaje się czymś cennym, ponieważ nie jest ogólnie dostępna i trzeba ją zdobywać. Jeszcze przed półwieczem na takie zdobywanie trzeba było poświęcić wiele czasu (tygodnie, a nawet miesiące) i czas zdobywania stawał się miarą wartości zdobytego. I dziś, mimo że czas potrzebny do zdobycia szalenie się skrócił, seks wydaje się ciągle jeszcze metalową skrzynką, w której ukryta jest tajemnica „ja” kobiety.

Chodziło więc w jego pogoni za kobietami nie tylko o pragnienie przyjemności (przyjemność następowała jako rodzaj dodatkowej nagrody), ale o pragnienie, by posiadać świat (otworzyć skalpelem leżące ciało świata).

10.

Wśród mężczyzn uganiających się za wielką ilością kobiet możemy bez trudu dostrzec dwie kategorie. Jedni szukają we wszystkich kobietach swego subiektywnego i zawsze takiego samego snu o kobiecie. Innych gna pragnienie, by posiadać nieskończoną różnorodność obiektywnego kobiecego świata.

Namiętność tych pierwszych jest liryczna: szukają w kobiecie samych siebie, swego ideału i wciąż się rozczarowują, ponieważ ideał to, jak wiadomo, coś takiego, czego nigdy się nie da znaleźć.

Rozczarowanie, które ich goni od jednej kobiety do drugiej, daje im niestałości rodzaj romantycznego usprawiedliwienia, tak że wiele sentymentalnych dam jest skłonnych wzruszyć się ich wytrwałą poligamicznością.

Druga namiętność jest epicka, i kobiety nie widzą w niej niczego wzruszającego; mężczyzna nie szuka w kobietach żadnego subiektywnego ideału, dlatego wszystko go w nich interesuje i nic go nie może rozczarować. I właśnie ta niemożność rozczarowania ma w sobie coś gorszego. Namiętność epickiego dziwkarza wydaje się ludziom niczym nie okupiona (nie okupiona rozczarowaniem).

Ponieważ dziwkarz liryczny poszukuje wciąż takiego samego typu kobiet, nie zauważamy nawet, jak zmienia kochanki; jego przyjaciele nieustannie popełniają gafy, myśląc jego przyjaciółki i nazywając je imionami poprzednich.

Dziwkarze epiccy (a do nich właśnie należy Tomasz) odchodzą w swym pragnieniu poznania coraz dalej od konwencjonalnej kobiecej piękności, którą się już nasycili i stają się nieuchronnie kolekcjonerami osobliwości. Wiedzą to, trochę się tego wstydzą i nie chcą wprowadzać swych przyjaciół w zakłopotanie, nie pokazują się ze swymi kochankami publicznie.

Już od dwóch lat mył okna, kiedy zamówiła go nowa klientka. Jej dziwaczność zainteresowała go od razu, kiedy po raz pierwszy zobaczył ją w otwartych drzwiach. Była to dziwaczność dyskretna, nie rzucająca się w oczy, utrzymująca się w granicach przyjemnej powszedniości (zamiłowanie Tomasza do ciekawostek nie miało nic wspólnego z zamiłowaniem Felliniego do potworów): była wyjątkowo wysoka, nieco wyższa od niego, miała delikatny i bardzo długi nos, a jej twarz była do tego stopnia nieprzeciętna, że nie można było powiedzieć, że jest ładna (wszyscy by protestowali!), choć (przynajmniej według Tomasza) nie była nieładna. Ubrana była w spodnie i białą bluzkę i wyglądała jak przedziwne połączenie delikatnego chłopca, żyrafy i bociana.

Patrzyła na niego długim, uważnym i badawczym spojrzeniem, w którym nie brakowało błysku inteligentnej ironii.

— Proszę wejść, panie doktorze - powiedziała. Zrozumiał, że kobieta wie, kim on jest. Nie chciał na to zareagować i spytał:

— Gdzie mógłbym nabrać wody?

Otworzyła drzwi do łazienki. Zobaczył umywalkę, wannę i muszlę klozetową; przed wanną, przed umywalką i przed ubikacją leżały małe, różowe dywaniki.

Kobieta podobna do żyrafy i bociana uśmiechała się, jej oczy mrużyły się tak, że wszystko, co mówiła, wydawało się napełnione utajonym sensem albo ironią.

— Łazienka jest całkowicie do pańskiej dyspozycji, panie doktorze - powiedziała. — Może pan w niej robić, co pan chce.

— Mogę się też wykąpać? - spytał Tomasz.

— Lubi się pan kąpać? - zapytała ona.

Napuścił do wiadra ciepłej wody i wrócił do salonu.

— Gdzie by pani chciała, żebym zaczął?

— To zależy tylko od pana - wzruszyła ramionami.

— Czy mogę zobaczyć okna w innych pokojach?

— Chce pan obejrzeć moje mieszkanie? - uśmiechała się, jak gdyby mycie okien było jakimś kaprysem, który jej nie interesował.

Wszedł do sąsiedniego pokoju. Była to sypialnia z jednym dużym oknem, dwoma zsuniętymi łózkami i obrazem jesiennego krajobrazu z brzoźami i zachodzącym słońcem.

Kiedy wrócił, na stole stała butelka wina i dwa kieliszki.

— Nie wzmocniłby się pan przed tak ogromną pracą? – spytała.

— Bardzo chętnie – powiedział Tomasz i usiadł.

— Musi to być dla pana bardzo interesujące doświadczenie, poznawać tak wiele domów – powiedziała.

— Tak, niezłe — odpowiedział Tomasz.

— Wszędzie czekają na pana kobiety, których mężowie są w pracy.

— O wiele częściej babcie i teściowe — odpowiedział Tomasz.

— I nigdy nie brak panu pańskiego prawdziwego zawodu?

— Niech pani lepiej powie, skąd pani wie o moim zawodzie.

— Wasze przedsiębiorstwo chwali się panem – powiedziała kobieta podobna do bociana.

— Jeszcze wciąż? – zdziwił się Tomasz.

— Kiedy tam dzwoniłam, żeby mi ktoś przyszedł umyć okna, pytali mnie, czy nie chcę pana. Powiedzieli, że jest pan wielkim chirurgiem, którego wyrzucono ze szpitala. To mnie oczywiście, zainteresowało.

— Jest pani wspaniale ciekawa — powiedział.

— Widać to po mnie?

— Tak, w pani spojrzeniu.

— A jak ja patrzę?

— Mruży pani oczy. I wciąż zadaje pytania.

— Pan nie lubi odpowiadać?

Dzięki niej konwersacja od samego początku miała w sobie kokietliwy wdzięk. Nic z tego, co mówiła, nie dotyczyło świata naokoło, wszystko dotyczyło tylko ich samych. A ponieważ od samego początku głównym tematem rozmowy stał się on i ona, nietrudno było dopełnić słów dotknięciami i Tomasz, mówiąc o jej przymrużonych oczach, pogładził ją jednocześnie. Ona odpowiedziała na każde jego dotknięcie swoim dotknięciem. Nie robiła tego spontanicznie, raczej z jakąś zamierzoną konsekwencją, jakby bawiła się w „co ty, to ja”. Siedzieli więc naprzeciw siebie trzymając nawzajem na sobie ręce.

Dopiero kiedy Tomasz spróbował dotknąć jej krocza, zaczęła się bronić. Nie umiał odgadnąć, na ile jej obrona jest poważna, ale w każdym razie upłynęło już dużo czasu, a on musiał być za dziesięć minut u następnego klienta. Wstał i wyjaśnił jej, że musi już odejść. Jej twarz była czerwona.

— Muszę podpisać panu zaświadczenie – powiedziała.

— Przecież nic nie zrobiłem – bronił się.

— To z mojej winy – odpowiedziała i dodała cichym, wolnym, niewinnym głosem – Będę znów musiała pana zamówić, żeby mógł pan skończyć to, czego z mojej winy nie mógł pan nawet rozpocząć.

Ponieważ Tomasz nadal ociągał się i nie dawał jej do podpisania faktury, powiedziała łagodnie, jakby prosiła o przysługę:

— Bardzo pana proszę, niech mi pan to da. A potem jeszcze dodała, mrużąc oczy. – Przecież to nie ja za to płacę, ale mój mąż. I nie pan jest płacony, tylko przedsiębiorstwo państwowe. Ta transakcja nas dwojga w ogóle nie dotyczy.

Brak harmonii w kobiecie podobnej do bociana i żyrafy podniecał go nawet we wspomnieniu: kokieteria połączona z niezręcznością; szczere pożądanie seksualne, któremu towarzyszy ironiczny uśmiech, wulgarna konwencjonalność mieszkania i niekonwencjonalność jego właścicielki. Jaka będzie, kiedy będą się kochać? Starał się to sobie wyobrazić, ale nie było to łatwe. Kilka dni myślał wyłącznie o tym. Kiedy wezwała go po raz drugi, wino czekało już na stole, a obok niego dwa kieliszki. Tyle, że tym razem wszystko poszło bardzo szybko. Wkrótce stali naprzeciw siebie w sypialni (słońce na obrazie z brzoźami zachodziło) i całowali się. Powiedział jej swoje zwykle: „proszę się rozebrać!”, ale ona zamiast go posłuchać, zażądała:

— Nie, najpierw pan.

Nie był do tego przyzwyczajony i zmieszalo go to. Rozkazał jej jeszcze kilkakrotnie (z komicznym brakiem sukcesu) „proszę się rozebrać!”, ale nie pozostało mu nic innego niż pójść na kompromis; według reguł gry, którą mu ostatni raz narzuciła („co ty, to ja”), zdjęła mu spodnie, a on jej spódnicę, potem ściągnęła mu koszulę, a on jej halkę – wreszcie stali naprzeciw siebie nadszy. Trzymał dłoń na jej wilgotnym kroczu, potem przesunął palce dalej, w kierunku odbytu, który u wszystkich kobiet kochał najbardziej z całego ich ciała. Jej był niezwykle wypukły, tak że przywoływał sugestywne wyobrażenie długiej rury trawiennej, która kończy się w tym miejscu i łagodnie wystaje. Obmacał ten twardy, zdrowy krążek, ten najpiękniejszy z pierścieni zwany w mowie lekarskiej „zwieracz” i nagle poczuł jej palce na własnym tyłku, w tym samym miejscu. Powtarzała wszystkie jego gesty z dokładnością lustra.

Pomimo, że jak już powiedziałem, poznał ponad dwieście kobiet (a przez ten czas, kiedy mył szyby sporo ich jeszcze przybyło) nigdy jeszcze mu się nie zdarzyło, by kobieta wyższa od niego stała przed nim, mrużyła oczy i obmacywała mu odbyt. Żeby przezwyciężyć zażenowanie, szybko przewrócił ją na łóżko.

Jego ruch był tak gwałtowny, że zaskoczył ją. Jej wysoka postać upadła na wznak z twarzą pokrytą czerwonymi plamami i przestraszonym wyrazem człowieka, który stracił równowagę. Tak jak przed nią stał, złapał ją pod kolana i podniósł w górę jej lekko rozłożone nogi, które nagle wyglądały jak podniesione ręce żołnierza, który poddaje się ze strachu przed wymierzoną w niego bronią.

Niezręczność połączona z gorliwością, gorliwość połączona z niezręcznością podnieciły słodko Tomasza. Kochali się bardzo długo. Przyglądał się później jej twarzy pokrytej purpurowymi plamami i szukał w niej tego pełnego łęku wyrazu kobiety, której ktoś podstawił nogę i która upada, niemożliwy do naśladowania wyraz, który przed chwilą uderzył mu do głowy falą podniecenia.

Potem szedł umyć się do łazienki. Odprowadziła go tam i długo i nudno mu wyjaśniała, gdzie jest mydło, gdzie gąbka i jak puszczać ciepłą wodę. Dziwił się, dlaczego tak proste rzeczy wyjaśnia mu tak szczegółowo. Powiedział jej w końcu, że wszystko rozumie i dał jej do zrozumienia, że chciałby zostać w łazience sam. Powiedziała błagalnie:

— Nie pozwoli mi pan zostać przy pańskiej toalecie? Wreszcie udało mu się wypchnąć ją z łazienki. Mył się, oddawał mocz do umywalki (ogólny zwyczaj czeskich lekarzy) i wydawało mu się, że ona w tym czasie niecierpliwie chodzi przed łazienką i zastanawia się, jak się dostać do środka. Kiedy zamknął wodę, a w mieszkaniu panowała zupełna cisza, miał wrażenie, że skądś go podgląda. Był prawie pewien, że w drzwiach łazienki jest wywiercona dziurka i ona przyciska do niej swe śliczne przymrużone oko.

Odchodził od niej we wspaniałym humorze. Starał się pamiętać to istotne, odcedzić wspomnienie od jakiegoś chemicznego wzoru, przy pomocy którego można by było zdefiniować jej wyjątkowość (jedną milionową niepowtarzalnego). Doszedł w końcu do wzoru, który składał się z trzech funkcji:

- 1) niezręczność połączona z gorliwością,
- 2) przerażona twarz kogoś, kto stracił równowagę i upada,
- 3) nogi podniesione w górę jak ręce żołnierza, który poddaje się przed wycelowaną w niego bronią.

Kiedy powtarzał to sobie, miał szczęśliwe poczucie, że znów posiadał na własność kawałek świata; że wykroił swym imaginacyjnym skalpelem krążek materiału z nieskończonego płótna kosmosu.

11.

Mniej więcej w tym samym czasie zdarzyła mu się następująca przygoda: spotkał się kilkakrotnie z młodą dziewczyną w mieszkaniu, które mu codziennie aż do północy pożyczal stary przyjaciel. Po miesiącu czy dwóch przypominała mu jedno z ich poprzednich spotkań: kochali się podobno na dywanie pod oknem, gdy tymczasem na dworze grzmiały gromy i błyskawice. Kochali się przez cały czas trwania burzy i było to podobno niewiarygodnie piękne!

Tomasz niemalże się przestraszył: tak, pamiętał, że kochał ją na dywanie (przyjaciel miał w mieszkaniu tylko wąski tapczan, na którym Tomasz nie czuł się swobodnie), ale o burzy kompletnie zapomniał. Było to dziwne: umiał sobie przypomnieć tych kilka schadzek, które z nią miał, pamiętał nawet sposób, w jaki się kochali (nie zgadzała się robić tego od tyłu), pamiętał kilka próśb, które wypowiadała w trakcie kochania (ciągle domagała się, żeby mocno trzymał ją za biodra i protestowała, kiedy na nią patrzył, kilkakrotnie krzyczała do niego: „trzymaj mnie mocno i zamknij oczy!”), przypominał sobie nawet krój jej bielizny – ale o żadnej burzy nie miał zielonego pojęcia.

Jego pamięć rejestrowała z jego historii miłosnych tylko stromą i wąską trasę seksualnego zdobywania: pierwszą słowną agresję, pierwsze dotknięcie, pierwszą obsceniczność, którą powiedział on do niej i ona do niego, wszystkie drobne perswazje, do których stopniowo ją zmuszał i te, na które się nie zgodziła. Cała reszta została z jego pamięci (ze szczególną pedanterią) wypchnięta. Zapomniał nawet, w jakim miejscu po raz pierwszy widział kolejną kobietę, ponieważ moment ten zdarzył się jeszcze przed samym atakiem seksualnym.

Dziewczyna mówiła o burzy, uśmiechała się marzycielsko, a on patrzył na nią ze zdziwieniem i niemalże się wstydził: przeżyła coś pięknego, a on tego z nią nie przeżywał. W rozdwojeniu, z jakim jego pamięć reagowała na wieczorną burzę, streszczała się cała różnica między miłością a nie-miłością.

Przez słowo „nie-miłość” nie chce powiedzieć, że miał do tej dziewczyny cyniczny stosunek, że, jak to się mówi, uważał ją wyłącznie za obiekt seksualny: przeciwnie, lubił ją po przyjacielsku, szanował jej charakter i inteligencję, był skłonny pomóc jej, kiedykolwiek tego potrzebowała. To nie on się źle w stosunku do niej zachowywał; źle się zachowywała jego pamięć, która ją sama, bez jego woli wykluczyła ze sfery miłości. Wydaje się, że w mózgu istnieje całkiem szczególny obszar, który można by nazwać poetycką pamięcią i który rejestruje to, co nas urzekło, wzruszyło, co dało piękno naszemu życiu. Od czasu kiedy poznał Teresę, żadna kobieta nie miała prawa zostawić w tej części jego mózgu najmniejszego nawet śladu.

Teresa despotycznie okupowała jego poetycką pamięć i wymiotła z niej ślady innych kobiet. Nie było to sprawiedliwe, bo na przykład dziewczyna, z którą kochał się na dywanie podczas burzy, nie była wcale mniej godna poezji niż Teresa. Krzyczała do niego: „Zamknij oczy, trzymaj mi biodra, trzymaj mnie mocno!”; nie znosiła, kiedy Tomasz miał przy akcie miłosnym otwarte oczy, skupione i obserwujące, a jego

lekko uniesione ciało nie przyciskało się do jej skóry. Nie chciała, żeby ją studiował. Chciała wciągnąć go do wiru oczarowania, do którego nie można wstąpić inaczej niż z zamkniętymi oczyma. Dlatego nie zgadzała się stanąć na czworakach, bo w takiej pozycji ich ciała w ogóle się nie dotykały i mógł ją oglądać z prawie półmetrowego dystansu. Nienawidziła tego dystansu. Chciała zespolić się z nim w jedno. Dlatego twierdziła uparcie, że nie doznała rozkoszy, choć cały dywan był mokry od jej orgazmu.

— Nie szukam rozkoszy – mówiła – szukam szczęścia, a rozkosz bez szczęścia nie jest żadną rozkoszą.

Inaczej mówiąc dobijała się do bramy jego poetyckiej pamięci. Ale brama była zamknięta. W poetyckiej pamięci nie było dla niej miejsca. Jej miejsce było na dywanie.

Jego przygoda z Teresą zaczęła się dokładnie w tym miejscu, w którym kończyły się przygody z innymi kobietami. Odgrywała się po drugiej stronie imperatywu, który zmuszał go do zdobywania kobiet. Nie chciał w Teresie niczego odkrywać. Otrzymał ją odkrytą. Kochał się z nią, zanim zdążył wziąć do ręki swój imaginacyjny skalpel, którym otwierał leżące ciało świata. Zanim zdążył zapytać siebie, jaka będzie, kiedy zacznie się z nią kochać, już się z nią kochał.

Historia miłości zaczęła się dopiero później: dostała gorączki i nie mógł odesłać jej do domu tak jak inne kobiety. Klęczał przy jej łóżku i przyszło mu do głowy, że ktoś mu ją posłał po wodzie w koszyku. Powiedziałem już, że metafory są niebezpieczne. Miłość zaczyna się od metafory. Inaczej mówiąc: miłość zaczyna się w chwili, kiedy kobieta wpisze się swym pierwszym słowem do naszej poetyckiej pamięci.

12.

Przed kilkoma dniami znów mu się zapisała w myślach: wracała jak zawsze do domu z mlekiem, a kiedy jej otworzył, przyciskała do piersi wronę otuloną w czerwony szalik. Tak Cyganki trzymają w objęciach swoje dzieci. Nigdy tego nie zapomni: ogromny, oskarżycielski dziób wrony przy jej twarzy.

Znalazła ją zakopaną w ziemi. Tak kiedyś kozacy robili z wziętymi do niewoli wrogami. „Dzieci to zrobili” – powiedziała i w tym zdaniu była nie tylko konstatacja, ale również nagły wstręt do ludzi. Przypomniał sobie, jak mu powiedziała niedawno: „zaczynam ci być wdzięczna, że nigdy nie chciałeś mieć dzieci”.

Wczoraj skarżyła mu się, że w restauracji napadł na nią jakiś facet. Złapał ją łapą za tani naszyjnik i powiedział, że musiała na niego zarobić prostytutką. Była tym bardzo przejęta. Bardziej niż należało, pomyślał Tomasz. Nagle go przeraziło, że tak mało ją widywał w minionych dwóch latach i że miał tak mało możliwości, by długo tulić w swych dłoniach jej ręce – żeby przestały drżeć.

Z takimi myślami szedł rano do kancelarii, w której urzędniczka rozdzielala pracę na cały dzień. Jakiś prywatny klient upierał się, żeby jego okna mył właśnie Tomasz. Szedł pod ten adres niechętnie, obawiał się, że znów go wzywa jakaś kobieta. W jego myślach było pełno Teresy i nie miał chęci na żadne przygody.

Kiedy drzwi się otworzyły, odetchnął. Zobaczył przed sobą wysokiego i lekko zgarbionego mężczyznę. Mężczyzna miał długą brodę i kogoś mu przypominał.

Uśmiechnął się:

— Niech pan wejdzie, panie doktorze – i wprowadził go do pokoju.

W pokoju stał młody mężczyzna. Był purpurowy na twarzy. Patrzył na Tomasza i starał się uśmiechać.

— Was dwóch, jak sądzę, nie trzeba sobie przedstawiać – powiedział mężczyzna.

— Nie – odpowiedział Tomasz i bez uśmiechu podał młodzieńcowi rękę. Był to jego syn. Potem dopiero mężczyzna z długą brodą sam mu się przedstawił.

— Od razu wiedziałem, że mi pan kogoś przypomina! – zawołał Tomasz – Jakże! Oczywiście, że pana znam. Pana nazwisko.

Usiedli w fotelach, między nimi stał niski stolik konferencyjny. Tomasz uświadomił sobie, że obydwa mężczyźni, którzy naprzeciw niego siedzą, są jego niedobrowolnymi dziełami. Do zrobienia syna zmusiła go pierwsza żona, a rysy tego wysokiego mężczyzny opisał z przymusu policjantowi, który go przesłuchiwał.

Żeby odegnąć te myśli, spytał:

— To od którego okna mam zacząć?

Obydwa mężczyźni zaczęli się serdecznie śmiać.

Tak, było jasne, że nie chodzi o żadne mycie okien. Zaproszono go nie po to, by mył okna, zaproszono go, by go złapać w pułapkę. Nigdy nie rozmawiał ze swym synem. Dziś po raz pierwszy uściśnął mu rękę. Znał go tylko z widzenia i nie chciał go znać inaczej. Życzył sobie nic o nim nie wiedzieć i chciał, żeby syn życzył sobie tego samego.

— Piękny plakat, prawda? - redaktor pokazał duży rysunek w ramach, który wisiał na ścianie naprzeciw Tomasza.

Teraz dopiero Tomasz rozejrzał się po mieszkaniu. Na ścianach wisiały interesujące obrazy, dużo fotogramów i plakatów. Rysunek, który mu redaktor pokazał, był publikowany w 1969 roku w jednym z ostatnich numerów tygodnika, zanim Rosjanie go zlikwidowali. Była to imitacja słynnego plakatu z czasów rosyjskiej wojny domowej z 1917 roku, który wzywał do wstąpienia do Armii Czerwonej: żołnierz z czerwoną gwiazdą na czapce i z niezwykle surowym spojrzeniem patrzy wam w oczy i wyciąga do was rękę z wymierzonym palcem wskazującym. Oryginalny rosyjski tekst brzmiał: „Obywatelu, czy wstąpiłeś już do Armii Czerwonej?” Ten tekst został zastąpiony czeskim tekstem: „Obywatelu, ty również podpisałeś dwa tysiące słów?”

Był to świetny żart. „Dwa tysiące słów” to był pierwszy sławny manifest z wiosny 1968, w którym wzywano do radykalnej demokratyzacji reżymu komunistycznego. Podpisało go wielu intelektualistów, a zwyczajni ludzie przychodzili później również, aby podpisać manifest, tak że podpisów było takie mnóstwo, że nikt nie był w stanie ich policzyć. Kiedy Armia Czerwona wdarła się do Czech i rozpoczęły się czystki, jednym z pytań zadawanych obywatelom było: „ty również podpisałeś dwa tysiące słów?”. Kto się przyznał, że podpisał, tego bez gadania wyrzucano z pracy.

— Wspaniały rysunek. Pamiętam go dobrze — powiedział Tomasz. Redaktor uśmiechnął się:

— Miejmy nadzieję, że ten czerwonoarmijec nie podsłuchuje, o czym rozmawiamy. Potem dodał poważnie:

— Żeby wszystko między nami było jasne, panie doktorze. To nie jest moje mieszkanie. Jest to mieszkanie mego przyjaciela. Nie ma więc pewności, że policja nas tu podsłuchuje. Jest to tylko prawdopodobne. Gdybym zaprosił pana do siebie, byłoby to pewne.

Po czym ciągnął znów lżejszym tonem:

— Ale ja wychodzę z założenia, że nie mamy przed nikim nic do ukrycia. Zresztą, niech pan sobie wyobrazi, cóż to za wygoda dla przyszłych historyków! Znajdą w archiwach policyjnych nagrane życie wszystkich czeskich intelektualistów! Wie pan, jaki to trud dla historyków literatury wyobrazić sobie in concreto seksualne życie takiego Woltera, Balzaka czy Tołstoja? Jeśli chodzi o czeskich pisarzy, nie będą istniały żadne wątpliwości. Wszystko jest nagrane. Każde westchnienie.

Odwrócił się do potencjalnych mikrofonów w ścianie i powiedział głośno:

— Panowie, jak zawsze w podobnych okazjach pragnę dodać wam ducha w waszej pracy i podziękować wam w imieniu swoim i przyszłych historyków.

Wszyscy trzej śmiali się przez chwilę, a potem redaktor rozgadał się o tym, jak zlikwidowano jego tygodnik, co robi rysownik, który wymyślił tę karykaturę, co robią inni czescy malarze, filozofowie i pisarze. Po rosyjskiej inwazji wszystkich wyrzucono z pracy i zostali sprzątacami, myli okna, pilnowali parkingów, byli stróżami nocnymi, palaczami w urzędach, a w najlepszym, niemalże protekcyjnym przypadku, taksówkarzami.

To, co opowiadał redaktor, nie było nieciekawe, ale Tomasz nie był w stanie się skupić. Myślał o swoim synu. Przypomniawszy sobie, że już od kilku miesięcy spotyka go na ulicy. To prawdopodobnie nie był przypadek. Zaskoczyło go, że widzi go teraz w towarzystwie prześladowanego redaktora. Pierwsza żona Tomasza była ortodoksyjną komunistką i Tomasz automatycznie spodziewał się, że syn jest pod jej wpływem. Nic o nim nie wiedział. Mógł, oczywiście, zapytać go wprost, jak mu się układają stosunki z matką, ale krępował się to zrobić przy obcym.

Wreszcie redaktor przeszedł do sedna sprawy. Powiedział, że coraz więcej ludzi znajduje się w więzieniach tylko dlatego, że trwają przy swych poglądach i zamknął swój wykład słowami:

— Tak więc powiedzieliśmy sobie, że trzeba by coś zrobić.

— Co chcecie zrobić? – spytał Tomasz.

W tym momencie przemówił jego syn. Słyszał go po raz pierwszy. Z zaskoczeniem stwierdził, że chłopiec się jąka.

— Mamy informacje — powiedział — że traktowanie więźniów politycznych jest bardzo złe. Stan niektórych spośród nich jest naprawdę krytyczny. Powiedzieliśmy więc sobie, że dobrze byłoby napisać petycję, którą by podpisali najwybitniejsi czescy intelektualiści, których nazwiska mają jeszcze jakiś ciężar gatunkowy.

Nie, to nie było jąkanie, raczej jakieś delikatne zacinięcie, które zwalniało tok jego wymowy, tak że każde słowo, które wypowiadał było bez jego woli podkreślone z naciskiem. Uświadamiał to sobie widocznie, bo jego policzki, które przed chwilą wreszcie zbladły, znowu spurpurowiały.

— Chcielibyście ode mnie rady, do kogo powinniście się zwrócić w moim zawodzie? – spytał Tomasz

— Nie — roześmiał się redaktor. — Nie chcemy pańskiej rady. Chcemy pańskiego podpisu.

Znowu poczuł się mile połączony! Znowu się ucieszył, że jest ktoś, kto nie zapomni, że jest chirurgiem. Bronił się tylko przez skromność:

— Słuchajcie, to, że mnie wyrzucili z pracy, to jeszcze nie dowód, że jestem znakomitym lekarzem!

— Nie zapomnieliśmy, co pan napisał do naszego tygodnika — uśmiechnął się do Tomasza redaktor.

Z jakimś zachwytem, którego Tomasz może nie zauważył, syn westchnął:

— Tak!

— Nie wiem, czy moje nazwisko pod taką petycją może pomóc więźniom politycznym – odpowiedział Tomasz. – Czy nie powinni tego raczej podpisać ci, którzy jeszcze nie wpadli w niełaskę i zachowali przynajmniej minimalny wpływ na tych, którzy są u władzy?

— Oczywiście, że powinni! – redaktor się śmiał. Również syn Tomasa roześmiał się śmiechem kogoś, kto już wiele zrozumiał:

— Tylko że tacy tego nigdy nie podpiszą!

— To nie znaczy — kontynuował redaktor — że ich nie nachodzimy. Tak wielkoduszni znów nie jesteśmy, nie chcemy im oszczędzić zażenowania. — Śmiał się. — Powinien pan posłuchać ich wykrętów. Są wspaniałe!

Syn śmiał się potakująco.

— Wszyscy oczywiście nam mówią – ciągnął redaktor – że się z nami absolutnie zgadzają, tylko że podobno należy działać inaczej: bardziej taktycznie, rozumnie, dyskretnie. Boją się to podpisać i jednocześnie się boją, że w przypadku, kiedy nie podpiszą, będziemy o nich źle myśleć.

Syn i redaktor znów się razem roześmiali.

Redaktor podał Tomaszowi kartkę papieru z krótkim tekstem, który w stosunkowo grzeczny sposób prosił prezydenta republiki, aby udzielił amnestii więźniom politycznym. Tomasz starał się szybko nad tym zastanowić: amnestia dla więźniów politycznych? Ale czy ktoś udzieli tej amnestii dlatego, że ludzie odtrąceni przez reżym (a więc potencjalni nowi więźniowie polityczni) proszą o to prezydenta? Taka petycja musi przecież doprowadzić do tego, że żadnej amnestii dla więźniów politycznych nie będzie, gdyby nawet przypadkiem właśnie chcieli jej udzielić!

W tym momencie znów przemówił do niego syn:

— Chodzi głównie o to, żeby ludzie dowiedzieli się, że jest jeszcze w tym kraju garstka ludzi, którzy się nie boją. Pokazać także, kto jest naprawdę kim. Oddzielić plewy od ziarna.

Tomasz myślał: Tak, to prawda, ale co to ma wspólnego z więźniami politycznymi? Albo chodzi o to, by wywalczyć dla nich amnestię, albo chodzi o to, by oddzielić plewy od ziarna. Te dwie sprawy nie są tożsame.

— Waha się pan, panie doktorze? – spytał redaktor.

Tak. Wahał się. Ale bał się to powiedzieć. Naprzeciwko niego wisiał na ścianie obraz żołnierza, który wygrażał mu palcem i mówił: „I ty wahasz się jeszcze, czy wstąpić do Armii Czerwonej?” Albo: „Nie podpisałeś jeszcze dwóch tysięcy słów?” Albo: „I ty również podpisałeś dwa tysiące słów?” Albo: „Nie chcesz podpisać petycji w sprawie amnestii?”. Cokolwiek by nie mówił, wygrażał.

Redaktor powiedział już przed chwilą, co myśli o ludziach, którzy co prawda zgadzają się z tym, że więźniowie polityczni powinni zostać zwolnieni, ale umieją znaleźć tysiące powodów, by nie podpisać petycji. Według niego takie myśli są tylko wykrętami, za którymi skrywa się tchórzostwo. Cóż więc Tomasz miał powiedzieć?

Było cicho i roześmiał się nagle: pokazał na rysunek na ścianie.

— Ten tam mi wygraża i pyta, czy podpiszę, czy też nie. Trudno jest myśleć pod takim spojrzeniem! Wszyscy trzej śmiali się przez chwilę. Tomasz później powiedział:

— Dobrze. Zastanowię się nad tym. Czy moglibyśmy się gdzie zobaczyć w najbliższych dniach?

— Zawsze sprawi mi przyjemność spotkanie z panem – powiedział redaktor – ale dla tej petycji byłoby zbyt późno. Chcemy jutro zanieść ją do prezydenta.

— Jutro — Tomasz przypomniał sobie, jak mu otyły policjant podawał papier z napisanym tekstem, w którym miał złożyć donos właśnie na tego mężczyznę z brodą. Wszyscy zmuszali go, żeby podpisywał teksty, których sam nie napisał.

Syn powiedział:

— Nad czym tu się zastanawiać?

Słowa były agresywne, ale ton niemal błagalny. Patrzyli sobie w oczy i Tomasz zauważył, że syn w chwili skupienia delikatnie podnosi lewą część górnej wargi. Znał ten grymas ze swej własnej twarzy, kiedy w skupieniu przeglądał się w lustrze i kontrolował, czy jest dobrze ogolony. Widząc teraz ten grymas na obcej twarzy, nie mógł obronić się przed uczuciem jakiegoś niesmaku.

Kiedy rodzice żyją z dziećmi od dzieciństwa, przyzwyczajają się do takich podobieństw, wydają im się banalne, a kiedy od czasu do czasu uświadamiają je sobie, nawet zabawne. Ale Tomasz rozmawiał ze swym synem po raz pierwszy w życiu! Nie był przyzwyczajony do siedzenia naprzeciw swej własnej skrzywionej wargi!

Wyobraźcie sobie, że amputowano by wam rękę i przeszczepiono ją jakiemuś innemu człowiekowi. Człowiek ten siedziałby później naprzeciw was i gestykulował tą ręką. Patrzylibyście na nią jak na straszdyło. Pomimo, że była to wasza własna, intymnie znajoma ręka, przejmowałaby was grozą myśl, że może was ona dotknąć.

— Jesteś przecież po stronie tych — ciągnął syn — którzy są prześladowani?

Przez cały czas Tomasz myślał o tym, czy syn będzie mu mówił per ty, czy per wy. Dotychczas formułował wszystkie zdania w taki sposób, by uniknąć wyboru. Teraz się wreszcie zdecydował. Mówił mu na ty i Tomasz naraz nabrał pewności, że w tej scenie nie chodzi o więźniów politycznych, ale o syna: jeśli podpisze, ich losy połączą się i Tomasz mniej lub bardziej będzie zmuszony do tego, by zbliżyć się z synem. Jeśli nie podpisze, ich stosunki pozostaną takie jak dotychczas, to znaczy żadne, z tym, że teraz już nie z jego woli, ale z woli syna, który wyrzeknie się ojca za jego tchórzostwo. Był w sytuacji szachisty, którego nie uratuje żadne posunięcie i który musi przegrać. To zupełnie wszystko jedno — podpisze, czy nie. Nie zmieni to w niczym ani jego losu, ani losu więźniów politycznych.

— Dajcie to tu – powiedział i wziął kartkę.

13.

Jak gdyby chcąc mu wynagrodzić jego decyzją, redaktor powiedział:

— Wspaniale pan wtedy napisał to o Edypie. Syn podając mu pióro dodał:

— Niektóre myśli są jak zamach.

Pochwała redaktora ucieszyła go, ale metafora, której użył syn wydała mu się pompatyczna i nie na miejscu. Powiedział:

— Niestety, ten zamach uderzył tylko we mnie. Dzięki temu artykułowi nie mogę już operować.

Brzmiało to chłodno, niemal nieprzyjaźnie.

Żeby załagodzić ten mały dysonans, redaktor powiedział (brzmiało to, jakby się usprawiedliwiał):

— Ale pański artykuł pomógł wielu ludziom!

Pod pojęciem: „pomagać ludziom” Tomasz od dzieciństwa umiał sobie wyobrazić tylko jedną czynność: medycynę. Jakiś artykuł miałby pomóc ludziom? Cóż ci dwaj chcą mu wmówić! Zredukowali jego życie do jednej małej myśli o Edypie, a właściwie do czegoś jeszcze mniejszego: do jednego prymitywnego „nie”, które rzucił w twarz systemu.

Powiedział (a jego głos wciąż brzmiał chłodno, choć sobie tego chyba nie uświadamiał):

— Nic nie wiem o tym, żeby ten artykuł miał komuś pomóc. Ale jako chirurg uratowałem życie wielu ludziom.

Znów przez chwilę panowała cisza. Przerwał ją syn:

— Myśli też mogą uratować ludziom życie. Tomasz widział w jego twarzy swoje własne usta i przyszło mu do głowy, że to bardzo dziwne, widzieć swe usta, jak się jękają.

— W twoim artykule była jedna wspaniała rzecz — ciągnął syn i widać było, że mówi z trudem. – Bezkompromisowość. Ten sens, który już tracimy, jasne rozróżnienie pomiędzy dobrem a złem. My już nie wiemy, co to znaczy czuć się winnym. Komuniści mają na swe usprawiedliwienie, że okłamał ich Stalin. Morderca usprawiedliwia się, że matka go nie kochała i że jest sfrustrowany. A ty naraz powiedziałaś: nie ma żadnego usprawiedliwienia. Nikt w swym wnętrzu nie był niewinniejszy od Edypa. A pomimo to sam się ukarał, kiedy zobaczył, co zrobił.

Tomasz zmusił się, żeby oderwać spojrzenie od swej wargi na twarzy syna i starał się patrzeć na redaktora. Był rozdrażniony i miał ochotę nie zgadzać się z nimi. Powiedział:

— Wiecie, to wszystko jest nieporozumieniem. Granice pomiędzy dobrem a złem są strasznie niejasne. Nie chodziło mi w ogóle o to, że ktoś ma być ukarany. Karać kogoś, kto nie wiedział, co czyni, to barbarzyństwo. Mit o Edypie jest piękny. Ale wyrabiać z nim takie rzeczy... — chciał jeszcze coś powiedzieć, ale uświadomił sobie, że mieszkanie jest być może podsłuchiwane. Nie miał najmniejszych ambicji, by cytowali go historycy przyszłych wieków. Miał raczej obawy, by go nie cytowała policja. Przecież właśnie tej samokrytyki jego artykułu domagano się od niego. Było mu nieprzyjemnie, kiedy pomyślał, że mogliby teraz wreszcie usłyszeć ją z jego ust. Wiedział, że wszystko, co człowiek w tym kraju wypowie, może być kiedyś nadane przez radio. Zamilkł.

— Co pana skłoniło do tej zmiany poglądów – spytał redaktor.

— Raczej się siebie pytam, co mnie skłoniło do napisania tego artykułu... - powiedział Tomasz i w tym momencie przypomniał to sobie: znalazła się na jego łóżku, jak dziecko posłane w koszyku po fałach. Tak, dlatego wziął w ręce tę książkę: wracał do historii o Romulusie, o Mojżeszu, o Edypie... I oto znów była z nim. Widział ją przed sobą, jak przyciska do piersi otuloną w czerwony szal wronę. Ten obraz go uspokoił. Jakby przyszedł mu powiedzieć, że Teresa żyje, że znajduje się w tym momencie w tym samym mieście co on i że cała reszta nie ma żadnego znaczenia.

Redaktor przerwał milczenie:

— Rozumiem pana, panie doktorze. Ja również nie lubię kar. Ale my nie domagamy się kary – uśmiechnął się – my się domagamy zaniechania kary.

— Wiem – powiedział Tomasz. Pogodził się już z tym, że w następnych sekundach zrobi coś, co jest może szlachetne, ale z pewnością zupełnie niepotrzebne (bo i tak nie pomoże więźniom politycznym), a dla

niego osobiście nieprzyjemne (ponieważ dzieje się w narzuconych mu okolicznościach).

Syn powiedział jeszcze (prawie błagalnie):

— To twój obowiązek, podpisać to.

Obowiązek? Syn będzie mu przypominał o jego obowiązkach? To było najgorsze słowo, jakiego mógł użyć. Znów stanął mu przed oczyma obraz Teresy trzymającej w objęciach wronę. Przypomniał sobie, że wczoraj napastował ją w barze tajniak. Znów drżą jej ręce. Postarzała się. Nie zależy mu na niczym poza nią. Ona, zrodzona z sześciu przypadków, ona, kwiat wyrosły na ischiasu ordynatora, ona, która jest po drugiej stronie wszelkich „es muss sein!”, ona jest tym jedynym, na czym mu zależy.

Dlaczego się jeszcze w ogóle zastanawia, czy ma, czy też nie ma podpisać? Istnieje tylko jedno kryterium dla wszystkich jego decyzji: nie ma prawa zrobić niczego, co mogłoby jej zaszkodzić. Tomasz nie może uratować więźniów politycznych, ale może dać Teresie szczęście. Nie umie zrobić nawet tego. Ale jeśli podpisze petycję, to prawie na pewno tajniacy będą chodzili za nią jeszcze częściej i jeszcze bardziej będą drżały jej ręce.

— Jest rzeczą o wiele ważniejszą – powiedział – wygrzebać z ziemi zakopaną wronę, niż słać jakieś petycje do prezydenta.

Wiedział, że to zdanie jest niezrozumiałe, ale tym bardziej mu się podobało. Przeżywał moment nagłego i nieoczekiwanego upojenia. Było to równie czarne upojenie, jak wtedy, kiedy uroczyście oznajmiał swej żonie, że nie chce jej i swego syna już nigdy widzieć. Było to równie czarne upojenie, jak wtedy gdy wrzucał do skrzynki list, w którym wyrzekał się raz na zawsze swego powołania lekarskiego. Nie był pewien, czy postępuje słusznie, ale był pewien, że postępuje tak, jak chce postępować.

— Nie gniewajcie się. Nie podpiszę – powiedział.

14.

W kilka dni później mógł przeczytać o petycji we wszystkich gazetach. Nigdzie, rzecz jasna, nie pisano, że była to uprzejma prośba, ujmująca się za więźniami politycznymi i domagająca się ich zwolnienia. Żadna gazeta nie zacytowała jednego bodaj zdania z tego krótkiego tekstu. Zamiast tego mówiły długo, niejasno i groźnie o jakimś antypaństwowym oświadczeniu, które miało się stać podstawą do nowej walki z socjalizmem. Wymieniały tych, którzy podpisali tekst i obrzucały ich nazwiska kalumniami i pogroźkami, od których Tomaszowi chodził mróz po plecach. Z pewnością, można to było przewidzieć. W tych czasach jakakolwiek akcja (zebranie, petycja, zgromadzenie uliczne), o ile nie była organizowana przez partię komunistyczną, automatycznie była uznawana za bezprawną i groziła niebezpiecznymi konsekwencjami każdemu, kto wziął w niej udział. Wszyscy o tym wiedzieli. Ale tym bardziej chyba żałował, że nie podpisał petycji. Dlaczego właściwie jej nie podpisał? Nie umie nawet uświadomić sobie dokładnie motywów swej decyzji.

I znów widzę go tak, jak mi się zjawiał na samym początku powieści. Stoi przy oknie i patrzy na mury przeciwległych kamienic.

To jest obraz, z którego się narodził. Jak już mówiłem, postacie nie rodzą się jak żywi ludzie z ciała matki, ale z jednej sytuacji, zdania, metafory, w której jak w orzeszku ułożona jest jakaś podstawowa ludzka możliwość, o której autor myśli, że nikt jej jeszcze nie odkrył, albo o której nikt jeszcze nic naprawdę ważnego nie powiedział.

Ale czyż nie jest tak, że autor umie mówić tylko sam o sobie? Patrząc bezsilnie na podwórko i nie wiedzieć, co robić; słuchać upartego burczenia własnego brzucha w chwili miłosnego wzruszenia; zdradzać i nie móc zatrzymać się na pięknej drodze zdrad; podnosić pięść w pochodzie Wielkiego Marszu; robić dowcipne ekshibicje przed mikrofonami tajnej policji – wszystkie te sytuacje sam poznałem i przeżyłem, a mimo to nie powstała z nich żadna postać, która byłaby mną samym z moim curriculum vitae. Postacie moich powieści są możliwościami mnie samego, które nie doszły do skutku. Dlatego kocham wszystkie tak samo i wszystkie tak samo mnie przerażają: każda z nich przekroczyła jakąś granicę, którą ja tylko obchodziłem dookoła. I właśnie ta przekroczona granica (granica, za którą kończy się moje „ja”) mnie pociąga. Dopiero za nią zaczyna się tajemnica, którą żywi się powieść. Powieść nie jest wyznaniem autora, ale badaniem tego, czym jest ludzkie życie w pułapce, którą stał się świat. Ale dość. Wróćmy do Tomasza.

Jest sam w mieszkaniu i patrzy przez podwórko na brudną ścianę przeciwległej kamienicy. Tęskni za wysokim mężczyzną z wielką brodą i za jego przyjaciółmi, których nie znał i do których nigdy nie należał. Ma uczucie takie, jakby ujrzał na peronie piękną nieznaną i nim zdążył ją zagadnąć, wsiadła do sleepingu, który odjeżdżał do Istambułu albo Lizbony.

Potem starał się znów myśleć, co byłoby właściwe. Choć starał się odłożyć na bok wszystko, co było uczuciem (podziw dla redaktora, rozdrażnienie, które budził w nim syn) ciągle jeszcze nie był pewien, czy powinien był podpisać tekst, który mu dali. Czy należy protestować, kiedy ludziom kneblują usta? Tak. Ale z drugiej strony: dlaczego gazety poświęciły petycji tyle miejsca? Prasa (totalnie manipulowana przez państwo) mogła przecież przemilczeć całą historię i nikt by się o niej nie dowiedział. Skoro o niej mówili, to

znaczy, że była ona władcem kraju na rękę! Spadła im jak z nieba, aby mogli rozpocząć i usprawiedliwić nową falę prześladowań.

Cóż więc należało zrobić? Podpisać, czy nie? Pytanie można również sformułować w ten sposób: czy lepiej krzyknąć i przyspieszyć swój koniec? Czy milczeć i wykupić sobie w ten sposób powolniejsze umieranie? Czy w ogóle istnieje odpowiedź na te pytania? I znów przyszła mu do głowy myśl, którą już znamy: życie ludzkie dzieje się tylko raz i dlatego nigdy nie będziemy mogli stwierdzić, która z naszych decyzji była słuszną, a która złą, ponieważ w danej sytuacji mogliśmy zdecydować tylko jeden raz. Nie dano nam żadnego drugiego, trzeciego, czwartego życia, abyśmy mogli porównać różne konsekwencje decyzji. Z historią jest podobna sprawa jak z życiem indywidualnym. Historia Czechów jest tylko jedna. Pewnego dnia skończy się, podobnie jak życie Tomasza i nie będzie jej można powtórzyć.

W roku 1618 w czeskich panach wezbrało męstwo, zdecydowali się bronić swych swobód religijnych, rozżalili się na cesarza, który miał siedzibę w Wiedniu i wyrzucili przez okno praskiego zamku dwóch jego wysokich urzędników. Tak rozpoczęła się wojna trzydziestoletnia, która doprowadziła do całkowitego niemal wyniszczenia czeskiego narodu. Czyż więc jest tak, że Czesi powinni byli być wówczas bardziej ostrożni, a mniej odważni? Odpowiedź wydaje się łatwa, ale nie jest.

W trzysta dwadzieścia lat później, w roku 1938 po konferencji w Monachium cały świat zdecydował się poświęcić ich kraj Hitlerowi. Mieli więc spróbować walczyć samotnie przeciw ośmiokrotnej przewadze? W przeciwieństwie do roku 1618 byli teraz bardziej ostrożni niż odważni. Od ich kapitulacji rozpoczęła się druga wojna światowa, która w efekcie doprowadziła ich naród do definitywnej utraty wolności na wiele dziesięcioleci czy może nawet stuleci. Czyż więc powinni działać mniej ostrożnie, a za to odważniej? Co powinni byli zrobić?

Gdyby historia Czech mogła się powtórzyć, z pewnością byłoby dobrze wypróbować za każdym razem tę drugą ewentualność, a potem porównać rezultaty. Bez takiego eksperymentu wszelkie rozważania są tylko grą hipotez.

Einmal Lit keinmal. Co ma stać się tylko raz, to jak gdyby nigdy się nie stało. Historia Czechów nie powtórzy się, historia Europy również nie. Historia Czechów i Europy to dwa szkice narysowane przez fatalne niedoświadczenie ludzkości. Historia jest równie lekka jak poszczególne życie ludzkie, lekka jak puch, jak unoszący się kurz, jak to, czego już jutro nie będzie.

Tomasz jeszcze raz przypomniał sobie z nostalgią, ba, niemalże z miłością wysokiego, zgarbionego redaktora. Ten człowiek zachowywał się tak, jakby historia nie była szkicem, ale gotowym już obrazem. Zachowywał się tak, jakby wszystko, co robi, miało się powtórzyć niezliczoną ilość razy w wieczornym powrocie i jakby był pewien, że nigdy nie zawaha się w swych czynach. Był przekonany o swej racji i nie uważał tego przekonania za dowód ograniczenia, ale za znamię cnoty. Człowiek ten żył w innej historii niż Tomasz: w historii, która nie była szkicem (albo która nie wiedziała, że nim jest).

15.

W kilka dni później przyszła mu do głowy ta jeszcze myśl, którą zapisuję jako dodatek do poprzedniego rozdziału: w Kosmosie istnieje planeta, na której wszyscy ludzie narodzą się po raz drugi. Będą przy tym mieć pełną świadomość swego życia spędzonego na Ziemi, wszystkich nabytych tam doświadczeń.

I być może istnieje jeszcze następna planeta, gdzie wszyscy narodziemy się po raz trzeci z doświadczeniami dwóch poprzednich wcieleń.

A może istnieją jeszcze następne i następne planety, na których ludzkość będzie się rodzić zawsze o jeden stopień (o jedno życie) dojrzała. To jest Tomasz wersja wiecznego powrotu.

Ale my tutaj, na Ziemi (na planecie numer jeden, na planecie niedoświadczenia) możemy tylko bardzo niejasno przypuszczać, co by się mogło zdarzyć człowiekowi na innych planetach. Czy byłby mądrzejszy? Czy w ogóle dojrzałość leży w możliwościach człowieka? Czy możemy ją osiągnąć przez powtarzanie?

Jedynie z perspektywy takiej utopii można by z pełną odpowiedzialnością używać pojęć optymizmu i pesymizmu: optymista to ten, który sądzi, że na planecie numer pięć historia ludzkości będzie już mniej krwawa. Pesymistą jest ten, kto sądzi inaczej.

16.

Słynna powieść Juliusza Verne'a, którą Tomasz uwielbiał jako dziecko, nazywała się „Dwa lata wakacji” i doprawdy, dwa lata to maksymalna miara dla wakacji. Tomasz mył okna już trzeci rok.

Właśnie w tych tygodniach uświadomił sobie (na w pół ze smutkiem, na w pół z uśmiechem), że jest już zmęczony (miał codziennie jeden, a czasem nawet dwa stosunki miłosne) i że nie mając już nawet na nie ochoty posiada kobiety ostatnią resztką sił. (Dodam: nie seksualnych, ale fizycznych sił; nie miał problemu

ze swym przyrodzeniem, ale ze swym oddechem; w tym właśnie było coś komicznego.)

Pewnego dnia starał się zorganizować na popołudnie randkę, ale jak to się czasem dzieje, nie mógł się dodzwonić do żadnej kobiety, tak że groziło mu puste popołudnie. Był zrozpaczony. Chyba z dziesięć razy dzwonił do pewnej dziewczyny, bardzo pociągającej studentki wydziału aktorskiego, której ciało było opalone na jakichś nudystycznych plażach Jugosławii z taką skrupulatnością, jakby powoli obracał je na różne jakieś niewiarygodnie dokładny przyrząd.

Dzwonił do niej bez skutku ze wszystkich sklepów, w których pracował. Kiedy około czwartej skończył pracę i wracał do biura oddać podpisane faktury, nagle zatrzymała go na ulicy w centrum Pragi nieznamą kobieta. Uśmiechała się do niego:

— Gdzie mi pan zniknął, panie doktorze? Straciłam pana kompletnie z oczu!

Tomasz zastanawiał się w panice, skąd ją zna. Czy to może dawna pacjentka? Zachowywała się tak, jakby byli bliskimi przyjaciółmi. Starał się odpowiadać w taki sposób, żeby nie zauważyła, że jej nie poznaje. Zastanawiał się już nawet, jak ją skłonić, żeby z nim poszła do mieszkania przyjaciela, do którego klucz miał w kieszeni, kiedy nagle z jakiegoś przypadkowego gestu poznał, kim jest ta kobieta: była to studentka szkoły teatralnej, wspaniale opalona, do której dziś przez cały dzień pracowicie wydzwaniał.

Ta przygoda go rozbawiła, ale i wystraszyła: jest zmęczony nie tylko fizycznie, ale i psychicznie: dwóch lat wakacji nie można przedłużać w nieskończoność.

17.

Wakacje bez stołu operacyjnego były jednocześnie wakacjami bez Teresy: przez sześć dni w tygodniu mijali się i tylko niedzielę spędzali razem. Mimo, że obydwójce tęsknili, za każdym razem zbliżali się do siebie z wielkiej odległości, mniej więcej z takiej, jak wtedy, kiedy wrócił do niej z Zurychu. Uprawianie miłości przynosiło im rozkosz, ale żadnej radości. W ogóle już nie krzyczała, a w momencie orgazmu jej twarz zdawała się wyrażać ból i dziwną nieprzyjemność. Tylko we śnie byli co noc czule złączeni. Trzymali się za ręce i Teresa zapominała o przepaści (przepaści światła dziennego), która ich rozdzielała. Ale te noce nie wystarczyły na to, by chronił ją i leczył. Kiedy widział ją rankiem, serce kurczyło mu się z lęku o nią: wyglądała mizernie i niezdrowo. Pewnej niedzieli poprosiła go, żeby pojechali samochodem gdzieś za Pragę. Dojechali do zdrojowego miasteczka, w którym znaleźli wszystkie ulice nazwane rosyjskimi nazwami i spotkali byłego pacjenta Tomasza. To spotkanie poruszyło go. Naraz ktoś znów z nim rozmawiał jak z lekarzem, a on czuł jak z oddali zbliża się do niego jego dawne życie ze swą przyjemną regularnością, z badaniem chorych, z ich pełnym zaufaniem spojrzeniem, na które pozornie nie zwracał uwagi, ale które w rzeczywistości sprawiało mu satysfakcję i na które czekał. Wrócili później samochodem z powrotem do domu i Tomasz myślał o tym, że ich powrót z Zurychu był katastrofalną omyłką. Wlepił zapamiętałe wzrok w szosę, nie chciał bowiem widzieć Teresy. Czuł wobec niej gniew. Jej obecność u jego boku ukazała mu się w całej swej nieznośnej przypadkowości. Dlaczego jest tu obok niego? Kto włożył ją do koszyka i posłał mu po wodzie? I dlaczego posłał ją właśnie na brzeg jego łóżka? I dlaczego właśnie ją, a nie jakąś inną kobietę? Jechali i przez cały czas żadne z nich nie przemówiło słowem. Wrócili do domu i w milczeniu zjedli kolację.

Milczenie leżało między nimi jak nieszczęście, z minuty na minutę cięższe. Żeby się go pozbyć, szybko się położyli. W nocy obudził ją z płaczu.

Opowiadała mu:

— Byłam pochowana. Już długo. Przychodziłeś do mnie co tydzień. Zawsze pukałeś w grób i ja wychodziłam na wierzch. W oczach miałam pełno gliny.

— Przecież nic nie widzisz – mówiłeś i odgarniałeś mi glinę z oczu. A ja mówiłam do ciebie:

— Ja i tak nic nie widzę. Przecież mam zamiast oczu puste jamy.

A potem któregoś dnia odjechałeś na długo i ja wiedziałam, że jesteś z jakąś inną kobietą. Mijały tygodnie, a ty nie przychodziłeś. Bałam się przegapić twoje przyjście i dlatego w ogóle nie spałam. Wreszcie zapukałeś w grób, ale byłam tak zmęczona tym miesiącem bez snu, że nie miałam siły wyjść na górę. Kiedy mi się to wreszcie udało, wyglądałeś na rozczarowanego. Powiedziałeś mi, że źle wyglądam. Czułam, że ci się strasznie nie podobam, że mam zapadłe policzki i robię zbyt gwałtowne ruchy.

Przepraszałam cię:

— Nie gniewaj się, ale przez cały czas nie spałam.

A ty powiedziałeś takim obłudnym, uspakajającym tonem:

— Widzisz sama. Musisz odpocząć. Powinnaś wziąć miesiąc urlopu.

Dobrze wiedziałam, co masz na myśli mówiąc o urlopie! Wiedziałam, że nie chcesz mnie widzieć przez cały miesiąc, bo będziesz z jakąś inną kobietą. Odszedłeś, a ja zeszałam z powrotem do grobu i znowu wiedziałam, że przez cały miesiąc nie usnę, żeby cię nie przegapić, a kiedy przyjdiesz po miesiącu, będę jeszcze brzydsza niż dziś i będziesz jeszcze bardziej niezadowolony.

Nie słyszał nigdy niczego bardziej dręczącego od tego opowiadania.

Tulił Teresę w swych objęciach, czuł jej drżące ciało i wydawało mu się, że nie jest w stanie unieść swej do niej miłości.

Kula ziemską mogłaby być rozrywana wybuchami bomb, ojczyzna co dzień gwałcona przez innego najeźdźcę, wszyscy mieszkańcy sąsiedniej ulicy mogliby być spędzeni na egzekucję, wszystko to zniosłby łatwiej, niż odważyłby się przyznać. Ale nie był w stanie wytrzymać smutku jednego snu Teresy.

Powracała do wnętrza snu, o którym mu opowiadała. Głaskał ją po twarzy i niepostrzeżenie, aby nie czuła tego zbyt, odgarniał glinę z jej oczodołów. Potem słyszał, jak mówi do niego to dręczące zdanie:

— Ja i tak nic nie widzę. Przecież mam zamiast oczu puste jamy.

Serce kurczyło mu się tak, że myślał, że jest na pograniczu zawału. Teresa już znów spała, ale on nie mógł usnąć. Wyobrażał sobie jej śmierć. Jest martwa i śnią jej się koszmary; ale ponieważ jest martwa, on nie może jej obudzić. Tak, to jest śmierć: Teresa śpi, śnią jej się przerażające sny, a on nie może jej obudzić.

18.

Przez te pięć lat, które upłynęły od czasu, kiedy armia rosyjska wtargnęła do ojczyzny Tomasza, Praga bardzo się zmieniła: Tomasz spotykał na ulicach innych ludzi niż niegdyś. Połowa jego znajomych wyemigrowała, a druga połowa, która została, umarła. To jest fakt, który nie będzie zarejestrowany przez żadnego historyka: lata po rosyjskiej inwazji były okresem pogrzebów; śmiertelność była o wiele wyższa niż przedtem. Nie mówię już o przypadkach (zresztą rzadkich), kiedy ludzie zostali zaszczuci na śmierć jak Jan Prochazka. W czternaście dni po tym, jak radio nadawało codziennie jego rozmowy, poszedł do szpitala. Rak, który prawdopodobnie już przedtem cicho drzemał w jego ciele, rozwinął się nagle jak kwiat. Operowali go w asyście policji, która w momencie, kiedy stwierdziła, że pisarz jest skazany na śmierć, przestała się nim interesować i pozwoliła mu umrzeć na rękach żony. Ale umierali również ci, których nikt bezpośrednio nie prześladował. Beznadzieja, która opanowała kraj, przenikała poprzez dusze do ciał i niszczyła je. Niektórzy rozpaczliwie uciekali przed łaskawością reżymu, który chciał ich obdarzyć przywilejami i zmusić do pokazania się u boku nowych władców. W taki sposób, w ucieczce przed miłością partii, zmarł poeta Frantisek Hrubin. Minister kultury, przed którym ukrywał się rozpaczliwie, dopadł go w trumnie. Wygłosił nad nią przemówienie o miłości poety do Związku Radzieckiego. Może chciał go obudzić przy pomocy tej bezczelności. Ale świat był tak paskudny, że nikomu nie chciało się zmartwychwstawać.

Tomasz poszedł do krematorium, żeby wziąć udział w pogrzebie sławnego, wyrzuconego z uniwersytetu i z Akademii Nauk biologa. Na klepsydrze nie można było umieścić informacji o godzinie pogrzebu, aby obrządek nie przemienił się w demonstrację i dopiero w ostatniej chwili żywi dowiedzieli się, że nieboszyk zostanie spalony o wpół do siódmej rano.

Po wejściu do sali krematorium Tomasz nie mógł zrozumieć, co tu się dzieje: pomieszczenie było oświetlone jak atelier filmowe. Rozglądał się ze zdziwieniem zauważył, że w trzech miejscach zainstalowano kamery telewizyjne. Nie, to nie była telewizja, to była policja, która filmowała pogrzeb, aby móc potem przestudiować, kto wziął w nim udział. Stary kolega zmarłego naukowca, wciąż jeszcze członek Akademii Nauk, miał odwagę przemówić nad trumną. Nie spodziewał się, że stanie się tego dnia aktorem filmowym.

Kiedy obrządek zakończył się i wszyscy podali już rękę rodzinie zmarłego, Tomasz dostrzegł w kacie sali grupkę mężczyzn, a wśród nich wysokiego, zgarbionego redaktora. Znów poczuł tęsknotę do tych ludzi, którzy nie boją się niczego i są złączeni wielką przyjaźnią. Podeszedł do nich. Uśmiechnął się, chciał się przywitać, ale zgarbiony mężczyzna szepnął:

— Uwaga, panie doktorze, niech pan się lepiej nie zbliża.

Zdanie było dziwne. Mógł je sobie wyjaśnić jako szczere, przyjacielskie ostrzeżenie („niech pan uważa, filmują nas, jeśli będzie pan z nami rozmawiał, może pan mieć jedno dodatkowe przesłuchanie”), ale mogło być zrozumiane ironicznie („skoro nie miał pan dość odwagi, by podpisać petycję, niech pan będzie konsekwentny i nie zadaje się z nami”). Którekolwiek z tych znaczeń było prawdziwe, Tomasz usłuchał i oddalił się. Miał wrażenie, że piękna nieznajoma na peronie wsiadła do sleepingu dalekobieżnego pociągu i w momencie, kiedy chciał jej wyrazić swój podziw, położyła palec na ustach i nie pozwoliła mu mówić.

19.

Tego samego dnia po południu miał jeszcze jedno ciekawe spotkanie. Mył witrynę dużego sklepu z obuwiem, a obok niego zatrzymał się młody mężczyzna. Nachylił się ku wystawie i oglądał ceny.

— Podrożać — powiedział Tomasz, nie przestając swą wycieraczką ściągać z szyby strumyczek wody.

Mężczyzna obejrzał się na niego. Był to jego kolega ze szpitala, ten, którego oznaczyłem literą S., ten, który kiedyś gorszył się z uśmiechem, że Tomasz podpisał swe samokrytyczne oświadczenie. Tomasz ucieszyło to spotkanie (z prostej naiwnej radości, jaką nam sprawiają nieoczekiwane wydarzenia), ale

zauważył w spojrzeniu kolegi (w tej pierwszej sekundzie, w której S. nie zdążył się jeszcze opanować) nieprzyjemne zaskoczenie.

— Jak się masz? – spytał go S.

Zanim jeszcze zdążył odpowiedzieć, wyczuł, że S. wstydzi się swego pytania. Oczywiście, brzmiało głupio, kiedy lekarz, który może pracować, pyta: „Jak się masz?” lekarza, który myje wystawy sklepowe. Żeby go ośmielić, Tomasz odpowiedział możliwie najweselej:

— Mam się świetnie! — ale od razu poczuł, że to „świetnie” brzmi wbrew jego woli (i właśnie dlatego, że starał się to wypowiedzieć wesoło) jak cierpka ironia.

Dlatego szybko dodał:

— Co tam nowego w szpitalu? S. odpowiedział:

— Nic. Wszystko idzie normalnie.

I ta odpowiedź, mimo, że chciała być jak najbardziej neutralna, była całkiem nie na miejscu, obydwaj to wiedzieli i wiedzieli, że to wiedzą: co znaczy, że wszystko idzie normalnie w czasach, gdy jeden z nich myje wystawy?

— A ordynator? – spytał Tomasz.

— To się z nim nie widzisz? – zapytał S.

— Nie – odpowiedział Tomasz.

To prawda, odkąd odszedł ze szpitala, nigdy się z ordynatorem nie widział, mimo że wspaniale im się ze sobą pracowało i uważali się nawet za przyjaciół. Choć robił, co mógł, „nie”, które wypowiedział miało w sobie coś smutnego i Tomasz wyczuł, że S. jest na siebie zły, że wypsnęło mu się to pytanie, ponieważ on, S., podobnie jak ordynator nigdy nie przyszedł zapytać Tomasza, jak mu się powodzi i czy czegoś nie potrzebuje.

Rozmowa pomiędzy dwoma kolegami stała się niemożliwa, choć obydwaj, a Tomasz szczególnie, tego żalowali. Nie gniewał się na swych kolegów, że o nim zapomnieli. Chętnie by to temu młodemu człowiekowi wyjaśnił. Chciał mu powiedzieć: „Nie wstydź się! To normalne i w absolutnym porządku, że nie utrzymujecie ze mną stosunków! Nie miej z tego powodu kompleksów! Cieszę się, że cię widzę”. Ale bał się również to powiedzieć, ponieważ wszystko, co dotychczas powiedział, brzmiało inaczej, niż chciał i również to szczere zdanie jego kolega przyjąłby jak gryzącą ironię.

— Nie gniewaj się – powiedział wreszcie S. – Strasznie się spieszę – i podał mu rękę. – Zadzwoń do ciebie.

Kiedy jego koledzy wówczas pogardzali nim z powodu jego domniemanego tchórzostwa, wszyscy uśmiechali się do niego. Teraz, kiedy już nie mogą nim pogardzać, kiedy nawet są zmuszeni go szanować, unikają go.

Zresztą również i dawni pacjenci już go nie zapraszali i nie witali szampanem. Sytuacja zdeklasowanych intelektualistów przestała być czymś wyjątkowym; stała się trwałym i niemiłym elementem rzeczywistości.

20.

Przyszedł do domu i położył się wcześniej niż zwykle. Mniej więcej po godzinie obudził go ból żołądka. To były jego stare dolegliwości, które zawsze zjawiały się w momentach depresji. Otworzył apteczkę i zaklął. Nie było tam żadnego lekarstwa. Zapomniał się o nie postarać. Starał się zlikwidować atak siłą woli i prawie mu się to udało, ale nie mógł zasnąć. Kiedy Teresa wróciła do domu o wpół do drugiej, miał chęć z nią pogadać. Opowiadał jej o pogrzebie i o tym, jak redaktor nie chciał z nim rozmawiać i o spotkaniu z kolegą S.

— Praga zrobiła się paskudna – powiedziała Teresa.

— To prawda – powiedział Tomasz.

Po małej pauzie Teresa powiedziała cicho:

— Najlepiej by było wynieść się stąd.

— Tak – powiedział Tomasz. – Ale nie ma dokąd.

Siedział na łóżku, a ona przysiadła obok niego i objęła go w pół.

— Na wieś – powiedziała.

— Na wieś? – zdziwił się.

— Tam bylibyśmy sami. Tam byś nie spotkał ani redaktora, ani swych byłych kolegów. Tam są inni ludzie, no i przyroda, która została taka sama jak przedtem.

Tomasz znów poczuł w tym momencie lekki ból żołądka, wydawał się sam sobie stary i miał wrażenie, że nie pragnie niczego oprócz odrobiny spokoju.

— Może masz rację — powiedział z trudem; przy bólu trudno mu było oddychać. Teresa ciągnęła:

— Mielibyśmy tam domek z małym ogródkiem i Karenin by się przynajmniej porządnie wylatał.

— Tak – powiedział Tomasz.

Potem wyobraził sobie, jakby to było, gdyby naprawdę pojechali na wieś. Na wsi nie mógłby mieć co tydzień nowej kochanki. Jego erotyczne przygody musiałyby się skończyć.

Tylko że na wsi byś się ze mną nudził – powiedziała Teresa, jakby czytając jego myśli.

Ból znowu narastał. Nie mógł mówić. Przyszło mu do głowy, że jego gonitwa za kobietami była także jakimś „es muss sein!”, imperatywem, który czynił z niego niewolnika. Pragnął wakacji. Ale pełnych wakacji, a więc pozbycia się wszystkich imperatywów, wszystkich „es muss sein!”. Skoro mógł odpocząć (i to na zawsze) od stołu operacyjnego, dlaczego by nie miał odejść od operacyjnego stołu świata, na którym imaginacyjnym skalpelem otwierał szkatułkę, w której kobiety ukrywały jedną milionową nienaśladowalnego?

— Ciebie boli żołądek! – dopiero teraz poznała Teresa. Przytaknął.

— Zrobiłeś sobie zastrzyk? Pokręcił głową:

— Zapomniałem go załatwić.

Gniewała się na jego niedbalstwo i gładziła go po czole, lekko spoconym z bólu.

— Już mi trochę lepiej – powiedział.

— Połóż się – powiedziała i przykryła go kocem. Poszła potem do łazienki, a po chwili położyła się obok niego.

Odwrocił ku niej głowę na poduszce i zmartwiało: smutek, który bił z jej oczu był nie do zniesienia.

Powiedział:

— Co ci jest, Tereso? Coś się z tobą dzieje w ostatnich czasach. Czuję to, widzę.

— Nie, nic mi nie jest — pokręciła głową.

— Nie kłam!

— To ciągle to samo – powiedziała.

„Ciągle to samo” – oznaczało jej zazdrość i jego zdrady. Ale Tomasz wciąż nalegał:

— Nie, Teresko. Tym razem to co innego. Tak źle jeszcze nie było. Teresa powiedziała:

— Więc ci powiem. Idź umyj głowę.

Nie zrozumiał jej.

Powiedziała smutnie, bez agresji, prawie czule:

— Twoje włosy już od kilku miesięcy mają intensywny zapach. Czuję je kobiecym kroczem. Nie chciałam ci o tym mówić. Ale już wiele nocy muszę wdychać zapach chwoji jakiejś twojej kochanki.

Ledwie to powiedziała, znów rozboleł go żołądek. Był zrozpaczony. Tak starannie się myje! Tak pieczołowicie szoruje całe ciało, ręce, twarz, żeby nie pozostał na nim nawet ślad obcego zapachu. Unika pachnących mydełek w cudzych łazienkach, nosi ze sobą zawsze kawałek zwykłego mydła. Ale o włosach zapomniał! Nie, nie przyszło mu do głowy, żeby pomyśleć o włosach.

I przypomniał sobie kobietę, która siada mu na twarzy i chce, żeby ją kochał całą głową i ciemieniem. Nienawidził jej w tej chwili. Takie idiotyczne pomysły! Wiedział, że nie może się niczego zaprzeczyć. Może tylko zaśmiać się głupio i iść umyć głowę do łazienki.

Pogładziła go znów po czole.

— Leż. Już nie warto. Już się do tego przyzwyczaiłam. Żołądek bołał go i pragnął tylko spokoju.

— Napiszę do tego pacjenta – powiedział – któregośmy spotkali w zdrojowisku. Znasz ten powiat, w którym jest jego wieś?

— Nie – powiedziała Teresa.

Tomasz mówił z trudem. Dał radę powiedzieć tylko:

— Lasy... pagórki...

— Tak, zrobimy to. Wyjedziemy stąd. Ale teraz już nic nie mów — i wciąż gładziła go po czole. Leżeli obok siebie i nic już nie mówili. Ból z wolna odchodził. Wkrótce oboje usnęli.

21.

W środku nocy zbudził się i ze zdziwieniem sobie przypomniał, że miał same erotyczne sny. Pamiętał jasno tylko ostatni: w basenie pływała na plecach ogromna naga kobieta, mniej więcej pięciokrotnie większa od niego, z brzuchem, który był cały porośnięty gęstym owłosieniem, od krocza aż do pępka. Przyglądał jej się z brzegu i czuł silne podniecenie.

Jak to możliwe, że mógł czuć podniecenie w chwili, gdy jego ciało było osłabione przez skurcze żołądka? I jak to możliwe, że mógł go podniecić widok kobiety, która na jawie mogła w nim wzbudzić wyłącznie wstręt?

Powiedział sobie: w mechanizmie zegarowym głowy kręcą się w przeciwnych kierunkach dwa zębate kółeczka. Na jednym z nich są sny, na drugim reakcja ciała. Ząbek, na którym jest wizja nagiej kobiety, dotyka ząbka drugiego kółeczka, na którym jest zapisany imperatyw erekcji. Kiedy przez jakies niedopatrzenie kółeczka przesuną się i ząbek podniecenia wejdzie w kontakt z ząbkim, na którym jest namalowany obraz leżącej jaskółki, nasz członek będzie nabrzmiewać przy widoku jaskółki.

Znał zresztą pracę jednego z kolegów, który zajmował się snem ludzkim i twierdził, że mężczyzna ma erekcję przy jakimkolwiek śnie. Oznacza to, że połączenie erekcji z nagą kobietą jest tylko jednym z tysiąca sposobów, w jaki Stwórca mógł wyregulować zegarowy mechanizm w głowie mężczyzny.

A co ma z tym wspólnego miłość? Nic. Jeśliby w jakiś sposób kółeczko w głowie Tomasza przesunęło się i zaczęłyby się podniecać wyłącznie na widok jaskółki, w jego miłości do Teresy nic się nie zmieni.

Jeśli podniecenie jest mechanizmem, którym bawi się nasz Stwórca, miłość jest tym, co należy tylko do nas i dzięki czemu wymykamy się Stwórcy. Miłość jest naszą wolnością. Miłość jest po drugiej stronie „es muss sein!”

Ale to nie jest całkiem tak. Choć miłość jest czymś innym niż zegarowy mechanizm seksu, którym bawił się Stwórca, jest jednak do tego mechanizmu podłączona. Jest przywiązana do niego jak delikatna naga kobieta do wahadła gigantycznego zegara.

Tomasz powiedział sobie: związanie miłości z seksem było jednym z najbardziej wyrafinowanych pomysłów Stwórcy.

A potem powiedział sobie jeszcze coś: jedynym sposobem, w jaki można by uchronić miłość przed głupotą seksu, byłoby nakręcenie zegara w naszej głowie inaczej i podniecanie się na widok jaskółki.

Z tą słodką myślą usypiał. Na progu snu, w tym cudownym terytorium splątanych wyobrażeń, poczuł naraz pewność, że odkrył rozwiązanie wszystkich zagadek, klucz do tajemnicy, nową utopię, raj: świat, w którym człowiek podnieca się na widok jaskółki i w którym może kochać Teresę bez przeszkód agresywnej głupoty seksu.

Usnął

22.

Było tam kilka półnagich kobiet, kręciły się wokół niego, a on czuł się zmęczony. Żeby uciec przed nimi, otworzył drzwi do sąsiedniego pomieszczenia. Zobaczył tam na tapczanie naprzeciw siebie dziewczynę. Była też półnaga, tylko w majtkach, leżała na boku i opierała się na łokciu. Patrzyła na niego z uśmiechem, jak gdyby wiedziała, że przyjdzie.

Podszedł do niej. Czuł niezmiernie szczęście, że wreszcie ją odnalazł i że może z nią być. Usiadł obok niej, coś do niej mówił i ona mówiła coś do niego. Promieniował z niej spokój. Gesty jej rąk były powolne i harmonijne. Przez całe życie tęsknił do takich gestów. Właśnie tego kobiecego spokoju brakowało mu przez całe życie.

Ale w tym momencie ześliznął się ze snu do jawy. Znalazł się w tym no man's land, gdzie człowiek już nie śpi, ale jeszcze się nie ocknął. Był przerażony, że dziewczyna znika mu z oczu i mówił sobie: na Boga, nie mogę jej utracić! Rozpaczliwie starał się przypomnieć sobie, kim jest ta dziewczyna, gdzie właściwie ją spotkał, co z nią przeżył. Jak to możliwe, że nie wie tego wszystkiego, skoro tak dobrze ją zna? Obiecywał sobie, że zaraz rano do niej zadzwoni. Ale kiedy tylko to sobie powiedział, od razu poczuł lęk, że nie będzie mógł do niej zadzwonić, bo zapomniał jak się nazywa. Ale w jaki sposób mógł zapomnieć imienia kogoś, kogo tak dobrze zna? Potem był już prawie całkiem przebudzony, miał otwarte oczy i mówił sobie: gdzie jestem? Tak, jestem w Pradze, ale czy ta dziewczyna jest w ogóle z Pragi? Czy nie spotkałem jej gdzieś indziej? Czy to nie jest dziewczyna ze Szwajcarii? Trwało jeszcze chwilę, zanim zrozumiał, że nie zna tej dziewczyny, że nie jest ona ani z Pragi ani ze Szwajcarii, że jest to dziewczyna ze snu i z nikąd indziej.

Był tym tak wzburzony, że usiadł na łóżku. Teresa obok niego oddychała głęboko. Myślał o tym, że ta dziewczyna ze snu nie jest podobna do żadnej z kobiet, które spotkał w życiu. Dziewczyna, która wydała mu się najintymniej znajoma była kompletnie obca. Ale do niej właśnie tęsknił od zawsze. Jeśli istnieje jakiś jego osobisty raj, będzie musiał żyć w tym rajku przy jej boku. Ta kobieta ze snu jest „es muss sein!” jego miłości.

Przypomniał sobie znany mit z „Uczty” Platona: ludzie byli najpierw hermafrodytami i bóg przedzielił ich na dwie połowy, które od tego czasu błądzą po świecie szukając się nawzajem. Miłość jest tęsknotą po utraconej połowie nas samych.

Przypuśćmy, że tak jest; że każdy z nas ma gdzieś na świecie partnera, z którym kiedyś tworzył jedno ciało. Ta druga połowa Tomasza, to była dziewczyna ze snu. Ale człowiek nie odnajdzie drugiej połowy siebie samego. Zamiast niej pošłą mu w koszyku po wodzie Teresę. Ale co się stanie, kiedy później naprawdę spotka kobietę, która była mu przeznaczona, drugą połowę siebie? Kogo wybierze? Kobietę z koszyka, czy kobietę z mitu Platona?

Wyobraził sobie, że żyje w idealnym świecie z dziewczyną ze snu. Przed otwartymi oknami ich willi przechodzi Teresa. Jest sama, zatrzymuje się na chodniku i patrzy nań stamtąd nieskończenie smutnym wzrokiem. A on nie wytrzymuje jej spojrzenia. Już znowu czuje jej ból w swoim własnym sercu! Już znów jest we władzy współczucia i przenika do jej duszy. Wskoczy na zewnątrz przez okno. Ale ona powie mu

cierpko, żeby pozostał tam, gdzie jest szczęśliwy i mówiąc to będzie wykonywała szybkie, nerwowe gesty, które go zawsze raziły i które mu się w niej nie podobały. Pochwyci te nerwowe ręce, ściśnie je w dłoniach, aby je uspokoić. I wie, że kiedyś opuści dom swego szczęścia, że opuści raj, w którym żyje z dziewczyną ze snu, że zdradzi „es muss sein!” swej miłości, aby odejść z Teresą, kobietą zrodzoną z połączenia sześciu przypadków.

Siedział wciąż na łóżku i patrzył na kobietę, która leżała obok niego i trzymała go przez sen za rękę. Czuł do niej niewypowiedzianą miłość. Jej sen musiał być w tym momencie bardzo płytki, bo otworzyła oczy i nieprzytomnie popatrzyła na niego.

— Na co patrzysz? – spytała.

Wiedział, że nie powinien jej obudzić, ale odprowadzić z powrotem w sen; starał się dlatego odpowiedzieć jej w taki sposób, aby jego słowa wytworzyły w jej myśli obraz nowego snu.

— Patrzę na gwiazdy – powiedział.

— Nie kłam, jak możesz patrzeć na gwiazdy, kiedy patrzysz w dół.

— Bo jestem w samolocie. Gwiazdy są pod nami – odpowiedział Tomasz.

— Aha, w samolocie... – powiedziała Teresa. Ścisnęła jeszcze mocniej rękę Tomasza i znów usnęła.

Tomasz wiedział, że teraz Teresa wygląda w dół przez małe okrągłe okienko samolotu, który leci wysoko nad gwiazdami.

CZEŚĆ VI

Wielki marsz

1.

Dopiero w 1980 roku mogliśmy dowiedzieć się z „Sunday Times”, jak umarł syn Stalina Jaków. W czasie II wojny światowej umieszczono go jako jeńca w niemieckim obozie razem z oficerami angielskimi. Mieli wspólną ubikację. Syn Stalina zostawiał ją zapaskudzoną. Anglicy nie mieli ochoty patrzeć na ubikację umazaną gównem, nawet jeśli było to gówno syna najpotężniejszego wówczas człowieka świata. Wytknęli mu to. Obrzął się. Wytknęli mu to ponownie i zmusili go, żeby wyczyścić latrynę. Zdenerwował się, pokłócił się z nimi, pobili się. Wreszcie zażądał widzenia z komendantem obozu. Chciał, żeby ich rozsądził, ale zadufany Niemiec odmówił rozmawiania o gównie. Syn Stalina nie potrafił znieść poniżenia. Miotając w niebo straszne rosyjskie przekleństwa rzucił się pędem ku naelektryzowanym drutom, które otaczały obóz. Runął na nie. Jego ciało, które już nigdy nie zanieczyści Anglikom klozetu, zawisło w bezruchu.

2.

Syn Stalina nie miał łatwego życia. Ojciec spłodził go z kobietą, którą potem wedle wszelkich znaków na niebie i ziemi zastrzelił. Młody Stalin był więc synem Boga (gdyż ojciec jego był czczony jak Bóg), a jednocześnie był przez Boga odtrącony. Ludzie bali się go podwójnie: mógł im zaszkodzić swą mocą (jednak był synem Stalina) i swą przyjaźnią (zamiast odtrąconego syna, ojciec mógł ukarać jego przyjaciół). Odtrącenie i wyniesienie, szczęście i nieszczęście, nikt inny nie odczuł konkretniej, jak wymienne są te przeciwieństwa i że od jednego bieguna ludzkiej egzystencji do drugiego jest tylko krok. Potem, na początku wojny, wzięli go do niewoli Niemcy, a inni jeńcy, należący do narodu, który zawsze był mu do głębi duszy wstrętny przez swoją niezrozumiałą powściągliwość, oskarżyli go, że jest nieczysty. Jego, który niósł na swych barkach największy dramat (był zarazem synem Boga i straconym aniołem), miano by sądzić nie za rzeczy podniosłe (dotyczące Boga i aniołów), lecz za gówno? Od najwyższego dramatu do najniższego jest więc tak zawrotnie blisko?

Zawrotnie blisko? Czy bliskość może przyprawić o zawrót głowy?

Może. Kiedy biegun północny zbliży się do południowego na wyciągnięcie dłoni, kula ziemską zniknie, a człowiek ocknie się w pustce, która mu zakręci w głowie i powali go na kolana.

Jeżeli odtrącenie i wyniesienie są jednym i tym samym, jeżeli nie ma różnicy między podniosłością a nikczemnością, jeżeli syn Boga może być sądzony za gówno, egzystencja ludzka traci swą wagę i staje się nieznośnie lekka. W tym momencie syn Stalina zaczyna biec na druty elektryczne, by rzucić na nie swe ciało jak na szalę wagi, której długie ramię jest obciążone nicością świata, który stracił swój wymiar.

Syn Stalina oddał życie za gówno. Ale śmierć za gówno nie jest śmiercią bez sensu. Niemcy, którzy oddawali życie, aby rozszerzyć terytorium swej Rzeszy na wschód, Rosjanie, którzy umierali, aby władza ich ojczyzny sięgała dalej na zachód, tak, ci umierali za głupstwa, ich śmierć jest pozbawiona sensu i ogólniejszego znaczenia. Natomiast śmierć syna Stalina była wobec ogólnego kretynizmu wojny jedyną śmiercią metafizyczną.

3.

Kiedy byłem mały i oglądałem Stary Testament w wersji dla dzieci, ozdobiony rycinami Gustawa Doré, widziałem tam Pana Boga na chmurze. Był to stary człowiek z oczami, nosem i długą brodą, mówiłem więc sobie, że skoro ma usta, musi jeść. A skoro je, musi mieć również kiszki. Ta myśl peszyła, bo choć byłem dzieckiem z rodziny raczej niewierzącej, czułem, że wyobrażenie Bożych kiszek ma w sobie coś ze świętokradztwa.

Bez jakiegokolwiek przygotowania teologicznego, spontanicznie rozumiałem więc już jako dziecko nieodłączność gówna i Boga i płynącą stąd wątpliwość, dotyczącą podstawowej tezy antropologii chrześcijańskiej, według której człowiek został stworzony na podobieństwo boże. Albo — albo: albo człowiek jest stworzony na podobieństwo boże i wówczas Bóg ma kiszki, albo Bóg nie ma kiszki i człowiek nie jest do niego podobny.

Starzy gnostycy odczuwali to równie dobrze jak ja w wieku pięciu lat. Walentyn, wielki mistrz gnozy w II wieku, chcąc rozwiązać ten przekłety problem twierdził, że Jezus jadł, pił, ale nie defekował.

Gówno jest trudniejszym problemem teologicznym niż zło. Bóg obdarzył człowieka wolnością, możemy więc koniec końców przyjąć, że nie jest odpowiedzialny za zło, które człowiek czyni. Ale odpowiedzialność za gówno ponosi w pełni ten, który stworzył człowieka.

4.

Święty Hieronim z IV wieku nie dopuszczał myśli, jakoby Adam z Ewą mieli w raju spółkować. Jahannes Scottus Eriugena, wielki teolog IX wieku, przeciwnie, myśl taką dopuszczał. Wyobrażał sobie jednak, że Adam podnosił członek tak, jak podnosi się rękę lub nogę, to znaczy kiedy chciał i jak chciał. Nie szukajmy za tym wyobrażeniem wiecznego marzenia mężczyzny zżeranego strachem przed impotencją. Myśl Scotta Eriugeny ma inny sens. Jeżeli członek może się podnieść na zwykły rozkaz mózgu, oznacza to, że podniecenie jest na świecie zbyteczne. Członek nie dlatego podnosi się, że jesteśmy podnieceni, ale dlatego, że mu to nakazujemy. Tym, co wielkiemu teologowi wydawało się nie do pogodzenia z rajem, nie było spółkowanie i związana z nim rozkosz. Nie do pogodzenia z rajem było podniecenie. Zapamiętajmy to dobrze: w raju istniała rozkosz, ale nie podniecenie.

W tezie Scotta Eriugeny znajdujemy klucz do jakiegoś teologicznego usprawiedliwienia (inaczej mówiąc teodycei) gówna. Dopóki człowiek przebywał w raju, bądź nie defekował (podobnie jak Jezus według wyobrażeń Walentyna) bądź — co wydaje mi się prawdopodobniejsze — gówno nie było uważane za coś wstrętnego. Bóg dał człowiekowi poznać wstręt w chwili, gdy wygnał go z raju. Człowiek zaczął ukrywać to, czego się wstydział, a w momencie kiedy się obnażył został oślepiiony ogromną łuną. Tak więc zaraz po tym, jak poznał wstręt poznał i podniecenie. Bez gówna — w dosłownym i metaforycznym tego słowa znaczeniu — nie byłoby miłości seksualnej takiej, jaką znamy. Takiej, której towarzyszy bicie serca i olśnienie zmysłów. Opowiadałem już w trzeciej części tej powieści o półnagiej Sabinie, która stoi w meloniku na głowie obok ubranego Tomasza. Coś wtedy przemilczałem. Kiedy patrzyła na siebie w lustrze, czując podniecenie zrodzone z własnej śmieszności, przemknęło jej przez głowę wyobrażenie, że Tomasz ją tak, z tym melonikiem na głowie sadza na misce klozetowej, a ona wypróżnia przed nim kiszki. W tym momencie serce zaczęło jej walić, przestała nad sobą panować, ściągnęła Tomasza na dywan i wkrótce krzyczała z rozkoszy.

5.

Spór między tymi, którzy twierdzą, że świat został stworzony przez Boga, a tymi, którzy uważają, że powstał sam z siebie, dotyczy czegoś, co przekracza nasz rozum i doświadczenie. O wiele wyraźniejsza różnica dzieli tych, którzy wątpią w sens bytu, który został człowiekowi dany (wszystko jedno w jaki sposób, czy przez kogo) od tych, którzy go bez zastrzeżeń akceptują.

Za wszystkimi europejskimi wiarą religijnymi i politycznymi stoi pierwszy rozdział Genesis, z którego wypływa, że świat został stworzony właściwie, że byt jest dobrem, należy więc się mnożyć. Nazwijmy tę podstawową wiarę kategorię zgodą na byt.

Jeśli jeszcze do niedawna słowo „gówno” bywało w książkach wykropkowane, nie działo się to z powodów moralnych. Nie będziecie przecież twierdzić, że gówno jest niemoralne. Niezgoda na gówno ma charakter metafizyczny. Chwila defekowania jest codziennym dowodem na to, że Stwór Boski jest nie do przyjęcia. Albo — albo: albo możemy zgodzić się na gówno (a wtedy nie zamykajmy drzwi do ubikacji!), albo zostaliśmy stworzeni w sposób nie do przyjęcia.

Wynika z tego, że estetycznym ideałem kategorię zgody na byt jest świat, w którym gówno jest zanegowane i wszyscy się zachowują jakby nie istniało. Ten estetyczny ideał nazywa się kiczem.

Jest to niemieckie słowo, zrodzone w samym środku sentymentalnego XIX wieku, które przeniknęło

do wszystkich języków. Ale my w Europie Środkowej rozumiemy w pełni jego metafizyczne znaczenie: kicz jest absolutną negacją gówna w dosłownym i metafizycznym tego słowa znaczeniu; kicz eliminuje ze swego pola widzenia wszystko, co w ludzkiej egzystencji jest esencjonalnie nie do przyjęcia.

6.

Pierwszy wewnętrzny bunt Sabiny przeciw komunizmowi miał charakter nie etyczny, ale estetyczny. Tym, co ją odpychało, była jednak w znacznie mniejszym stopniu brzydota komunistycznego świata (zniszczone zamki zamienione w chlewy) niż maska piękna, którą sobie nakładał, inaczej mówiąc komunistyczny kicz. Jego modelem jest uroczystość zwana Pierwszym Maja.

Widziała pochody pierwszomajowe w czasach, kiedy ludzie byli jeszcze w pełni entuzjazmu albo kiedy jeszcze entuzjazm pilnie udawali. Kobiety były ubrane w czerwone, białe i niebieskie koszulki, tak że widziane z balkonów i okien tworzyły różne figury: gwiazdy pięcioramienne, serca, litery. Między poszczególnymi częściami pochodu szły małe orkiestry grające do marszu. Kiedy pochód zbliżał się do trybuny, najbardziej znudzone twarze rozjaśniał uśmiech, jakby chciały dowieść, że cieszą się jak należy albo dokładniej, że jak należy zgadzają się. Nie szło jednak o zwykłą polityczną zgodę na komunizm, lecz o zgodę na byt jako taki. Święto Pierwszego Maja sięgało korzeniami do głębokiej studni kategorycznej zgody na byt. Niepisanym, niewypowiedzianym hasłem pochodu nie było „niech żyje komunizm!”, lecz „niech żyje życie!”. Siła i pułapka polityki komunistów polegały na tym, że sobie to hasło przywłaszczyli. Ta właśnie idiotyczna tautologia („niech żyje życie!”) przyciągała do pochodu komunistycznego również tych, którym idee komunizmu były obojętne.

7.

Dziesięć lat później (żyła już wówczas w Ameryce) przyjaciel jej przyjaciół, pewien senator amerykański wiózł ją swym ogromnym autem. Na tylnym siedzeniu tłoczyła się czwórka dzieci. Senator zatrzymał wóz, dzieci wysiadły i pobiegły wielkim trawnikiem w stronę stadionu, na którym było sztuczne lodowisko. Senator siedział za kierownicą i patrzył z rozrzewnieniem na te cztery biegnące figurki, a potem odwrócił się do Sabiny:

— Niech Pani na nie spojrzysz. — Zatoczył ręką krąg, który miał objąć stadion, trawnik i dzieci. — To nazywam szczęściem.

Za tym słowami kryła się nie tylko radość z tego, że dzieci biegną, a trawa rośnie, ale również manifestacja zrozumienia wobec kobiety, która przybyła z ziemi komunizmu, gdzie, według wyobrażeń senatora, trawa nie rośnie, a dzieci nie biegają.

Ale Sabina w tej właśnie chwili wyobraziła sobie tego senatora na trybunie na placu w Pradze. To, co rysowało się na jego twarzy, było dokładnie takim samym uśmiechem, jaki komunistyczni przywódcy kierowali z wyżyn swej trybuny do uśmiechających się tak samo obywateli na dole w pochodzie.

8.

Skąd ten senator wiedział, że dzieci oznaczają szczęście? Czy zajrzał im w głąb duszy? A może w chwili, kiedy zniknęły z jego pola widzenia, troje rzuciło się na czwarte i zaczęli się bić?

Senator miał na poparcie swego twierdzenia jeden jedyny argument: uczucie. Tam, gdzie przemawia serce, nie wypada, aby rozum zgłaszał wątpliwości. W krainie kiczu panuje dyktatura serca. Ale uczucie, które budzi kicz, musi być takie, aby mogły je podzielać masy. Dlatego kicz nie może się opierać na sytuacji wyjątkowej, ale na podstawowych obrazach, które ludzie mają wbite w świadomość: niewdzięczna córka, odtrącony ojciec, dzieci biegnące po trawniku, zdradzona ojczyzna, wspomnienie pierwszej miłości.

Kicz wyciska dwie łzy wzruszenia. Pierwsza łza mówi: jakie to piękne, dzieci biegnące po trawniku!

Druża łza mówi: jakie to piękne, wzruszyć się wraz z całą ludzkością dziećmi biegnącymi po trawniku!

Dopiero ta druga łza robi z kiczu kicz.

Braterstwo wszystkich ludzi świata można zbudować wyłącznie na kiczu.

9.

Nikt tego nie wie lepiej niż politycy. Kiedy znajdą się w pobliżu aparatu fotograficznego, zaraz łapią najbliższe dziecko, aby je podnieść do góry i całować w policzki. Kicz jest estetycznym ideałem wszystkich polityków, wszystkich politycznych partii i ruchów.

W społeczeństwie, w którym istnieją obok siebie różne kierunki polityczne i ich wpływy się wzajemnie znoszą albo ograniczają, możemy jeszcze jako tako uciec przed inkwizycją kiczu. Jednostka

może uchronić swa osobowość, a artysta stworzyć nieoczekiwane dzieła. Ale tam, gdzie pełną władzę ma jeden jedyny ruch polityczny, znajdujemy się natychmiast w krainie kiczu totalnego.

Jeżeli mówię totalnego, oznacza to, że wszystko, co narusza kicz, jest eliminowane z życia: każdy przejaw indywidualizmu (dlatego, że każda odrębność jest plunięciem w twarz uśmiechającemu się braterstwu), każda wątpliwość (dlatego, że kto zaczyna wątpić w drobiazgi, musi skończyć na zwątpieniu w życie jako takie), ironia (dlatego, że w krainie kiczu wszystko należy traktować ze śmiertelną powagą), ale i matka, która porzuciła rodzinę albo mężczyzna, który woli mężczyzn od kobiet i zagraża świętemu przykazaniu kochajcie się i rozmnażajcie się.

Z tego punktu widzenia możemy uważać tak zwany gułag za rodzaj fosy septycznej, do której kicz totalny wyrzuca odpadki.

10.

Pierwsze dziesięciolecie po II wojnie światowej było okresem najstraszniejszego terroru stalinowskiego. Wtedy zamknęli za jakieś głupstwo ojca Teresy, a ją, dziesięcioletnią dziewczynkę, wyrzucili z mieszkania. W tym samym czasie dwudziestolletnia Sabina studiowała na Akademii Sztuk Pięknych. Profesor marksizmu wyjaśniał jej i jej kolegom taką oto tezę sztuki socjalistycznej: radzieckie społeczeństwo zaszło tak daleko, że podstawowy konflikt, jaki tam istnieje, nie jest konfliktem między dobrym a złym, ale między dobrym a lepszym. Gówno (to znaczy to, co jest esencjonalnie nie do przyjęcia) mogło więc istnieć tylko „po drugiej stronie” (na przykład w Ameryce) i tylko stamtąd, z zewnątrz, przenikać jako coś obcego (na przykład w postaci szpiegów) do świata dobrych i lepszych.

I rzeczywiście, radzieckie filmy, które w tych najokrutniejszych czasach zalały kina wszystkich krajów komunistycznych, tchnęły niewiarygodną niewinnością. Największy konflikt, który mógł się rozgrywać między dwoma Rosjanami, to było nieporozumienie miłosne: on sądził, że ona go już nie kocha, ona o nim myślała tak samo. Na końcu padali sobie w objęcia i lali łzy szczęścia.

Konwencjonalna interpretacja tych filmów jest dzisiaj taka: pokazują ideał komunistyczny, gdy tymczasem rzeczywistość komunizmu była o wiele gorsza.

Sabina buntowała się przeciwko takiej interpretacji. Kiedy wyobraziła sobie, że świat radzieckich kiczów miałby się stać rzeczywistością, a ona miałaby w niej żyć, mróz jej chodził po plecach. Bez najmniejszego wahania wybrałaby życie w rzeczywistym reżymie komunistycznym z wszystkimi jego prześladowaniami i kolejkami po mięso. W rzeczywistym komunistycznym świecie da się żyć. W świecie spełnionego komunistycznego ideału, w tym świecie uśmiechniętych idiotów, z którymi nie mogłaby zamienić słowa, w ciągu tygodnia umarłaby z przerażenia.

Wydaje się, że uczucie, które w Sabinie budził radziecki kicz, jest podobne do przerażenia, które przeżywała Teresa we śnie, kiedy maszerowała z nagimi kobietami wokół basenu i była zmuszona do śpiewania wesołych pieśni. Pod powierzchnią unosiły się trupy. Teresa nie mogła zwrócić się do żadnej z kobiet z jakimkolwiek słowem, z jakimkolwiek pytaniem. Usłyszałaby w odpowiedzi tylko kolejną strofę pieśni. Nie mogła do żadnej nawet ukradkiem mrugnąć. Zaraz by na nią wskazały, żeby mężczyzna zawieszony w koszu nad basenem ją zastrzelił.

Sen Teresy odsłania prawdziwą funkcję kiczu: kicz jest parawanem zasłaniającym śmierć.

W krainie totalnego kiczu odpowiedzi są z góry znane i wykluczają jakiekolwiek pytania. Wynika z tego, że rzeczywistym przeciwnikiem totalnego kiczu jest człowiek, który pyta. Pytanie jest jak nóż, który rozcina płótno namalowanej dekoracji, abyśmy mogli zajrzeć, co się za nią kryje. Tak zresztą wyjaśniła kiedyś Sabina Teresie sens swoich obrazów: na pierwszym planie jest zrozumiałe kłamstwo, a zza niego prześwituje niezrozumiała prawda.

Tyle, że ci, którzy walczą przeciwko tak zwanym totalnym reżymom, z trudem mogliby walczyć za pomocą pytań i wątpliwości. Oni również potrzebują pewników i prostych prawd, które byłyby zrozumiałe dla jak najszerzych kręgów i wywoływałyby kolektywne łkanie.

Pewnego razu jakaś polityczna organizacja w Niemczech urządziła Sabinie wystawę. Sabina wzięła w ręce katalog: było tam jej zdjęcie, przekreślone rysunkiem drutów kolczastych. W środku wydrukowano jej życiorys, podobny do życiorysów męczenników i świętych: cierpiała, walczyła z niesprawiedliwością, musiała opuścić umęczoną ojczyznę i walczy w dalszym ciągu. „Za pomocą swych obrazów walczy o szczęście” — takie było ostatnie zdanie tego tekstu.

Protestowała, ale nie rozumiano jej.

Czyż nie jest prawdą, że w komunizmie sztuka nowoczesna jest prześladowana?

Odpowiedziała z wściekłością:

— Moim wrogiem nie jest komunizm, ale kicz!

Od tego czasu zaczęła mistyfikować swój życiorys, a kiedy później znalazła się w Ameryce, udało się jej nawet ukryć, że jest Czeszką. Nie było to nic innego, niż rozpaczliwe pragnienie, by uciec przed kiczem, w który ludzie chcieli zamienić jej życie.

11.

Stała przed sztalugami z rozpoczętym płótnem. Za jej plecami siedział w fotelu stary mężczyzna i obserwował każde pociągnięcie jej pędzla.

Potem spojrzął na zegarek:

— Myślę, że już powinniśmy iść — powiedział.

Odłożyła paletę i poszła się umyć do łazienki. Stary mężczyzna podniósł się z fotela i sięgnął po laskę opartą o stół. Drzwi pracowni prowadziły wprost na trawnik. Zmierzchało. Naprzeciw, o dwadzieścia metrów dalej stał biały drewniany dom z oświetlonymi oknami parteru. Te dwa okna, świecące w zapadającym zmierzchu, wzruszyły Sabinę.

Twierdzi przez całe życie, że jej wrogiem jest kicz. Ale czyż nie niesie go sama w sobie? Jej kiczem jest obraz domu, spokojnego, słodkiego, harmonijnego domu, w którym panują dobra matka i mądry ojciec. Ten obraz obudził się w niej po śmierci rodziców.

Czym mniej jej własne życie przypominało ten słodki sen, tym wrażliwsza była na jego czar i kilkakrotnie miała łzy w oczach, kiedy oglądała w telewizji sentymentalną historyjkę, w której niewdzięczna córka obejmuje opuszczonego ojca i w zapadającym zmierzchu zapalają się światła domu tej szczęśliwej rodziny.

Starego mężczyznę poznała w Nowym Jorku. Był bogaty i lubił obrazy. Mieszkał sam ze swą równie starą żoną w willi na wsi. Obok domu stała stara stajnia. Przerobił ją na pracownię dla Sabiny, zaprosił ją tam i obserwował całymi dniami ruchy jej pędzla.

Teraz właśnie wszyscy troje jedzą kolację. Staruszka mówi do Sabiny „córeńko”, ale wszystko wskazuje na to, że jest inaczej: Sabina jest tu jakby mamą, a tych dwoje dzieci od niej zależy, podziwiają ją i słuchałyby jej chętnie, gdyby zechciała im rozkazywać.

Odnalazła więc w końcu starych rodziców, którym kiedyś, jako dziewczyna, wyrwała się z rąk? Odnalazła, wreszcie dzieci, których sama nigdy nie miała?

Wiedziała dobrze, że to złudzenie. Jej pobyt u staruszków jest tylko krótkim przystankiem. Staruszek jest poważnie chory, a jego żona, gdy już zostanie sama, pojedzie do syna do Kanady. Sabina pójdzie dalej drogą zdrad, a w nieznośnej lekkości jej istnienia będzie pobrzmiwać od czasu do czasu śmieszna, sentymentalna piosenka o dwóch rozświetlonych oknach, za którymi żyje szczęśliwa rodzina.

Ta piosenka ją wzrusza, ale Sabina nie traktuje swego wzruszenia poważnie. Wie aż za dobrze, że ta piosenka jest pięknym kłamstwem. W chwili, kiedy pojmujemy, że kicz jest kłamstwem, przestaje on być kiczem. Traci swą autorytatywną władzę i jest wzruszający jak każda inna ludzka słabość. Bo przecież nikt z nas nie jest nadczłowiekiem i nie może w pełni ustrzec się kiczu. Choćbyśmy nim nie wiem jak pogardzali, kicz przynależy do ludzkiego losu.

12.

Źródłem kiczu jest autorytatywna zgoda na byt.

Ale co jest podstawą bytu? Bóg? Człowiek? Walka? Miłość? Mężczyzna? Kobieta?

Poglądy na to są różne i dlatego różne są kicze: katolicki, protestancki, żydowski, komunistyczny, faszystowski, demokratyczny, feministyczny, europejski, amerykański, narodowy, internacjonalistyczny.

Od czasów Rewolucji Francuskiej jedna połowa Europy nazywa siebie lewicą, gdy tymczasem drugą oznacza się mianem prawicy. Jest niemal niemożliwością zdefiniowanie którejkolwiek z nich za pomocą jakiejś wspólnej zasady teoretycznej. Nie ma w tym niczego dziwnego: ruchy polityczne nie opierają się na racjonalnych zasadach, ale na wyobrażeniach, obrazach, słowach, archetypach, które wspólnie tworzą ten czy inny polityczny kicz.

Wizja Wielkiego Marszu, którą tak upajał się Franz, jest politycznym kiczem łączącym lewicowców wszystkich czasów i orientacji. Wielki Marsz to wspaniała droga naprzód, pochod ku braterstwu, równości, sprawiedliwości, szczęściu i jeszcze dalej, przez wszystkie przeszkody, albowiem przeszkody być muszą, jeśli marsz ma się stać Wielkim Marszem.

Dyktatura proletariatu czy demokracja? Niezgoda na społeczeństwo konsumpcyjne czy wzrost wydajności pracy? Gilotyna czy zniesienie kary śmierci? To w ogóle nie jest ważne. Prawdziwego człowieka lewicy poznaje się nie po takiej czy innej teorii, ale po jego zdolności przekształcenia każdej teorii w element kiczu zwanego Wielkim Marszem naprzód.

13.

Franz nie jest jednak człowiekiem kiczu. Idea Wielkiego Marszu odgrywa w jego życiu mniej więcej taką rolę jak w życiu Sabiny sentymentalna piosenka o dwóch rozświetlonych oknach. Na którą partię

polityczną Franz oddaje swój głos? Boję się, że nie głosuje w ogóle, a w dniu wyborów woli pojechać na wycieczkę w góry. Co nie oznacza, że nie wzrusza go Wielki Marsz. Przecież to było tak piękne, marzyć o tym, że jesteśmy częścią maszerującego przez stulecia pochodu. Franz nigdy nie zapomniał piękna tej wizji.

Pewnego dnia zadzwonili do niego przyjaciele z Paryża. Organizują marsz do Kambodży i proszą go, by się do nich przyłączył. Kambodża w tym czasie miała za sobą wojnę domową, bombardowania amerykańskie, szaleństwa tubylczych komunistów, którzy zredukowali ten mały naród o jedną piątą i wreszcie okupację przez sąsiedni Wietnam, który w tym okresie nie był już sam niczym innym jak wasalem Rosji. W Kambodży panował głód, ludzie umierali bez pomocy lekarskiej. Międzynarodowa organizacja lekarzy domagała się już wielokrotnie, aby umożliwiono jej członkom przyjazd do tego kraju, ale Wietnamczycy się nie zgodzili.

Dlatego też wielu intelektualistów zachodni postanowili udać się w pieszy pochód ku kambodżańskim granicom i za pomocą tego wielkiego spektaklu odgrywanego na oczach świata wymusić zgodę na wpuszczenie lekarzy na terytorium okupowanego kraju.

Przyjaciel, który dzwonił do Franza, był jednym z tych, z którymi kiedyś wspólnie maszerowali w pochodach po ulicach Paryża. Jego zaproszenie najpierw zachwyciło Franza. Ale potem jego wzrok padł na studentkę w wielkich okularach. Siedziała w fotelu naprzeciw i jej oczy za wielkimi okularami wydawały się jeszcze większe. Franz miał uczucie, że te oczy błagają go, by nigdzie nie jechał. Odmówił więc.

Zaczął żałować zaraz po odłożeniu słuchawki. Spełnił co prawda pragnienie swej ziemskiej kochanki, ale zaniedbał swą miłość niebiańską. Czyż Kambodża nie jest wariantem ojczyzny Sabiny? Kraj okupowany przez sąsiednią komunistyczną armię! Kraj, na który spadła pięść Rosji! Franz nagle rozumie, że jego na wpół zapomniany przyjaciel zadzwonił do niego pod wpływem jakiegoś tajemnego polecenia.

Niebiańskie istoty wiedzą wszystko i widzą wszystko. Gdyby wziął udział w tym marszu, Sabina zobaczyłaby go i byłaby z niego zadowolona. Zrozumiałaby, że pozostał jej wierny.

— Bardzo byś się gniewała, gdybym jednak pojechał? – zapytał swą dziewczynę w okularach, która żałuje każdego dnia spędzonego bez niego, ale nie umie mu niczego odmówić.

W kilka dni później siedział w wielkim samolocie na lotnisku paryskim. Było tam dwudziestu lekarzy i około pięćdziesięciu intelektualistów (profesorów, pisarzy, posłów, śpiewaków, aktorów i działaczy). Towarzyszyło im czterystu dziennikarzy i fotoreporterów.

14.

Samolot wylądował w Bangkoku. Czterystu siedemdziesięciu lekarzy, intelektualistów i dziennikarzy udało się do wielkiej sali międzynarodowego hotelu, w której już czekali inni lekarze, aktorzy, śpiewacy i filolodzy, a wraz z nimi jeszcze kilkuset dziennikarzy z notesami, magnetofonami, aparatami fotograficznymi i kamerami filmowymi. Na przedzie sali stało podium, na nim długi stół, a za stołem zasiadło z dwudziestu Amerykanów, którzy już zaczęli prowadzić konferencję.

Francuscy intelektualiści, z którymi Franz tu wszedł, poczuli się poniżeni i odsunięci. Marsz na Kambodżę był ich pomysłem, a tu nagle Amerykanie ze wspaniałą oczywistością przejęli prowadzenie i jeszcze do tego mówią po angielsku i w ogóle im nie przychodzi do głowy, że jakiś Francuz czy Duńczyk może ich nie rozumieć. Duńczycy już dawno zapomnieli, że kiedyś tworzyli naród, tak więc jedynymi Europejczykami, którzy zdobyli się na protest byli Francuzi. Byli przy tym tak pryncypialni, że odmówili protestowania po angielsku i zwracali się do Amerykanów siedzących za stołem w swym języku ojczystym. Amerykanie reagowali na ich słowa sympatycznymi i zgodliwymi uśmiechami, ponieważ nic nie rozumieli. Francuzom nie pozostało w końcu nic innego, jak wyartykułować po angielsku:

— Dlaczego na konferencji mówi się po angielsku, skoro są tu również Francuzi?

Amerykanie byli zaskoczeni tą dziwną pretensją, ale nie przestając się uśmiechać zgodzili się, by wszystkie przemówienia tłumaczono. Długo szukano tłumacza, wreszcie podjęto znowu obrady. Każde zdanie musiało zabrzmieć po angielsku i po francusku, dzięki czemu zebranie dwukrotnie się przedłużyło, a właściwie bardziej niż dwukrotnie: ponieważ wszyscy Francuzi znali angielski, przerywali tłumaczowi, poprawiali go i kłócili się o każde słowo.

Punktem kulminacyjnym zebrania był moment, kiedy na podium wstąpiła słynna amerykańska aktorka. W związku z nią do sali zaczęli się pchać kolejni fotoreporterzy i operatorzy i na każdą wypowiedzianą przez aktorkę sylabę przypadało pstryknięcie aparatu. Aktorka mówiła o cierpiących dzieciach, o barbarzyństwie dyktatury komunistycznej, o prawach człowieka, o zagrożeniu tradycyjnej wartości naszej cywilizacji, o wolności jednostki ludzkiej i o prezydencie Carterze, którego bardzo martwi to, co się w Kambodży dzieje. Ostatnie słowa wypowiedziała płacząc.

W tym momencie podniósł się młody francuski lekarz z rudawymi węsami i zaczął krzyczeć:

— Przyszliśmy tu, żeby leczyć umierających ludzi! Nie jesteśmy tu dla sławy prezydenta Cartera! To nie miał być żaden amerykański cyrk propagandowy! Nie przyszliśmy tu po to, żeby walczyć z komunizmem, ale żeby leczyć chorych!

Do wąsatego lekarza dołączyli się inni Francuzi. Tłumacz przestraszył się i nie miał odwagi tego przekładać. Dlatego też dwudziestu Amerykanów na podium patrzyło na krzyczących z uśmiechami pełnymi sympatii, a niektórzy kiwali potakująco głowami. Jeden nawet podniósł w górę pięść, bo wiedział, że Europejczycy robią to chętnie w chwilach kolektywnej euforii.

15.

Jak to jest w ogóle możliwe, że lewicowi intelektualiści (do których należy wąsaty lekarz) są skłonni maszerować przeciwko interesom jakiegokolwiek komunistycznego kraju, skoro dotychczas komunizm należał do nieodłącznego arsenału lewicy?

W momencie, kiedy zbrodnie ziemi zwanej Związek Radziecki stały się już zbyt skandaliczne, człowiek lewicy ma dwie możliwości: albo splunąć na swe dotychczasowe życie i przestać maszerować, albo (z mniejszym lub większym zażenowaniem) wciągnąć Związek Radziecki pomiędzy przeszkody na drodze Wielkiego Marszu i maszerować dalej.

Powiedziałem już przecież, że tym, co robi z lewicy lewicę, jest kicz Wielkiego Marszu. O naturze kiczu nie stanowi strategia polityczna, ale obrazy, metafory, słownik. Można więc naruszyć obyczaj i maszerować wbrew interesom któregoś komunistycznego kraju. Ale nie można zamienić słowa na inne słowo. Można grozić pięściami armii wietnamskiej. Nie można na nią krzyczyć: „Precz z komunizmem!”. „Precz z komunizmem!” jest hasłem wrogów Wielkiego Marszu, a ten, kto nie chce stracić twarzy, musi zachować wierność czystości swojego kiczu.

Mówię to tylko dlatego, żeby wyjaśnić nieporozumienie między francuskim lekarzem i amerykańską aktorką, która w swym egocentryzmie była pewna, że padła ofiarą zawiści albo i mizoginii. W rzeczywistości Francuz wykazał wyrafinowany smak estetyczny: słowa „prezydent Carter”, „nasze tradycyjne wartości”, „barbarzyństwo komunizmu” należą do słownika amerykańskiego kiczu i nie mają czego szukać w kiczu Wielkiego Marszu.

16.

Następnego dnia rano wszyscy wsiedli do autokarów i ruszyli przez Tajlandię do granicy Kambodży. Pod wieczór dotarli do małej wioski, w której mieli wynajęte kilka domów na palach. Rzeka grożąca wciąż powodzią zmusiła ludzi, aby mieszkali na górze, podczas gdy na dole pod palami tłoczyły się prosięta. Franz spał w jednej izbie z czterema innymi profesorami. Do snu kołysało go chrząkanie wieprzów na dole i chrapanie słynnego matematyka z boku.

Rankiem znów wszyscy wsiedli do autokarów. Na dwa kilometry przed granicą ruch kołowy był zabroniony. Wiodła tędy już tylko wąska szosa prowadząca do przejścia granicznego i pilnowana przez wojsko. Autokary zatrzymały się. Kiedy Francuzi wysiedli, stwierdzili, że Amerykanie znowu ich wyprzedzili i czekają już ustawieni na czele pochodu. Przyszła najtrudniejsza chwila. Tłumacz jest znów z nimi, kłótnia się rozkręca. Wreszcie doszli do porozumienia: czoło pochodu będzie tworzył jeden Amerykanin, jeden Francuz i kambodżańska tłumaczka. Za nimi szli lekarze, a dopiero potem cała reszta; aktorka amerykańska znalazła się na końcu.

Szosa była wąska a wzdłuż niej ciągnęły się pola minowe. Co chwila napotykali przeszkody: drogę tarasowały dwa bloki betonowe z drutem kolczastym, między którymi było ciasne przejście. Musieli iść gęsiego.

Mniej więcej pięć metrów przed Franzem siedł sławny niemiecki poeta i śpiewak, który napisał już 930 pieśni w obronie pokoju i przeciwko wojnie. Na długiej tyczce niósł białą chorągiew, która ładnie pasowała do jego czarnego zarostu i odróżniała go od reszty.

Wokół tego drugiego pochodu biegli reporterzy z kamerami. Szczękali i warczeli swymi aparatami, wybiegali w przód, zatrzymywali się, przykucali, znów wstawali i biegli do przodu. Od czasu do czasu wołali po imieniu którąś ze sław, mężczyznę czy kobietę, tak by tamci machinalnie odwracali się w ich stronę: w tym momencie naciskali na spust migawki.

17.

Coś wisiało w powietrzu. Ludzie zwalniali i oglądali się za siebie.

Amerykańska aktorka, którą umieszczono na końcu pochodu, zdecydowała nie godzić się dłużej na to poniżenie i ruszyła do ataku. Zaczęła biec. Wyglądało to jak bieg na pięć kilometrów, kiedy zawodnik, który aż do tej chwili oszczędzał siły i trzymał się końca peletonu, rusza do przodu i wszystkich przegania.

Mężczyźni uśmiechali się z zażenowaniem i schodzili z drogi, by umożliwić słynnej biegaczce zwycięstwo, ale kobiety krzyczały:

— Do szeregu! To nie jest marsz dla gwiazd filmowych!

Aktorka nie dała się zastraszyć i biegła wciąż naprzód, a wraz z nią pięciu fotoreporterów i dwóch operatorów.

Potem pewna francuska profesor lingwistyki chwyciła aktorkę za przegub ręki i powiedziała do niej (upiorną angielszczyzną):

— To jest pochód lekarzy, którzy chcą leczyć śmiertelnie chorych Kambodżańczyków, a nie spektakl dla hollywoodzkich gwiazd!

Profesor lingwistyki trzymała przeguby aktorki jak w kleszczach i ta nie miała dość sił, by się wyrwać.

Powiedziała (świetną angielszczyzną):

— Niech się pani da wypchać. Byłam już na setkach takich marszów! Wszędzie chodzi o to, żeby gwiazdy były widoczne! Na tym polega nasza rola! To jest nasz moralny obowiązek!

— Gówno! — powiedziała profesor lingwistyki (świetną francuszczyzną).

Aktorka amerykańska zrozumiała to i rozplakała się.

— Nie ruszaj się! — krzyknął operator i ukląkł przed nią. Aktorka wpatrzyła się w obiektyw powłóczęstym spojrzeniem, a po twarzy płynęły jej łzy.

18.

Profesor lingwistyki puściła wreszcie przeguby amerykańskiej aktorki. W tym momencie zawołał coś do niej niemiecki piosenkarz z czarną brodą i białą chorągwią.

Aktorka amerykańska nigdy o nim nie słyszała, ale w momencie poniżenia była wrażliwsza niż zazwyczaj na przejawy sympatii i podbiegła do niego. Piosenkarz przełożył drzewce chorągwi do lewej ręki, a prawą objął aktorkę.

Wokół aktorki i piosenkarza podskakiwali wciąż reporterzy i operatorzy. Słynny fotograf amerykański chciał zmieścić w wizjerze obydwie ich twarze wraz z chorągwią, co nie było łatwe, ponieważ drzewce było długie. Pobiegł więc tyłem na ryżowe pole. Traf chciał, że nastąpił na minę. Rozległ się wybuch i jego ciało rozszarpane na kawałki rozprysnęło się wokół, kropiąc prysznicem krwi europejskich intelektualistów.

Piosenkarz i aktorka złękli się i nie byli w stanie ruszyć z miejsca. Potem obydwójce podnieśli wzrok ku chorągwi. Była poplamiona krwią. Ten widok znów ich przestraszył. Potem jeszcze kilkakrotnie spoglądali nieśmiało w górę, aż zaczęli się uśmiechać. Napelniła ich szczególna i nieznaną im dotychczas duma, że oto chorągiew, którą niosą jest poświęcona krwią. Ruszyli do przodu.

19.

Granicę tworzyła mała rzeczka, ale nie było jej widać, ponieważ wzdłuż niej ciągnął się długi mur. Miał półtora metra wysokości, a na górze ułożono worki z piaskiem dla strzelców tajlandzkich. Mur był przerwany tylko w jednym miejscu. Przebiegał tam przez rzeczkę most. Nikt nie miał prawa nań wejść. Po drugiej stronie rzeki stało niewidoczne wojsko wietnamskie. Jego pozycje były idealnie zamaskowane, ale wiadomo było, że gdyby ktoś wszedł na most, niewidoczni Wietnamczycy zaczęliby strzelać.

Uczestnicy pochodu podchodzili do muru i wspinali się na palce. Franz wcisnął głowę w szparę między workami, starając się coś zobaczyć. Nie zobaczył niczego, ponieważ zaraz odepchnął go jeden z fotografów, który czuł się w prawie zająć jego miejsce.

Franz obejrzał się za siebie. Koronę samotnego drzewa jak chmara ogromnych wron obsiadło siedmiu fotoreporterów z oczyma utkwionymi w przestrzeń po drugiej stronie granicy.

W tym momencie idąca na przedzie pochodu tłumaczka podniosła do ust szeroką tubę i zawołała po kmersku na drugą stronę rzeki: Są tu lekarze, którzy domagają się, aby pozwolono im wejść na terytorium Kambodży, by mogli spełnić swój lekarski obowiązek; ich akcja nie ma nic wspólnego z żadną ingerencją polityczną, chodzi wyłącznie o ratowanie ludzkiego życia.

Z drugiej strony odpowiedziała głucha cisza. Cisza tak całkowita, że wszyscy poczuli przygnębienie. Szczęk spustów aparatów fotograficznych rozbrzmiewał w niej jak brzęczenie jakichś egzotycznych owadów.

Franz poczuł nagle, że Wielki Marsz doszedł do kresu. Wokół Europy zaciąga się kurtyna ciszy i przestrzeni, na której odbywa się Wielki Marsz nie jest niczym innym jak malutkim podium pośrodku planety. Tłumy, które kiedyś otaczały tę scenę, dawno już odwróciły się i skierowały spojrzenia zupełnie gdzie indziej, a Wielki Marsz idzie dalej samotnie i bez publiczności. Tak, mówi sobie Franz, Wielki Marsz wciąż kroczy naprzód, mimo obojętności świata, ale staje się gorączkowy, nerwowy: wczoraj przeciwko Amerykanom okupującym Wietnam, dziś przeciwko Wietnamowi okupującemu Kambodżę, wczoraj za Izrael, dziś za Palestyńczyków, wczoraj za Kubę, jutro przeciw Kubie, zawsze przeciwko Ameryce, raz przeciwko masakrom, raz na poparcie innych masakr. Europa maszeruje, a żeby nadażyć za rytmem

wydarzeń, żeby żadnego nie opuścić, musi przyspieszać kroku, potyka się. tak że Wielki Marsz jest już marszem podskakujących, zagonionych rodaków, a scena coraz bardziej się kurczy, aby któregoś dnia stać się małym, niewymiernym punkcikiem.

20.

Tłumaczka ponownie wykrzyczała do tuby swój apel. W odpowiedzi znów zabrzmiała niezmierna i nieskończenie obojętna cisza. Franz rozejrzał się. To milczenie z drugiej strony rzeki było dla wszystkich jak policzek. Nawet piosenkarz z białą flagą i aktorka amerykańska stali zawstydzeni, zażenowani i nie wiedzieli jak się zachować.

Franz odczuł nagle ich wspólną śmieszność, ale świadomość tej śmieszności nie oddzielała go od reszty, nie napawała ironią, przeciwnie, właśnie teraz poczuł do nich wszystkich bezmierną miłość jaką odczuwamy do ludzi, którzy są skazani. Tak, Wielki Marsz zbliżał się do końca, ale czy to powód, aby Franz miał go zdradzić? Czyż jego własne życie również zbliża się do końca? Czy ma wyśmiewać ekshibicjonizm tych, którzy odprowadzili dzielnych lekarzy do granicy? Czy ludzie mogą w ogóle robić coś innego, i odgrywać teatr? Czy pozostaje im jakaś lepsza możliwość?

Franz ma rację. Myślę o redaktorze, który organizował zbieranie podpisów pod petycją domagającą się amnestii dla więźniów politycznych w Pradze. Wiedział dobrze, że jego akcja nie pomoże więźniom. Rzeczywistym celem nie było ich uwolnienie, ale udowodnienie, że są tu jeszcze ludzie, którzy się nie boją. To, co robił było teatrem. Ale nie miał innej możliwości. Nie miał wyboru pomiędzy czynem a teatrem. Miał do wyboru: albo odgrywać teatr albo nie robić nic. Istnieją sytuacje, w których ludzie są skazani na odgrywanie teatru. Ich walka z milczącą siłą (z milczącą siłą po drugiej stronie rzeki, z policją przemienioną w milczące mikrofony w ścianach) jest walką trupy teatralnej, która porywa się na armaty.

Franz zobaczył swego przyjaciela z Sorbony, jak podnosi pięść i wygraża tej ciszy po drugiej stronie.

21.

Tłumaczka wykrzyczała swój apel do megafonu po raz trzeci. Cisza, która znów jej odpowiedziała, zmieniła nagle przygnębienie Franza w dziką wściekłość. Stał tuż obok mostku, który oddzielał Tajlandię od Kambodży i ogarnęło go przemożne pragnienie, żeby wbiec na ten mostek, cisnąć w niebo straszliwe przekleństwo i umrzeć w przeraźliwym huku wystrzału.

To nagle pragnienie Franza coś nam przypomina; tak, przypomina nam syna Stalina, który biegł, by zawisnąć na drutach elektrycznych, bo nie mógł patrzeć na to, jak bieguny ludzkiej egzystencji zbliżają się do siebie na wyciągnięcie dłoni, aż znika granica pomiędzy wzniosłym a niskim, pomiędzy aniołem a muchą, między Bogiem a gównem.

Franz nie mógł się pogodzić z faktem, że sława Wielkiego Marszu nie jest niczym innym niż komiczną próżnością tych, którzy w nim kroczą i że uroczysty łopot europejskiej historii niknie w bezmiernej ciszy, tak że przestaje już istnieć różnica pomiędzy historią a milczeniem. W tym momencie chciał rzucić na szalę swe własne życie, żeby udowodnić, że Wielki Marsz waży więcej niż gówno.

Ale człowiekowi nie może się to udać. Na jednej szali było gówno, na drugą syn Stalina położył się całym swym ciałem i jęczyczek u wagi nawet nie drgnął.

Zamiast dać się zastrzelić, Franz opuścił głowę i odchodził wraz z resztą z powrotem gęsiego do autokarów.

22.

Wszyscy potrzebujemy, żeby ktoś na nas patrzył. Można by nas było podzielić na cztery kategorie, w zależności od tego, pod jakim typem spojrzeń pragniemy żyć.

Pierwsza kategoria marzy o spojrzeniu nieskończonej ilości anonimowych oczu, mówiąc inaczej, o spojrzeniu publiczności. Taki jest przypadek niemieckiego piosenkarza, aktorki amerykańskiej, ale również i redaktora z długą brodą. Przyzwyczał się do swych czytelników i kiedy pewnego dnia Rosjanie zabrali mu jego tygodnik, miał wrażenie, że powietrze, którym oddychał stało się stokrotnie rzadsze. Nikt nie mógł mu zastąpić oczu czytelników. Zdawało mu się, że się udusi. Potem uświadomił sobie pewnego dnia, że każdy jego krok jest śledzony przez policję, że podsłuchują jego rozmowy telefoniczne, a nawet fotografują go tajnie na ulicy. Anonimowe spojrzenia znów go obserwowały i znów mógł oddychać! Zwracał się teatralnie do mikrofonów w ścianach. Odnalazł w osobie policji swa utraconą publiczność.

Drugą kategorię tworzą ci, którym potrzebne jest do życia wiele spojrzeń znajomych oczu. Są to niezmordowani organizatorzy koktajli, przyjęć i kolacji. Są szczęśliwsi od ludzi pierwszej kategorii, którzy w momencie straty publiczności mają wrażenie, że w salonie ich życia zgaszono nagle wszystkie światła. Prawie każdego spośród nich kiedyś to spotyka. Ludzie drugiej kategorii natomiast zawsze postarają się o

jakieś tam spojrzenia. Należy do tych ludzi Marie-Claude i jej córka.

Potem mamy trzecią kategorię – tych, którym do istnienia potrzebne jest spojrzenie ukochanego człowieka. Ich sytuacja jest równie niebezpieczna jak sytuacja ludzi pierwszej kategorii. Kiedyś przecież oczy ukochanego człowieka zamkną się i w sali zapanuje ciemność. Do tych ludzi należą Teresa i Tomasz.

I wreszcie czwarta kategoria, najcenniejsza: ci, którzy żyją w świetle wyimaginowanego spojrzenia nieobecnych. To marzyciele. Na przykład Franz. Pojechał do granicy Kambodży tylko ze względu na Sabinę. Autokar trzęsie się na tajlandzkich wybojach, a on czuje wpatrzony w siebie przeciągłe spojrzenie Sabiny.

Do tej samej kategorii należy również syn Tomasza. Nazwę go Szymon. (Ucieszy się, że nosi biblijne imię, tak samo jak ojciec.) Oczy, do których tęskni, to oczy Tomasza. Po tym, jak wpłatał się w zbieranie podpisów pod petycją, wyrzucili go z uniwersytetu. Dziewczyna, z którą chodził, była siostrzenicą wiejskiego księdza. Ożenił się z nią, został traktorzystą w spółdzielni produkcyjnej, wierzącym katolikiem i ojcem. Potem dowiedział się od kogoś, że Tomasz również żyje na wsi i ucieszył się: los ustawił ich życia we wzajemnej symetrii. To dało mu odwagę do napisania listu. Nie domagał się odpowiedzi. Chciał tylko, żeby Tomasz położył swe spojrzenie na jego życiu.

23.

Franz i Szymon są marzycielami tej powieści. W przeciwieństwie do Franza Szymon nie lubił matki. Od dzieciństwa szukał ojca. Był gotów wierzyć, że jakaś wyrządzona ojcu krzywda jest powodem niesprawiedliwości, której ten się dopuszcza w stosunku do niego. Nigdy się na niego nie gniewał, bo nie chciał stać się współnikiem matki, która na ojca ustawicznie pomstowała.

Mieszkał z nią do osiemnastego roku życia, a po maturze pojechał na studia do Pragi. W tym czasie Tomasz mył już okna. Szymon wielokrotnie na niego czekał, chcąc zaaranżować przypadkowe spotkanie na ulicy. Ale ojciec nigdy się przy nim nie zatrzymał.

Przylgnał do byłego redaktora z brodą tylko dlatego, że jego los przypominał mu los ojca. Redaktor nie znał nazwiska Tomasza. Artykuł o Edypie był już dawno zapomniany i redaktor dowiedział się o nim dopiero od Szymona, który go poprosił, żeby poszli do Tomasza po podpis pod petycją. Redaktor zgodził się tylko dlatego, że chciał sprawić przyjemność chłopcu, którego lubił.

Kiedy potem Szymon wspominał to spotkanie, wstydził się swej tremy. Na pewno się ojcu nie spodobał. Za to ojciec spodobał się jemu. Pamiętał każde jego słowo i coraz bardziej przyznawał mu rację. Szczególnie utkwilo mu w pamięci zdanie „Karać tych, którzy nie wiedzieli, co czynią, jest barbarzyństwem”. Kiedy wujek jego dziewczyny wsunął mu do ręki biblię, zaciekały go słowa Chrystusa: „Przebaczcie im, bowiem nie wiedzą, co czynią”. Wiedział, że jego ojciec jest niewierzący, ale w podobieństwie tych dwóch zdań widział tajemny znak: ojciec zgadza się z jego drogą.

Mieszkał już na wsi od trzech lat. kiedy dostał list, w którym Tomasz zapraszał go do siebie. Spotkanie było przyjazne, Szymon czuł się swobodnie i w ogóle się nie jękał. Chyba nawet sobie nie uświadomił, że niezbyt dobrze się rozumieli. W jakieś cztery miesiące później przyszedł telegram, że Tomasz i jego żona zginęli zgniecieni przez ciężarówkę.

Wtedy dowiedział się o kobiecie, która była kiedyś kochanką ojca i mieszkała we Francji. Zdobył jej adres. Ponieważ rozpaczliwie było mu potrzebne wyimaginowane oko, które nadal by obserwowało jego życie, pisywał do niej od czasu do czasu długie listy.

24.

Aż do końca życia będzie je Sabina dostawać od tego smutnego wiejskiego korespondenta. Wielu i nich nigdy nie przeczyta dlatego, że ziemia, z której pochodzi, coraz mniej ją interesuje.

Staruszek umarł i Sabina przeprowadziła się do Kalifornii. Jeszcze dalej na Zachód, jeszcze dalej od Czech.

Dobrze sprzedaje swe obrazy i lubi Amerykę. Ale tylko na powierzchni. To, co jest pod powierzchnią, jest obcym światem. Nie ma tam na dole żadnego dziadka ani stryjka. Boi się, że ja zamkną do trumny i spuszczą na dół, na amerykańską glinę.

Dlatego pewnego dnia napisała testament, w którym zażądała, żeby jej martwe ciało zostało spalone, a popiół rozsypany. Teresa i Tomasz umarli pod znakiem ciężaru — ona pragnie umrzeć pod znakiem lekkości. Będzie lżejsza od powietrza. Według Parmenidesa jest to przemiana negatywnego w pozytywne.

25.

Autokar zatrzymał się przed hotelem w Bangkoku. Nikt nie miał już ochoty na organizowanie konferencji. Ludzie rozproszyli się w małych grupkach po mieście, niektórzy poszli zwiedzić świątynie, inni

do burdelu. Przyjaciel z Sorbony zaproponował Franzowi żeby wspólnie spędzili wieczór, ale Franz chciał zostać sam.

Ściemniało się kiedy wyszedł na ulicę. Ciągłe myślał o Sabinie i czuł na sobie jej uważne spojrzenie, pod którym zawsze tracił pewność siebie, ponieważ nigdy nie wiedział, co Sabina naprawdę myśli. Teraz również to spojrzenie zaczęło go peszyć. Czy nie śmieje się z niego? Uważa może, że kult, którym ją otacza jest niemądry? Chce mu powiedzieć, że wreszcie powinien dorosnąć i zająć się w pełni kochanką, którą ona sama mu posłała?

Wyobraził sobie twarz dziewczyny w dużych okularach. Uświadomił sobie, że jest z tą swoją studentką szczęśliwy. Podróż do Kambodży wydała mu się nagle śmieszna i bez znaczenia. Po co tu w ogóle przyjeżdżał? Teraz już wie. Przyjechał tu, żeby sobie wreszcie uświadomić, że nie żadne marsze, nie Sabina są jego rzeczywistym życiem, ale studentka w okularach. Ona jest jego prawdziwym, jedynie rzeczywistym życiem! Przyjechał tu, by zrozumieć, że rzeczywistość to więcej niż sen, o wiele więcej niż sen!

Potem z ciemności wyłoniła się jakaś postać i o coś go prosiła w niezrozumiałym języku. Przyglądał się jej z jakimś pełnym współczucia zaskoczeniem. Nieznajomy mężczyzna kłaniał się, uśmiechał się i ciągle coś nalegająco bełkotał. Co mu mówił? Wydawało się, że jakby go dokądś zapraszał. Złapał go za rękę i ciągnął. Franzowi przyszło do głowy, że ktoś potrzebuje pomocy. Więc może jednak nie przyjechał tu na darmo? Może został tu przywołany po to, by komuś pomóc?

A potem nagle obok tego bełkoczącego mężczyzny znaleźli się jeszcze dwaj, a jeden z nich domagał się po angielsku, żeby im dał pieniądze.

W tym momencie studentka w okularach zniknęła z jego myśli i znów spoczęto na nim spojrzenie Sabiny, nierzeczywistej Sabiny, której los był tak ciężki, Sabiny, wobec której czuł się mały. Patrzyła na niego z gniewem i niezadowolaniem: znów dałeś się oszukać? Znowu ktoś wykorzystuje twoją głupkowaną dobroć?

Gwałtownie wyrwał się mężczyźnie, który trzymał go za rękaw. Wiedział, że Sabinie zawsze podobała się w nim jego siła. Schwycił rękę, którą sięgał po niego drugi mężczyzna. Mocno ją ścisnął i przerzucił mężczyznę przez siebie za pomocą wspaniałego chwytu judo.

Teraz był z siebie zadowolony. Oczy Sabiny wciąż na niego patrzyły. Już nigdy nie zobaczy go ponizonego! Nigdy już nie zobaczy, jak się cofa! Już nigdy Franz nie będzie miękki i sentymentalny!

Napełniła go wesoła niemalże nienawiść do mężczyzn, którzy chcieli zakpić z jego naiwności. Stał lekko pochylony i nie spuszczał wzroku z żadnego z nich. Ale potem coś ciężkiego uderzyło go w głowę i osunął się. Mętnie uświadamiał sobie, że dokądś go niosą. Potem padał w jakiś dół. Poczł gwałtowne uderzenie i stracił świadomość.

Ponownie obudził się dopiero w genewskim szpitalu. Nad jego łóżkiem nachylała się Marie-Claude. Chciał jej powiedzieć, że nie chce, żeby przy nim była. Chciał, żeby natychmiast zawiadomiono dziewczynę w dużych okularach. Chciał krzyczeć, że nie zniesie przy sobie nikogo oprócz niej. Ale stwierdził z przerażeniem, że nie może mówić. Patrzył na Marie-Claude z potworną nienawiścią i chciał odwrócić się od niej do ściany. Ale nie mógł się poruszyć. Chciał przynajmniej odwrócić głowę. Ale nie mógł poruszyć nawet głową. Dlatego zamknął oczy, aby jej nie widzieć.

26.

Martwy Franz wreszcie należy do swej prawowitej małżonki, jak nigdy przedtem do niej nie należał. Marie-Claude decyduje o wszystkim, zajmuje się organizacją pogrzebu, rozsyła zawiadomienia, zamawia wieńce, daje do szycia czarną sukienkę, która jest w rzeczywistości jej suknią ślubną. Tak, dopiero pogrzeb męża jest dla małżonki prawdziwym ślubem, ukoronowaniem wspólnej drogi, nagrodą za wszystkie udręki.

Zresztą pastor uświadamia to sobie doskonale i mówi nad grobem o wiernej miłości małżeńskiej, która musiała przejść przez różne próby, aby pozostać dla nieboszczyka aż do końca spokojnym portem, do którego mógł w ostatnich chwilach powrócić. Również kolega Franza, którego Marie-Claude poprosiła, by przemówił nad grobem, oddał przede wszystkim hołd dzielnej żonie zmarłego.

Gdzieś w tyle, podpierana przez przyjaciółki ślaniała się dziewczyna w wielkich okularach. Powstrzymywany płacz i ogromna ilość połkniętych proszków uspokajających spowodowały, że jeszcze przed zakończeniem obrządku złapały ją skurcze. Kuli się, trzymając się za brzuch i przyjaciółki muszą wyprowadzić ją z cmentarza.

27.

Zaraz jak tylko otrzymał telegram od przewodniczącego spółdzielni produkcyjnej, wsiadł na motocykl i przyjechał. Zajął się pogrzebem. Na pomniku kazał umieścić pod nazwiskiem ojca napis: Pragnął królestwa bożego na ziemi.

Wie dobrze, że ojciec nigdy by tego nie wyraził w ten sposób. Ale jest pewien, że napis dobrze

wyraża to, czego ojciec pragnął. Królestwo boże oznacza sprawiedliwość. Tomasz pragnął świata, w którym panowałaby sprawiedliwość. Czyż Szymon nie ma prawa wyrazić życia ojca swoimi słowami? Jest to przecież odwieczne prawo tych, co pozostają. Powrócił po długim błąkanu, napisano na pomniku postawionym nad trumną Franza. Napis można zrozumieć jako religijny symbol: błąkanie poprzez życie doczesne, powrót w objęcia Boga. Ale wtajemniczeni wiedzą, że zdanie to ma również swój sens świecki. Marie-Claude opowiada o tym zresztą każdego dnia.

Franz, złoty, dobry Franz nie wytrzymał swego kryzysu pięćdziesiątki. Wpadł w szpony tej nieszczęśliwej dziwki. Nie była nawet ładna (widzieliście te monstrualne okulary, zza których w ogóle nie było jej widać?). Ale mężczyzna pięćdziesięcioletni (wszyscy to wiemy!) sprzedałby duszę za kawałek młodego ciała. Tylko jego własna żona wie, jak cierpiał! Były to dla niego prawdziwe katusze moralne! Bo Franz w głębi duszy pozostał dobry i szlachetny. Jak inaczej wytłumaczyć sobie tę bezsensowną, rozpaczliwą wyprawę gdzieś do Azji? Pojechał tam po śmierć. Tak, Marie-Claude wie to z całą pewnością: Franz świadomie szukał śmierci. W ostatnich dniach, kiedy umierał i nie musiał już kłamać, nie chciał widzieć nikogo oprócz niej. Nie mógł już mówić, ale dziękował jej przynajmniej wzrokiem. Błagał ją swym spojrzeniem o przebaczenie. I ona mu przebaczyła.

28.

Co pozostało z ludzi umierających w Kambodży? Jedno duże zdjęcie amerykańskiej aktorki trzymającej w objęciach żółte dziecko. Co pozostało z Tomasa? Napis: Pragnął królestwa bożego na ziemi. Co pozostało z Beethovena? Zachmurzony mężczyzna z nieprawdopodobną grzywą, który ciemnym głosem wypowiada: „Es muss sein!” Co zostało z Franza? Napis: Powrócił po długim błąkanu.

I tak dalej i tak dalej. Zanim zostaniemy zapomniani, przemieni się nas w kicz. Kicz jest stacją tranzytową pomiędzy bytem a zapomnieniem.

CZEŚĆ VII

Uśmiech Karenina

1.

Z okna widać było zbcze porośnięte krzywymi ciałkami jabłoni. Nad urwiskiem las zamykał horyzont, a krzywizna pagórków ciągnęła się w dal. Pod wieczór na blade niebo wychodził biały księżyc i to był moment, w którym Teresa wychodziła na próg. Księżyc wiszący na wciąż jasnym niebie wydawał jej się lampą, którą zapomniano zgasić i świeciła przez cały dzień w pokoju zmarłych.

Krzywe jabłonie rosły na zboczu i żadna z nich nie mogła odejść z miejsca, w którym wyrosła, tak jak Teresa ani Tomasz nie będą mogli nigdy odejść z tej wsi. Sprzedali auto, telewizor, radio tylko po to, by kupić tu od rolnika, który przeprowadzał się do miasta, mały domek z ogrodem.

Życie na wsi było jedyną ucieczką, jaka im pozostała, ponieważ potrzebowano tu wiecznie większej ilości ludzi i istniała dostateczna ilość mieszkań. Nikt nie był zainteresowany w badaniu politycznej przeszłości tych, którzy skłonni byli pojechać pracować na polu czy w lesie i nikt im niczego nie zazdrościł.

Teresa była szczęśliwa, że opuściła miasto pełne pijanych klientów baru i nieznanymi kobietami, które pozostawiały we włosach Tomasza zapach chwoji. Policja przestała się nimi zajmować i historia z inżynierem złała się w jej świadomości w jedno ze sceną na Petrynie, tak że już prawie nie rozpoznawała, co było snem, a co prawdą. (Zresztą, czy inżynier był rzeczywiście na służbie tajnej policji? Może tak, może nie. Mężczyźni, którzy używają do randek wypożyczonych mieszkań i nie lubią się kochać z tą samą kobietą częściej niż jeden raz, nie są taką znów rzadkością.)

Teresa była więc szczęśliwa i miała wrażenie, że doszła do celu: byli razem z Tomaszem i byli sami. Sami? Muszę być dokładniejszy: to, co nazwałem samotnością, oznacza, że zerwali wszelkie kontakty z dotychczasowymi przyjaciółmi i znajomymi. Przecięli swe życie, jakby było kawałkiem wstążki. Ale czuli się dobrze w towarzystwie wieśniaków, z którymi pracowali i których od czasu do czasu odwiedzali w ich domach albo zapraszali do siebie.

Tego dnia, kiedy w uzdrowisku, którego ulice nosiły rosyjskie nazwy, poznała przewodniczącego tutejszej spółdzielni produkcyjnej. Teresa odkryła w sobie obraz wsi, który w niej pozostawiły wspomnienia z lektury albo doświadczenia jej przodków: świata równości, w którym wszyscy są jakby wielką rodziną złączoną wspólnymi zainteresowaniami i zwyczajami: co niedzielę nabożeństwo w kościele, gospoda, w której spotykają się mężczyźni bez kobiet, sala w tej gospodzie, gdzie w niedzielę gra orkiestra i cała wieś tańczy.

Ale wieś z okresu komunizmu już nie jest podobna do tego prastarego obrazu. Kościół znajdował się w sąsiedniej gminie i nikt do niego nie chodził, w gospodzie zrobili urząd i chłopcy nie mieli gdzie się

spotykać i pić piwa, młodzi nie mieli gdzie tańczyć. Świąt kościelnych nie można było świętować, święta państwowe nikogo nie obchodziły. Kino znajdowało się dopiero w oddalonym o dwadzieścia kilometrów miasteczku. I tak po dniu pracy, w którym ludzie wesoło do siebie pokrzykiwali i plotkowali w minutach odpoczynku, wszyscy zamykali się w czterech ścianach swych nowoczesnie umeblowanych domków, z których brak gustu wiał jak przeciąg, i gapili się w rozświetlony ekran telewizorów. Nie zapraszali się w gości, zaledwie czasami wpadali do sąsiada na parę słów przed kolacją. Wieś nie dawała im niczego, co by choć trochę przypominało ciekawe życie.

Być może właśnie dlatego, że nikt nie chciał się tu zakorzenić, państwo traciło władzę nad wsią. Rolnik, który nie jest już właścicielem gruntu, ale tylko najmitem pracującym w polu, nie jest przywiązany ani do krajobrazu, ani do swej pracy, nie ma nic do stracenia, nie ma czego się bać. Dzięki tej obojętności wieś zachowała znaczną autonomię i wolność. Przewodniczący spółdzielni nie był przywieziony w teczce (jak wszyscy inni dyrektorzy w mieście), ale był wybrany przez wieśniaków i był jednym z nich.

Ponieważ wszyscy marzyli o tym, by stąd odejść. Teresa i Tomasz mieli wyjątkową pozycję: przyjechali tu dobrowolnie Inni wykorzystywali każdą okazję żeby choć na dzień pojechać do pobliskich miast. Teresie i Tomaszowi nie zależało na niczym innym niż na byciu tam, gdzie są i dzięki temu szybko poznali wieśniaków lepiej niż wieśniacy sami znali się między sobą.

Szczególnie przewodniczący spółdzielni produkcyjnej został ich prawdziwym przyjacielem. Miał żonę, czworo dzieci i prosię, które wychowywał, jakby to był pies. Prosię nazywało się Mefisto i było dumą i atrakcją całej wsi. Słuchało poleceń, było czyściutkie i różowe: stapało na swych kopytkach jak kobieta o tłustych łydkach chodzi na wysokich obcasach.

Kiedy Karenin po raz pierwszy zobaczył Mefista, był wzburzony i długo obchodził go i obwąchiwał. Ale wkrótce się z nim zaprzyjaźnił i wołał go od wiejskich psów, którymi pogardzał, bo były przywiązane do bud i głupio szczekały — stale i bez powodu. Karenin dobrze rozpoznał wartość wyjątkowości i można by powiedzieć, że szanował swą przyjaźń z prosięciem.

Przewodniczący spółdzielni cieszył się, że może pomóc swemu dawnemu chirurgowi i jednocześnie był nieszczęśliwy, że nie może dla niego zrobić więcej. Tomasz został kierowcą ciężarówki, którą rozwoził rolników po polach albo woził narzędzia.

Spółdzielnia miała cztery piękne obory, a oprócz nich mniejszą stajnię, w której stało czterdzieści jałówek. Teresa dostała je pod opiekę i dwa razy dziennie wyprowadzała na pastwisko. Ponieważ bliskie i łatwo dostępne łąki przeznaczono na kośbę, Teresa musiała chodzić ze stadem na okoliczne pagórki. Jałówki stopniowo spasały trawę na odległych pastwiskach i w ten sposób Teresa obeszała z nimi w ciągu roku całą rozległą krainę otaczającą wieś. Tak jak kiedyś w małym mieście, wciąż nosiła ze sobą jakąś książkę, na łąkach otwierała ją i czytała.

Karenin zawsze jej towarzyszył. Nauczył się szczeleć na młode krowy, kiedy były zbyt rozochocone i chciały się oddalić od stada. Robił to z widoczną radością. Z pewnością był najszczęśliwszy z całej trójki. Nigdy dotąd jego urząd „strażnika zegara” nie był tak szanowany jak tutaj, gdzie nie było miejsca na żadną improwizację. Czas, w którym tu żyli Tomasz i Teresa, zbliżał się do regularności jego czasu.

Pewnego dnia po obiedzie (to była chwila, w której mieli dwie wolne godziny dla siebie) poszli wszyscy troje na spacer na zbocze za swym domkiem.

— Nie podoba mi się jak biegnie — powiedziała Teresa.

Karenin widocznie kulał na tylną nogę. Tomasz przykucnął przy nim i obmacywał mu łapę. Znalazł na udzie małą gułkę.

Następnego dnia posadził go obok siebie na siedzeniu ciężarówki i zajechał do sąsiedniej wsi, gdzie mieszkał weterynarz. Odwiedził go w tydzień później i wrócił do domu z wiadomością, że Karenin ma raka. W trzy dni później operował go razem z weterynarzem. Kiedy przywiózł go do domu. Karenin jeszcze nie całkiem ocknął się z narkozy. Leżał na dywanie obok ich łóżka, miał otwarte oczy i skomlał. Na udzie miał ogoloną sierść i ranę z sześcioma szwami. Potem starał się podnieść. Ale nie mógł.

— Nie bój się — powiedział Tomasz. — Jest jeszcze zamroczony narkozą.

Starła się go podnieść, ale obnażył zęby. Jeszcze nigdy się nie zdarzyło, żeby chciał ugryźć Teresę!

— Nie wie, kim jesteś — powiedział Tomasz. — Nie poznaje cię.

Położyli go obok swego łóżka, gdzie szybko zasnął. Oni również zasnęli. Obudził się nagle o trzeciej. Merdał ogonem i deptał po Teresie i Tomaszu. Pieścili się z nim dziko i łapczywie.

Również nie zdarzyło się nigdy przedtem, żeby ich obudził! Zawsze czekał, dopóki nie przebudzi się jedno z nich, a dopiero później odważał się do nich wskoczyć.

Ale tym razem, kiedy ocknął się w środku nocy na nowo przytomny, nie umiał się opanować. Kto wie, z jakiej oddali powracał! Kto wie, z jakimi marami walczył! Kiedy teraz zobaczył, że jest w domu i poznał swych najbliższych, ucieszył się tak, że musiał im okazać swą ogromną radość, radość z powrotu i ponownego narodzenia.

Zaraz na początku Genesis jest napisane, że Bóg stworzył człowieka, aby mu powierzyć władzę na ptactwem, rybami i ssakami. Oczywiście, Genesis spisał człowiek, a nie koń. Nie ma żadnej pewności, że Bóg rzeczywiście dał ludziom władzę nad innymi stworzeniami. Raczej się wydaje, że człowiek sam wymyślił Boga, aby uczynić z władzy nad koniem czy krową, którą sobie uzurpował, świętą rzecz. Tak, prawo do zabicia jelenia czy krowy jest jedyną rzeczą, co do której ludzkość jest zgodna, nawet podczas najkrwawszych wojen.

To prawo wydaje się nam oczywiste, ponieważ na szczycie hierarchii znajdujemy się my sami. Ale wystarczyłoby, aby do gry przystąpił ktoś trzeci, na przykład przybysz z innej planety, któremu Bóg powiedział: „Będziesz panował nad mieszkańcami całej reszty gwiazd”, aby cała oczywistość Genesis stała się problematyczna. Człowiek zaprzężony przez Marsjanina do wozu albo opiekany na rożnie przez mieszkańca Mlecznej Drogi być może przypomni sobie kotlet cielęcy, który zwykł krajać na własnym talerzu i przeprosi (za późno!) krowę.

Teresa idzie za stadem jałówek, gna je przed sobą, co chwila musi którąś z nich karcnąć, bo młode krowy są wesołe i uciekają z drogi na pola. Karenin jej towarzyszy. Chodzi z nimi co dzień na pastwisko już od dwóch lat. Zawsze bardzo go bawiło być surowym dla jałówek, czekać na nie i wymyślać im (jego Bóg powierzył mu władzę nad krowami i był z tego dumny). Ale tym razem idzie z wielkim trudem i skacze na trzech nóżkach; na czwartej ma ranę, która krwawi. Teresa skłania się ku niemu co chwilę i gładzi go po grzbiecie. W czternaście dni po operacji stało się jasne, że rak się nie zatrzymał i że z Kareninem będzie coraz gorzej. Po drodze spotykają sąsiadkę, która spieszy w gumiakach do obory. Sąsiadka się zatrzymuje:

— Co z pani pieskiem? Coś kuleje. Teresa mówi:

— Ma raka. Jest skazany – i czuje, że gardło jej się zwiera i nie może mówić. Sąsiadka widzi łzy Teresy i niemal się złości:

— Boże, nie będzie pani przecież płakać o psa!

Nie mówi tego w złej intencji, jest to poczciwa kobieta, pragnie raczej uspokoić Teresę. Teresa wie to, jest zresztą na wsi już dostatecznie długo, żeby zrozumieć, że gdyby więcej ludzkie kochali każdego królika tak, jak ona kocha Karenina, nie byłoby w stanie żadnego zabić i umarliby z głodu razem ze swymi zwierzętami. Pomimo to słowa sąsiadki wydają się jej nieprzyjazne.

— Wiem — odpowiada bez protestu, ale szybko się od niej odwraca i odchodzi drogą. Czuje się osamotniona ze swą miłością do psa. Mówi sobie ze smutnym uśmiechem, że musi się bardziej ukrywać z tą miłością, niż by musiała ukrywać zdradę małżeńską. Miłość do psa ludzi gorszy. Gdyby sąsiadka dowiedziała się, że Teresa zdradziła Tomasza, poklepałaby ją wesoło po plecach na znak tajemnego porozumienia.

Idzie więc dalej ze swymi jałoweczkami, które ocierają się o siebie bokami i mówi sobie, że są to bardzo miłe zwierzęta. Spokojne, prostoduszne, czasem dziecięco wesołe: wyglądają jak tłuste pięćdziesięcioletnie kobiety, które udają, że nie skończyły jeszcze czterdziestu lat. Nie ma nic bardziej wzruszającego od widoku bawiących się krów. Teresa patrzy na nie z sympatią i mówi sobie (ta myśl od dwóch lat wciąż do niej powraca), że ludzkość pasożytuje na krowach tak, jak tasiemiec pasożytuje na człowieku: przyssała się do ich wymion jak pijawka. Człowiek jest pasożytem krów, tak by go prawdopodobnie scharakteryzował w swej zoologii nieczłowiek.

Tę definicję możemy uznać za żart i dobrotliwie się z niej śmiać. Teresa, myśląc o niej poważnie, wchodzi na równię pochyłą: jej myśli są niebezpieczne i oddalają się od ludzkości. Już w Genesis Bóg powierzył człowiekowi władzę nad stworzeniami, ale możemy to też zrozumieć w ten sposób, że dał mu ją tylko w ajencję. Człowiek nie jest właścicielem, ale za ledwie dzierżawcą planety, i kiedyś będzie musiał zdać rachunek ze swego zarządzania. Kartezjusz zrobił znaczący krok dalej: uczynił z człowieka „pana i władcę przyrody”. Nie jest dziełem przypadku, że to on właśnie definitywnie odmówił zwierzętom duszy: człowiek jest władcą i panem, natomiast zwierzę — jak mówił Kartezjusz — to tylko automat, ożywiona maszyna, „machina animata”. Gdy zwierzę skowyczy, nie jest to skowyt, a tylko skrzywienie źle naoliwionego mechanizmu. Kiedy koło wozu skrzypi, nie oznacza to, że wóz cierpi, ale że nie jest dobrze naoliwiony. Podobnie musimy przyjmować płacz zwierzęcia i nie smuć się losem psa, którego w laboratorium naukowym krają żywcem.

Jałówki pasą się na łące. Teresa siedzi na pniaku, Karenin siedzi obok niej z głową na jej kolanach. Teresa przypomina sobie, że kiedyś przed dziesięciu laty przeczytała w gazecie dwuwierszową wzmiankę o tym, że w jakimś rosyjskim mieście zastrzelono wszystkie miejscowe psy. Ta wiadomość, nie rzucająca się w oczy i pozornie bez żadnego znaczenia, po raz pierwszy dała jej odczuć przerażenie tym zbyt wielkim sąsiednim krajem.

Ta wiadomość była antycypacją wszystkiego, co przyszło później. W pierwszych dwóch latach po inwazji rosyjskiej nie można jeszcze było mówić o istnieniu terroru. Ponieważ cały naród nie zgadzał się z okupacyjnym reżymem, Rosjanie musieli znaleźć sobie nowych ludzi i dopchać ich do władzy. Ale gdzie mieli ich szukać, skoro wiara w komunizm i miłość do Rosji były martwe? Szukali ich wśród tych, którzy

mieli powody, by za coś mścić się życiu. Trzeba było zespolić, wyszkolić i trzymać w pogotowiu ich agresywność. Trzeba było ich ćwiczyć najpierw na celach pozornych. Tym celem stały się zwierzęta. Gazety zaczęły wtedy drukować cykle artykułów i organizować listy czytelników. Żądano na przykład, żeby w miastach wytepić gołębie. I wytepieno je. Ale główną kampanię wymierzono przeciwko psom. Ludzie byli jeszcze zrozpaczeni z powodu katastrofy, jaką była okupacja, ale gazety, radio, telewizja mówiły wyłącznie o psach, które zanieczyszczają chodniki i parki, zagrażają zdrowiu dzieci, żadnego pożytku nie przynoszą, a jeszcze się je karmi. Stworzono taką psychozę, że Teresa bała się, żeby poszczuty motloch nie zrobił krzywdy Kareninowi. Dopiero w rok później zgromadzona (i wytrenowana na zwierzętach) agresja obróciła się na swój właściwy cel: na ludzi. Zaczęło się wyrzucanie z pracy, aresztowania, procesy. Zwierzęta mogły wreszcie odetchnąć.

Teresa wciąż gładzi Karenina po głowie, która cicho spoczywa na jej kolanach. Mówi sobie w duchu mniej więcej to: nie jest żadną zasługą zachowywać się dobrze w stosunku do innych ludzi. Teresa musi być uprzejma w stosunku do innych wieśniaków, w przeciwnym razie nie mogłaby tu żyć. Zresztą i w stosunku do Tomasza musi się zachowywać serdecznie, ponieważ go potrzebuje. Nigdy nie będziemy mogli z całą pewnością stwierdzić, na ile nasze stosunki z innymi ludźmi są wynikiem naszych uczuć, miłości, nienawiści, dobroci lub złości, a na ile są spowodowane stosunkiem sił pomiędzy poszczególnymi osobami.

Prawdziwa dobroć człowieka może się wyrazić w sposób absolutnie czysty i wolny tylko w stosunku do tego, kto nie reprezentuje żadnej siły. Prawdziwa moralna próba ludzkości, najbardziej podstawowa (leżąca tak głęboko, że wymyka się naszemu wzrokowi) polega na jego stosunku do tych, którzy są wydani na jego łaskę i niełaskę: do zwierząt. I tu właśnie doszło do podstawowej winy człowieka, tak podstawowej, że z niej właśnie wypływa wszystko inne.

Jedna z jałówek zbliżyła się do Teresy, zatrzymała się i długo na nią patrzyła wielkimi brązowymi oczyma. Teresa знаła ją, nazwała ją Małgosia. Chętnie ochrzciłaby wszystkie swoje jałowki, ale nie była w stanie. Było ich zbyt wiele. Kiedyś, dawno, jeszcze przed czterdziestu laty wszystkie krowy w tej wsi miały imiona. (A ponieważ imię jest znakiem duszy, można powiedzieć, że na przekór Kartezjuszowi miały duszę.) Ale potem ze wsi zrobiła się wielka spółdzielcza fabryka i krowy przeżywały swe życie na dwóch metrach kwadratowych obory. Od tego czasu nie mają imion i stały się „machinae animatae”. Świat przyznał rację Kartezjuszowi.

Wciąż mam przed oczyma Teresę siedzącą na pniu, gładzącą łeb Karenina i myślącą o winie ludzkości. W tym momencie przychodzi mi do głowy inny obraz: Nietzsche wychodzi ze swego hotelu w Turynie. Widzi naprzeciwko konia i woźnicę okładającego go batem. Nietzsche podchodzi do konia, na oczach woźnicy obejmuje go za szyję i płacze. Było to w roku 1889 i Nietzsche też już był oddzielony od ludzi. Inaczej mówiąc: wtedy właśnie wybuchła jego choroba psychiczna. Ale właśnie dlatego jego gest wydaje mi się pełen głębokiego sensu. Nietzsche przyszedł przeprosić konia za Kartezjusza. Jego szaleństwo (a więc jego rozejście się z ludzkością) zaczyna się w momencie, kiedy płacze nad koniem.

I to jest ten Nietzsche, którego lubię, podobnie jak lubię Teresę, na której kolanach spoczywa głowa śmiertelnie chorego psa. Widzą ich jedno obok drugiego, oboje schodzą na bok z szosy, po której ludzkość „pan i władca przyrody”, maszeruje naprzód.

3.

Karenin urodził dwa rogaliki i jedną pszczołę. Zaskoczony, oglądał własne potomstwo. Rogaliki zachowywały się spokojnie, ale pszczoła, oszołomiona, kręciła się w kółko, a potem wzbila się w górę i odleciała.

To był sen, który się przyśnił Teresie. Opowiedziała go zaraz po przebudzeniu Tomaszowi i oboje znaleźli w nim rodzaj pociechy: ten sen zmienił chorobę Karenina w ciążę, a dramat porodu dał wynik jednocześnie śmieszny i łagodny: dwa rogaliki i jedną pszczołę.

Znów opanowała ją nostalgiczna nadzieja. Wstała i ubrała się. Tutaj na wsi dzień również zaczynał się od tego, że szła do sklepu kupić mleko, chleb, rogaliki. Ale kiedy zawołała Karenina, podniósł tylko z trudem głowę. Po raz pierwszy odmówił udziału w obrzędzie, którego kiedyś sam się bezwarunkowo domagał.

Szła więc bez niego.

— Gdzie Karenin? — zapytała sprzedawczyni, która już przygotowała dla niego rogalik. Tym razem Teresa sama go niosła w torbie. Już we drzwiach wyciągnęła go i pokazała psu. Chciała, żeby po niego przyszedł. Ale on leżał i nie ruszał się.

Tomasz widział, że Teresa jest nieszczęśliwa. Wsadził sobie rogalik w usta i stanął na czworakach przed Kareninem. Potem powoli się do niego zbliżał.

Karenin spojrzał na niego, wydawało się, że zapalił mu się w ślepiach jakiś błysk zainteresowania, ale nie poddał się. Tomasz zbliżył twarz tuż do jego pyska. Nie ruszając się, pies wziął do pyska sterczącą z ust część rogalika. Potem Tomasz wypuścił rogalik, żeby cały dostał się Kareninowi.

Wciąż na czworakach cofnął się, przycupnął i zaczął warczeć. Udawał, że chce walczyć o rogalik. W tym momencie pies odpowiedział panu również warczeniem. Wreszcie! To było to, na co czekali! Karenin miał ochotę się z nimi bawić! Karenin miał jeszcze w sobie chęć życia!

To warkniecie było uśmiechem Karenina i oni chcieli, żeby ten uśmiech trwał jak najdłużej. Dlatego Tomasz znów zbliżył się do niego na czworakach i złapał wystający psu z pyska koniec rogalika. Ich głowy były tuż obok siebie. Tomasz czuł zapach psiego oddechu, długie kosmyki sierści rosnące wokół nosa Karenina laskotały go po policzku. Pies jeszcze raz zawarczał i szarpnął mordą. Każdemu została w zębach połówka rogalika. Potem Karenin popełnił swój stary błąd. Wypuścił swoją część rogalika i chciał zdobyć tę, którą trzymał w ustach jego pan. Zapomniał, jak zawsze, że Tomasz nie jest psem i że ma ręce. Tomasz nie wypuścił rogalika z ust i podniósł porzuconą na ziemi połówkę.

— Tomasz! – krzyknęła Teresa – Nie zabierzesz mu przecież rogalika!

Tomasz upuścił obydwie połówki na ziemię przed Kareninem, który pierwszą połówkę błyskawicznie połknął, a drugą długo i ostentacyjnie trzymał w pysku, chlubiąc się przed małżonkami tym dowodem wygranej. Patrzyli na niego i znów sobie mówili, że Karenin uśmiecha się i że dopóki się uśmiecha, ciągle ma powód, by żyć, choć jest skazany.

Następnego dnia wydawało się zresztą, że jego stan się poprawił. Zjedli obiad. To była chwila, kiedy oboje mieli godzinę wolnego czasu dla siebie i zabierali go na spacer. Wiedział to i zawsze niespokojnie pobiegował wokół nich. Ale teraz, kiedy Teresa zdjęła smycz i obrozę, tylko długo popatrzył na nich i nie ruszył się z miejsca. Stali naprzeciw niego i starali się być (ze względu na niego i dla niego) weseli. Dopiero po chwili, jak gdyby litując się nad nimi, przykuśtykał do nich na trzech łapkach i dał sobie założyć obrozę.

— Teresko – prosił Tomasz – wiem, że znieubiłaś aparat fotograficzny. Ale zabierz go dziś ze sobą!

Teresa usłuchała. Otworzyła szafę, żeby w niej odnaleźć gdzieś ukryty i zapomniany aparat fotograficzny, a Tomasz mówił dalej:

— Kiedyś te zdjęcia zrobią nam wiele radości. Karenin był kawałkiem naszego życia.

— Jak to był? - spytała Teresa, jak gdyby ją ukąsił wąż. Aparat leżał przed nią na dnie szafy, ale nie schylała się po niego.

— Nie zabiorę go. Nie chcę myśleć, że Karenina nie będzie. Ty już o nim powiedziałaś w czasie przeszłym!

— Nie gniewaj się – powiedział Tomasz.

— Ja się nie gniewam – odpowiedziała Teresa łagodnie. – Sama już się parę razy przyłapałam na tym, że myślę o nim w czasie przeszłym. Tyle razy już sama na siebie musiałam krzyknąć. I właśnie dlatego nie wezmę aparatu.

Szli w milczeniu drogą. Nic nie mówić było jedynym sposobem, by nie myśleć o Kareninie w czasie przeszłym. Nie spuszczała z niego wzroku i byli wciąż przy nim. Czekali, kiedy znów się uśmiechnie. Ale on nie uśmiechał się tylko szedł, stale na trzech nóżkach.

— Robi to tylko dla nas – powiedziała Teresa. – Nie chciało mu się iść na spacer. Poszedł tylko dlatego, żeby nam zrobić przyjemność.

To, co powiedziała, było smutne, a mimo to, sami sobie tego nie uświadamiając, byli szczęśliwi. Byli szczęśliwi nie wbrew smutkowi, ale dzięki niemu. Trzymali się za ręce i w oczach mieli ten sam obraz kulejącego pieska, który wyobrażał dziesięć lat ich życia. Przeszli jeszcze kawałek. Potem Karenin ku ich wielkiemu rozczarowaniu zatrzymał się i zawrócił. Musieli wracać.

Chyba jeszcze tego samego dnia albo nazajutrz Teresa weszła nieoczekiwanie do pokoju Tomasza i zobaczyła, że czyta jakiś list. Usłyszała skrzypnięcie drzwi i odłożył list pomiędzy inne papiery. Zauważyła to. Kiedy wychodziła z pokoju, spostrzegła, że Tomasz ukradkiem wsuwa list do kieszeni. Ale zapomniał o kopercie. Kiedy została sama w domu, przestudiowała ją. Adres był napisany nieznanym pismem, które było bardzo staranne i które uznała za pismo kobiety. Kiedy zobaczyli się później, spytała go, jak gdyby nigdy nic, czy przysłała jakaś pocztą.

— Nie – odpowiedział Tomasz i Teresę ogarnęła rozpacz, rozpacz o tyle gorsza, że już się od niej odzwyczaiła. Nie, nie sądzi, że Tomasz ma tu jakąś kochankę. Jest to praktycznie niemożliwe. Zna każdą jego wolną chwilę. Ale wydaje się, że w Pradze pozostała jakaś kobieta, o której myśli i na której mu zależy, mimo, że nie może mu ona pozostawić we włosach zapachu swego krocza. Nie sądzi, żeby Tomasz miał ją opuścić dla tej kobiety, ale wydaje jej się, że szczęście dwóch ostatnich lat, które przeżyli na wsi jest znów unieważnione przez kłamstwo.

Powraca znów do niej stara myśl: jej domem nie jest Tomasz, ale Karenin, Kto będzie nakręcał zegar jej dni, kiedy go zabraknie. Teresa przebywała duchem w przyszłości, w przyszłości bez Karenina i czuła się w niej opuszczona.

Karenin leżał w kątku i skomlał. Teresa poszła do ogrodu. Patrzyła na trawę pomiędzy dwiema jabłkami i wyobrażała sobie, że tam zakopią Karenina. Wbiła w ziemię obcas i wyźłobiła nim prostokąt w trawie. To było miejsce na jego grób.

— Co tu robisz? – zapytał Tomasz, który zaskoczył ją przy tej czynności tak samo nieoczekiwanie,

jak ona zaskoczyła go przed kilku godzinami przy czytaniu listu.

Nie odpowiedziała mu. Widział, że znów po długim czasie drżą jej ręce. Chwycił ją za nie. Wyrwała mu się.

— To jest grób dla Karenina?

Nie odpowiedziała.

Jej milczenie go rozdrażniło. Wybuchnął:

— Wyrzucasz mi, że myślę o nim w czasie przeszłym! A co robisz ty? Ty go chcesz już pogrzebać! Odwróciła się od niego i poszła do domu. Tomasz poszedł do swego pokoju i trzasnął za sobą drzwiami.

Teresa otworzyła je i powiedziała:

— Zawsze myślisz tylko o sobie, ale teraz przynajmniej mógłbyś pomyśleć o nim. Spał i zbudziłeś go. Znowu będzie jęczał.

Wiedziała, że jest niesprawiedliwa (pies nie spał), wiedziała, że się zachowuje jak najbardziej wulgarnie babsko, które chce zranić i wie, jak to zrobić.

Tomasz przeszedł na palcach do pokoju, w którym leżał Karenin. Ale ona nie chciała go z nim zostawić samego. Pochylali się nad nim, każde z innej strony. W tym wspólnym geście nie było pogodzenia. Przeciwnie. Każde z nich było samo. Teresa ze swym psem. Tomasz ze swym psem.

Boję się, że tak właśnie rozdzieleni, każde samo, zostaną z nim aż do ostatniej chwili.

4.

Dlaczego dla Teresy tak ważne jest słowo idylla?

My, wychowani w mitologii Starego Testamentu moglibyśmy powiedzieć, że idylla to obraz, w którym pozostało jakieś wspomnienie Raju. Życie w Raju nie przypominało biegu po prostej, który prowadzi nas w nieznaną, nie było przygodą. Poruszało się w koło wśród znanych przedmiotów. Jego monotonia nie była nudą, ale szczęściem. Dopóki człowiek żył na wsi, w przyrodzie, otoczony przez domowe zwierzęta, w objęciach pór roku i ich powtarzalności, pozostawał przy nim wciąż przynajmniej odblask tej rajskiej idylli. Dlatego Teresa, kiedy spotkała w uzdrowisku przewodniczącego spółdzielni, zobaczyła nagle obraz wsi (wsi, w której nigdy nie żyła, której nie знаła) i była nim oczarowana. Było to tak, jakby spoglądała w tył, w kierunku Raju.

Adam w Raju nachylony nad studnią nie wiedział jeszcze, że to, co widzi w kręgu wody, jest nim. Nie zrozumiałby Teresy, która jako dziewczyna stała przed lustrem i starała się poprzez swe ciało dostrzec swą duszę. Adam był jak Karenin. Teresa często bawiła się w ten sposób, że prowadziła go do lustra. Nie poznawał swego obrazu i traktował go z niewiarygodnym brakiem zainteresowania i roztargnieniem.

Porównanie Karenina z Adamem prowadzi mnie do myśli, że w Raju człowiek nie był jeszcze człowiekiem. Dokładniej mówiąc: człowiek nie został jeszcze wypuszczony na drogę człowieka. Nas wystrzelono tam już dawno i lecimy poprzez próżnię czasu biegnącego po linii prostej. Ale wciąż z dalekim, mglistym Rajem, w którym Adam nachyla się nad studnią i – całkiem niepodobny do Narcyza – nie przypuszcza, że blada, żółta plama, którą w niej widzi, to on sam. Tęsknota za Rajem jest tęsknotą człowieka do tego, by nie być człowiekiem. Kiedy jako dziecko znajdowała matczyne podpaski zabrudzone krwią menstruacyjną, czuła wstręt i nienawidziła matki za to, że nie ma w sobie dość wstydu, żeby je schować. Ale Karenin, który był suczką, również miał menstruację. Zdarzała mu się raz na pół roku i trwała czternaście dni. Teresa wkładała mu między nogi wielki kawał waty i zakładała mu swoje stare majtki, które sprytnie przewiązywała mu w pasie długą wstążką. Przez czternaście dni śmiała się z tego jego stroju.

Jak to się dzieje, że menstruacja psa wzbudzała w niej wesołą czułość, a jej własna menstruacja obrzydzenie? Odpowiedź wydaje się prosta: pies nigdy nie został wygnany z Raju. Karenin nie ma pojęcia o podwójności ciała i duszy i nie wie, co to jest wstręt. Dlatego Teresa czuje się z nim tak dobrze i spokojnie. (I dlatego tak niebezpieczna jest przemiana zwierzęcia w maszynę animatę, a krowy w maszynę do produkcji mleka: człowiek przecina w ten sposób nić, która go wiązała z Rajem i nic nie będzie w stanie go zatrzymać ani pocieszyć w jego locie poprzez próżnię czasu.)

Z niejasnej płataniny tych rozmyślań zostaje Teresie jedna świętokradcza myśl, której nie może się pozbyć: miłość, która ją łączyła z Kareninem jest lepsza od tej, która istnieje pomiędzy nią a Tomaszem. Lepsza, nie większa. Teresa nie chce oskarżać Tomasza ani siebie, nie chce twierdzić, że mogliby się bardziej kochać. Raczej jej się zdaje, że dwoje ludzi jest stworzonych w ten sposób, że ich miłość już a priori jest gorszego gatunku, niż może być (przynajmniej w tych najlepszych przypadkach) miłość pomiędzy człowiekiem a psem, to dziwactwo w historii człowieka, prawdopodobnie w ogóle nie zaplanowane przez Stwórcę.

Ta miłość jest bezinteresowna: Teresa niczego nie chce od Karenina. Nie domaga się od niego nawet miłości. Nigdy nie zadawała sobie pytań, które dręczą ludzkie pary: czy mnie kocha? Czy kochał kogoś bardziej niż mnie? Czy kocha mnie bardziej, niż ja Kocham jego? Możliwe, że te wszystkie pytania, które domagają się potwierdzenia miłości, które ją mierzą, badają, przesłuchują, również niszczą ją w zarodku.

Możliwe, że nie jesteśmy w stanie kochać właśnie dlatego, że pragniemy być kochani, to jest dlatego, że domagamy się czegoś od tego drugiego (miłości), zamiast przystępować do niego bez żadnych wymagań i pragnąć wyłącznie jego obecności.

I jeszcze coś: Teresa przyjęła Karenina takiego, jakim był, nie chciała go zmieniać na swoje podobieństwo, nie chciała zabierać mu samego siebie, nie była zazdrosna o jego tajemne uczucia. Wychowywała go nie dlatego, że chciała go przetworzyć (jak mąż chce przetworzyć swą żonę, a żona męża), ale tylko po to, aby, nauczyć go elementarnego języka, który im umożliwiał wzajemne porozumienie i wspólne życie.

A poza tym: miłość do psa jest dobrowolna, nikt jej do niej nie zmuszał. (Teresa znów myśli o matce i żałuje wszystkiego: gdyby matka była jedną z obcych kobiet ze wsi, możliwe, że jej wesoła wulgarność wydawałaby się Teresie sympatyczna! Ach, gdyby matka była obcą kobietą! Teresa od dzieciństwa wstydziła się, że matka okupuje rysy jej twarzy i konfiskuje jej ją. Ale najgorsze było, że odwieczne przykazanie „miłuj ojca swego i matkę swoją” zmuszało ją, by godziła się z tą okupacją, aby tę agresję nazywała miłością. Matka nie była winna temu, że Teresa ją opuściła. Opuściła ją nie dlatego, że matka była taka, jaka była, ale dlatego, że była matką.)

Ale głównie: żaden człowiek nie może przynieść drugiemu człowiekowi daru idylli. To umie zrobić tylko zwierzę, ponieważ nie zostało wygnane z Raju. Miłość między człowiekiem a psem jest idylliczna. Nie ma w niej konfliktu, bolesnych scen, nie ma w niej rozwoju. Karenin otoczył Tomasza i Teresę swym życiem zbudowanym na powtarzalności i oczekiwał od nich tego samego. Gdyby Karenin był człowiekiem, a nie psem, zapewne już dawno powiedziałby Teresie: „Słuchaj, już od dawna mnie nie bawi noszenie codziennie w pysku rogalika. Nie możesz wymyślić dla mnie czegoś innego?” W tym zdaniu jest zawarte całe potępienie człowieka. Ludzki czas nie toczy się w kręgu, ale biegnie naprzód po linii prostej. To jest powód, dla którego człowiek nie może być szczęśliwy, ponieważ szczęście jest pragnieniem powtarzalności. Tak, szczęście jest pragnieniem powtarzalności, mówi sobie Teresa. Kiedy przewodniczący spółdzielni wyprowadza po pracy swego Mefista i spotyka Teresę, nigdy nie zapomni jej powiedzieć:

— Pani Tereso! Dlaczego go nie spotkałem wcześniej? Chodzilibyśmy z nim wspólnie na kobitki. Dwóm ryjom przecież żadna baba się nie oprze.

Wyćwiczył wieprzka w ten sposób, że po tych słowach zawsze chrząkał. Teresa śmiała się, choć już z góry wiedziała, co przewodniczący powie. Dowcip przez powtarzanie nie tracił swego wdzięku. Przeciwnie, w kontekście idylli również humor podporządkowuje się słodkiemu prawu powtarzalności.

5.

Pies nie ma w porównaniu z ludźmi zbyt wielu przywilejów, ale jeden z nich jest wart wiele: eutanazja nie jest w jego wypadku zabroniona przez prawo; zwierzę ma prawo do miłosiernej śmierci. Karenin chodził na trzech łapkach i czym dalej, tym większą część czasu spędzał leżąc w kacie. Jęczał. Obydwoje małżonkowie byli zgodni, że nie mogą mu pozwolić na zbyt duże cierpienie. Ale zgoda na tę zasadę nie oszczędzała im dręczącej niepewności: jak poznać moment, kiedy zmęczenie jest zbyt duże? Jak określić chwilę, w której już nie warto żyć?

Gdyby przynajmniej Tomasz nie był lekarzem! Można by się było schować za kogoś trzeciego. Można by iść do weterynarza i poprosić go, żeby dał psu zastrzyk.

Jest to takie straszne, przyjąć na siebie rolę śmierci! Tomasz długo upierał się, że nie da mu żadnego zastrzyku, że zawołają weterynarza. Ale potem zrozumiał, że nie ma prawa odmówić mu przywileju, który nie jest udziałem żadnego człowieka: śmierć przybierze dla niego kształt tych, których kochał.

Karenin jęczał całą noc, Kiedy Tomasz go rano obmacał, powiedział do Teresy:

— Dłużej już nie będziemy czekać.

Był ranek, za chwilę obydwójce muszą wyjść z domu. Teresa weszła do pokoju Karenina. Dotychczas leżał apatycznie (kiedy przed chwilą Tomasz go obmacywał, nie poświęcił temu żadnej uwagi), ale teraz, kiedy usłyszał skrzyknięcie drzwi, podniósł głowę i spojrzał na Teresę.

Nie mogła znieść tego spojrzenia, wystraszyło ją niemal. W ten sposób nie patrzył nigdy na Tomasza, tak patrzył tylko na nią. Ale nigdy dotąd z taką intensywnością jak teraz. To nie było spojrzenie zrozpaczone ani smutne, nie, było to spojrzenie straszliwego, nieznośnego zaufania. To spojrzenie było namiętnym pytaniem. Przez całe życie czekał Karenin na odpowiedź Teresy i teraz jej oznajmiał (znacznie bardziej nalegająco, niż kiedykolwiek przedtem), że ciągle jest gotów dowiedzieć się od niej prawdy. (Wszystko, co przychodzi od Teresy, jest dla niego prawdą: kiedy mu na przykład mówi: „siad!” albo „leżeć!” są to prawdy, z którymi się utożsamia i które nadają sens jego życiu.)

To spojrzenie straszliwego zaufania trwało krótko. Po chwili znów ułożył głowę na łapach. Teresa wiedziała, że tak już nigdy na nią nie spojrzę.

Nigdy nie dawali mu słodyczy, ale przed kilku dniami kupiła mu parę tabliczek czekolady. Rozpakowała je ze sreberka, połamała i położyła obok niego. Dodała jeszcze miskę wody, żeby mu niczego

nie brakowało, kiedy zostanie na kilka godzin w domu sam. Spojrzenie, które przed chwilą na nią skierował, jak gdyby go zmęczyło. Choć leżała koło niego czekolada, nie uniósł już głowy.

Położyła się obok niego na podłodze i objęła go. Bardzo powoli, ze zmęczeniem obwąchał ją i raz czy dwa polizał. Przyjęła to polizanie z zamkniętymi oczyma, jak gdyby chciała je zapamiętać na zawsze. Odwróciła głowę, żeby mógł polizać jeszcze drugi policzek.

Potem musiała iść do swoich jałówek. Wróciła po obiedzie. Tomasza nie było jeszcze w domu. Karenin wciąż leżał wśród czekolady. Słyszał jej wejście, nie podniósł już głowy. Jego chora noga spuchła i guz wystąpił w jeszcze jednym miejscu. Między sierścią pojawiła się jasnoczerwona (niepodobna do krwi) kropelka.

Znów położyła się obok niego na podłodze. Jedną rękę przerzuciła przez jego ciało, oczy miała przymknięte. Potem usłyszała jak ktoś wali do drzwi. Odezwał się głos:

— Panie doktorze! Panie doktorze! Jest tu prosię i jego przewodniczący!

Nie była w stanie z nikim rozmawiać. Jeszcze raz usłyszała:

— Panie doktorze! Ryje przyszły! – a potem zrobiło się cicho.

Dopiero po pół godzinie przyszedł Tomasz. W milczeniu poszedł do kuchni i przygotował zastrzyk. Kiedy wszedł do pokoju, Teresa już stała, a Karenin podniósł się z wysiłkiem. Kiedy zobaczył Tomasza, słabo zamerdał ogonem.

— Popatrz – powiedziała Teresa. – Jeszcze wciąż się uśmiecha!

Powiedziała to błagalnie, jak gdyby chciała prosić tymi słowami jeszcze o małą zwłokę, ale nie nalegała.

Powoli rozścieliła prześcieradło na tapczanie. Było to białe prześcieradło usiane wzorem małych fioletowych kwiatków. Wszystko zresztą miała już przygotowane i przemyślane, jak gdyby wyobrażała sobie śmierć Karenina od wielu dni. (Ach, jakie to straszne. my przecież właściwie wyobrażamy sobie naprzód śmierć tych. których kochamy!)

Nie miał już siły wskoczyć na tapczan. Wzięli go w objęcia i razem podnieśli. Teresa położyła go na boku, a Tomasz oglądał mu łapkę. Szukał, gdzie żyła najwyraźniej występuje pod skórą. Potem nożyczkami ostrzygł sierść w tym miejscu.

Teresa klęczała na tapczanie i trzymała głowę Karenina w rękach tuż przy swej twarzy.

Tomasz ją poprosił, żeby przycisnęła mocno tylną nóżkę psa w miejscu nad żyłą, która była cienka i do której trudno było wbić igłę. Trzymała łapkę Karenina, ale nie oddaliła twarzy od jego głowy. Szeptala wciąż coś do niego, a on myślał wyłącznie o niej. Nie bał się. Oblizal ją jeszcze dwa razy. A Teresa szeptała mu:

— Nie bój się, nie bój się, tam cię nie będzie boleć, tam będziesz śnił o wiewiórkach i zającach, będą tam krówki i Mefisto tam będzie, nie bój się...

Tomasz wbił igłę w żyłę i nacisnął tłoczek. Karenin lekko szarpnął nogą, potem przez kilka sekund oddychał przyspieszonym oddechem, potem jego oddech nagle zamilkł. Teresa klęczała na podłodze przy tapczanie i tuliła twarz do jego głowy.

Potem musieli iść do pracy, a pies został na białym prześcieradle w fioletowe kwiatki.

Wieczorem wrócili. Tomasz poszedł do ogrodu. Znalazł między dwiema jabłonkami obrys prostokąta, który przed kilku dniami Teresa wryła obcasem. Tam zaczął kopać. Dokładnie utrzymał ramy narysowanego konturu. Chciał, żeby wszystko było tak, jak Teresa sobie życzyła.

Teresa została w domu z Kareninem. Bała się, żeby go nie pochowali żywego. Przyłożyła ucho do jego nosa i wydawało jej się, że słyszy słabiutki oddech. Odeszła kilka kroków i zobaczyła, że jego pierś lekko się podnosi.

(Nie, słyszała swój własny oddech, który wprawiał w lekki ruch jej ciało, tak że uległa złudzeniu, że porusza się klatka piersiowa psa.) Znalazła w torebce lusterko i przyłożyła je do jego nosa. Lusterko było tak zamazane, że miała wrażenie, że widzi na nim parę oddechu.

— Tomasz, on żyje! — krzyczała, kiedy Tomasz w ubłoconych butach wracał z ogrodu.

Pochylił się nad nim i pokręcił głową.

Wzięli potem z obydwu stron prześcieradło, na którym leżał. Teresa uczuła, że prześcieradło jest mokre. Przeszedł do nas? kałużą i z kałużą odszedł, pomyślała i ucieszyła się, że czuje u dłoniach tę wilgoć, ostatnie pozdrowienie pieska.

Donieśli go pod jabłonie i spuścili w dół. Nachyliła się nad jama i poprawiła prześcieradło tak, żeby okryło go całego. Wydawało się jej nie do zniesienia, żeby glina, którą na niego zaraz zrzucą, dotknęła jego nagiego ciała.

Potem poszła do domu i wróciła z obrozą i ze smyczą i z garścią czekolady, która pozostała nietknięta od rana na podłodze. Rzuciła to wszystko do dołu.

Obok jamy leżała kupa świeżo wykopanej gliny. Tomasz wziął do rąk łopatę.

Teresa przypomniawszy sobie swój sen: Karenin urodził dwa rogaliki i jedną pszczołę. To zdanie zabrzmiało jej nagle jak epitafium. Wyobraziła sobie tutaj, pomiędzy dwiema jabłonkami pomnik z napisem:

„Tu leży Karenin. Urodził dwa rogaliki i jedną pszczołę”.

W ogrodzie był zmierzch, chwila pomiędzy dniem a wieczorem, na niebie tkwił blady księżyc, lampa zapomniana w pokoju zmarłych.

Obydwoje mieli zabłocone buty, odnieśli kilof i łopatę do szopy, w której równo stały narzędzia: grabie, szpadle i motyki.

6.

Siedział w swoim pokoju, miał zwyczaj czytać tu przy biurku.

W takich momentach Teresa przychodziła do niego, nachylała się i przyciskała od tyłu policzek do jego policzka. Kiedy zrobiła to tego dnia, zobaczyła, że Tomasz nie patrzy w żadną książkę. Przed nim leżał list i pomimo że składał się zaledwie z pięciu rzędów i był pisany na maszynie, Tomasz długo i nieruchomo wlepił w niego wzrok.

— Co to jest? – spytała Teresa z przecuciem nieszczęścia.

Nie odwracając się, Tomasz podniósł list i podał jej go. Było tam napisane, że jeszcze tego samego dnia ma się stawić na lotnisku w sąsiednim mieście.

Wreszcie odwrócił do niej twarz i Teresa zobaczyła w jego oczach takie samo przerażenie, jakie czuła sama.

— Pojadę z tobą — powiedziała. Pokręcił głową:

— Wezwanie dotyczy tylko mnie.

— Nie, pojadę z tobą — powtórzyła.

Pojechali ciężarówką Tomasza. Po chwili byli już na płycie lotniska. Była mgła. Niewyraźnie rysowały się w niej sylwetki stojących samolotów. Chodzili od jednego do drugiego, ale wszystkie drzwi były nieprzystępnie zamknięte. Wreszcie w jednym z nich dostrzegli na górze otwarte drzwiczki, do których prowadziły dostawiane schody. Weszli na górę, w drzwiach pojawił się steward i zaprosił ich do środka. Samolot był mały, zaledwie na trzydziestu pasażerów i zupełnie pusty. Weszli w przejście między siedzeniami, ciągle dotykając jedno drugiego, obojętni na to, co się działo wokół. Usiedli na siedzeniach obok siebie i Teresa położyła głowę na ramieniu Tomasza. Początkowe przerażenie rozplywało się i przemieniało w smutek. Przerażenie jest szokiem, chwilą całkowitego oślepienia. Przerażenie jest pozbawione jakiegokolwiek śladu piękna. Nie widzimy niczego poza nieznanym światłem nieznanego wydarzenia, które nas zaskakuje. W przeciwieństwie do tego smutek zakłada naszą wiedzę. Tomasz i Teresa wiedzieli, co ich czeka. Światło przerażenia przytłumiło się i świat występował w delikatnej błękitnawej poświacie, która opromieniała wszystko pięknem. W momencie czytania listu Teresa nie czuła do Tomasza żadnej miłości, wiedziała tylko, że teraz nie może go opuścić: przerażenie zdusiło wszystkie inne uczucia i odczucia. Teraz, kiedy siedziała przytulona do niego (samolot płynął w chmurach), lęk zniknął i Teresa czuła swą miłość i wiedziała, że nie ma ona miary ani granic.

Wreszcie samolot wylądował. Wstali i poszli w kierunku drzwi, które steward otworzył. Szli wciąż objęci wół i tak też stanęli na górze, na schodkach. Zobaczyli na dole trzech mężczyzn w maskach na twarzach i z karabinami w ręku. Nie było po co zastanawiać się, ponieważ nie było ucieczki. Schodzili wolno, a kiedy postawili stopy na płycie lotniska, jeden z mężczyzn podniósł karabin i wycelował. Nie było słycać żadnego wystrzału, ale Teresa czuła, jak Tomasz, który jeszcze przed sekundą przytulał się do niej i trzymał swą rękę na jej biodrach, osuwa się na ziemię.

Przyciskała go do siebie, ale nie mogła go utrzymać: osuwał się na beton pąsu startowego. Pochyliła się nad nim. Chciała rzucić się na niego i przykryć go swoim ciałem, ale w tym momencie zobaczyła coś dziwnego: jego ciało na jej oczach szybko się zmniejszało. Było to tak niewiarygodne, że zastygła jak przykuta. Ciało Tomasza było coraz mniejsze i mniejsze, w ogóle już nie przypominało Tomasza, pozostało z niego coś całkiem maleńkiego i ta mała rzecz zaczęła się poruszać, rzuciła się do ucieczki i biegła szybko po płycie lotniska. Mężczyzna, który wystrzelił, zdjął maskę i uśmiechnął się miło do Teresy. Potem odwrócił się i zaczął gonić tę małą rzecz, która biegła w popłochu zakosami, jak gdyby uskakiwała przed kimś i poszukiwała rozpaczliwie kryjówki. Przez chwilę obaj biegli, aż nagle mężczyzna rzucił się na ziemię i pogoń zakończyła się.

Wstał i wracał do Teresy. Niósł jej w ręce ten przedmiot. Przedmiot drżał z przerażenia. Był to zajac. Podał go Teresie. W tym momencie jej lęk i smutek opuściły ją i poczuła szczęście, że trzyma zwierzątko w objęciach i że może przytulić je do siebie. Rozplakała się ze szczęścia. Płakała i płakała, nic nie widziała poprzez łzy i niosła zajaczkę do domu, przekonana, że teraz jest już u celu, że jest tam, gdzie chciał być, skąd już nie trzeba uciekać.

Szła praskimi ulicami i bez trudu odnalazła swój dom. Mieszkała tu z mamą i tatą, kiedy była mała. Ale mamy i taty nie było. Przywitało ją dwoje starszaków, których nigdy nie widziała, ale o których wiedziała, że są jej prababcią i pradziadkiem. Obydwoje mieli pomarszczone jak kora drzewa twarze i Teresa ucieszyła się, że będzie z nimi mieszkać. Ale teraz pragnęła pozostać sama ze swoim zwierzątkiem.

Bez trudu znalazła swój pokój, w którym mieszkała do piątego roku życia, kiedy to rodzice zdecydowali, że jest już dość duża, by mieć własny pokój. Stał tam tapczan, stolik i krzesła. Na stoliku stała zapalona lampa, która czekała na nią przez cały ten czas. Na lampie siedział motyl z rozpostartymi skrzydłami, na których namalowane były wielkie oczy. Teresa wiedziała, że jest u celu. Położyła się na tapczanie i tuliła zajączka do swego policzka.

7.

Siedział za biurkiem, gdzie zwykle czytał książkę. Przed nim leżała otwarta koperta z listem. Powiedział do Teresy:

— Dostaję od czasu do czasu listy, o których nie chciałem ci mówić. Pisze do mnie mój syn. Staralem się, żeby jego i moje życie nigdy się nie spotkały. I spójrz tylko, jak los się na mnie zemścił. Już przed kilku laty wyrzucono go z uczelni. Pracuje jako traktorzysta w jakiejś wsi. Moje i jego życie nie stykają się co prawda, ale biegną obok siebie tym samym torem jak dwie równoległe.

— Ale dlaczego nie chciałeś mi o tych listach powiedzieć? - spytała Teresa czując wielką ulgę.

— Nie wiem. Było to dla mnie jakoś nieprzyjemne.

— Pisze ci często?

— Od czasu do czasu.

— A o czym?

— O sobie.

— I to ciekawe?

— Tak. Matka, jak wiesz, była namiętną komunistką. Dawno już z nią zerwał kontakty. Zaprzyjaźnił się z ludźmi, którzy znaleźli się w takiej samej sytuacji jak my. Starali się działać politycznie. Niektórzy z nich są dziś w więzieniu. Ale z nimi rozszedł się również. Mówi o nich z dystansem jako o „wiecznych rewolucjonistach”.

— A on pogodził się z tym reżymem?

— Nie, w ogóle nie. Wierzy w Boga i myśli, że w tym leży klucz do wszystkiego. Podobno wszyscy w życiu codziennym mamy realizować normy religii i nie przyjmować reżymu do wiadomości.

Ignorować go. Jeśli wierzymy w Boga, możemy ponoć w każdej sytuacji stworzyć poprzez nasze zachowanie to, co on nazywa „królestwem bożym na ziemi”. Wyjaśnia mi, że Kościół jest w naszym kraju jedyną dobrowolną społecznością ludzi, która wymyka się spod kontroli państwa. Ciekawi mnie, czy związał się z Kościołem, żeby lepiej walczyć z reżymem, czy też naprawdę wierzy w Boga.

— To go o to zapytaj! Tomasz ciągnął:

— Zawsze podziwiałem wierzących. Myślałem, że mają jakiś szczególny dar nadmysłowego postrzegania, który mnie został odjęty. Coś w rodzaju jasnowiedzenia. Ale teraz na przykładzie swego syna widzę, że wierzyć jest bardzo łatwo. Kiedy mu było najgorzej, zaopiekowali się nim katolicy i już miał wiarę. Możliwe, że zdecydował się uwierzyć z wdzięczności. Ludzkie decyzje są przerażająco łatwe.

— Nigdy mu nie odpowiedziałeś na jego listy?

— Nie podał mi adresu zwrotnego. Ale potem dodał:

— Na stemplu pocztowym jest nazwa gminy. Wystarczyłoby posłać list na adres tamtejszej spółdzielni.

Teresa wstydziła się teraz przed Tomaszem za swe podejrzenia i chciała naprawić winę szczególną serdecznością w stosunku do jego syna:

— To czemu do niego nie napiszesz? Czemu go nie zaprosisz?

— Jest do mnie podobny — odpowiedział Tomasz. — Kiedy mówi, krzywi górną wargę zupełnie tak samo jak ja. To mi się wydaje zbyt dziwaczne: widok mojej własnej wargi mówiącej o Panu Bogu.

Teresa roześmiała się.

Tomasz śmiał się wraz z nią.

Teresa powiedziała:

— Tomasz, nie bądź dziecinny. Przecież to już taka stara historia. Ty i twoja pierwsza żona. Cóż go obchodzi ta historia? Co on ma z nią wspólnego? Dlaczego miałbyś kogoś krzywdzić, tylko dlatego, że miałeś w młodości zły gust?

— Jeśli mam być szczerzy, mam tremę przed tym spotkaniem. To główny powód, dla którego do niego nie ciągnę. Nie wiem, dlaczego jestem taki uparty. Człowiek czasem podejmie jakąś decyzję, sam nie wie w jaki sposób i ta decyzja trwa siłą rozpędu. Z roku na rok coraz trudniej ją zmienić.

— Zaproś go — powiedziała.

Tego samego dnia po południu wracając z obory usłyszała głosy na szosie. Kiedy zbliżała się, zobaczyła ciężarówkę Tomasza. Tomasz schylał się i zdejmował koło. Kilku chłopów stało przy nim i czekało, aż skończy naprawę.

Stała i nie mogła oderwać od niego wzroku: Tomasz wyglądał jak stary człowiek. Włosy mu

posiwały i niezręczność, z jaką ruszał się koło wozu, nie była niezręcznością lekarza, który został szoferem, ale niezręcznością człowieka, który już nie jest młody.

Przypomniała sobie niedawną rozmowę z przewodniczącym. Powiedział jej, że samochód Tomasza jest w mizernym stanie. Powiedział to żartem, nie była to pretensja, ale troska.

— Tomasz lepiej się zna na tym, co jest w środku ciała, niż na tym, co jest w środku motoru – śmiał się.

Potem przyznał, że kilka razy jeździł do różnych urzędów z prośbą, żeby pozwolili Tomaszowi w tutejszej gminie prowadzić praktykę lekarską. Stwierdził, że policja nigdy się na to nie zgodzi. Schowała się za pień drzewa, żeby jej nikt z tych ludzi wokół auta nie zobaczył i nie przestawała mu się przyglądać. Serce ścisnęło jej się, pełne wyrzutów sumienia: przez nią odjechał z Zurychu do Pragi. Przez nią porzucił Pragę. I tutaj również nie dała mu spokoju i dręczyła go podejrzeniami nawet nad umierającym Kareninem.

Zawsze zarzucała mu w duchu, że nie dosyć ją kocha. Swą własną miłość uważała za coś, czego nie można opisać, a jego za rodzaj zwykłej pobłażliwości.

Teraz widzi, że była niesprawiedliwa: gdyby naprawdę kochała Tomasza wielką miłością, zostałaaby z nim za granicą! Tam Tomasz byłby zadowolony, tam się przed nim otwierało nowe życie! A ona uciekła mu stamtąd! Prawda, przekonywała sama siebie, że robi to z wielkoduszności, że nie chce mu być ciężarem. Ale czy ta wielkoduszność nie była tylko wymówką? W rzeczywistości wiedziała, że wróci za nią. Wabiła go coraz niżej i niżej, tak jak leśne nimfy mamią w bagna wieśniaka, po to, by go utopić. Wykorzystała moment jego ataku skurczów żołądka, żeby wymusić na nim obietnicę, że przeprowadzą się na wieś! Jak umiała być przewrotna! Wabiła go za sobą, jak gdyby wciąż chciała wystawić na próbę jego miłość, wabiła tak długo, aż znalazł się tutaj: siwy i zmęczony, z na wpół kalekami rękami, które nigdy już nie będą mogły ująć chirurgicznego skalpela.

Znaleźli się w miejscu, z którego już nie ma powrotu. Dokąd by mogli jeszcze odejść? Za granice już ich nie wypuszczą. Do Pragi się już nie dostana, nikt nie da im pracy. Nie mają żadnego powodu, żeby przeprowadzić się do innej wsi.

Mój Boże, czyż było trzeba naprawdę dojść aż tutaj, aby mogła uwierzyć, że ją kocha?

Wreszcie udało mu się zamontować koło. Usiadł za kierownicą, chłopci wskoczyli na burtę ciężarówki, rozległ się ryk motoru.

Poszła do domu i napaściła wody do wanny. Leżała w gorącej wodzie i mówiła sobie, że przez całe życie wykorzystywała przeciwko Tomaszowi swoją słabość. Wszyscy jesteśmy skłonni uważać silnego za winowajcę, a słabego za niewinną ofiarę. Ale teraz Teresa uświadomiła sobie, że w ich przypadku było odwrotnie! Również w swych snach, jak gdyby wiedziała o jedynej słabości tego silnego mężczyzny, demonstracyjnie pokazywała mu swe cierpienie, żeby zmusić go do odwrotu. Jej słabość była agresywna i zmuszała go do nieustannej kapitulacji, aż wreszcie przestał być silny i przemienił się w zajęczka w jej objęciach. Wciąż myślała o tym śnie.

Wstała z wanny i szukała sukienki, w którą mogłaby się ubrać. Chciała założyć najlepszą sukienkę, żeby mu się spodobać, żeby sprawić mu przyjemność.

Ledwo zdążyła zapiąć ostatni guziczek, Tomasz hałaśliwie wtargnął do domu razem z przewodniczącym spółdzielni i nienaturalnie bladym młodym chłopcem.

— Szybko – krzyczał Tomasz - Jakąś mocną wódkę!

Teresa biegiem przyniosła butelkę śliwownicy. Napełniła kieliszek i młody człowiek łapczywie wypił.

W międzyczasie dowiedziała się, co zaszło: młodzieniec wywichnął sobie podczas pracy rękę w ramieniu i wył z bólu. Nikt nie wiedział, co począć, więc zawołali Tomasza, który jednym ruchem mu ją nastawił.

Młodzieniec wychylił jeszcze jeden kieliszek i powiedział do Tomasza:

— Twoja pani jest dziś cholernie piękna.

— Durniu – powiedział przewodniczący. – Pani Teresa jest zawsze piękna.

— Wiem, że jest zawsze piękna – powiedział młodzieniec. – Ale dzisiaj się do tego pięknie ubrała.

Nigdy pani nie widziałem w takiej sukni. Wybieracie się gdzieś?

— Nie, nigdzie. Ubrałam się tak dla Tomasza.

— Doktorku, pan się ma! – śmiał się przewodniczący. – Moja stara nigdy się dla mnie specjalnie nie ubiera.

No, bo ty chodzisz na spacer z prosięciem, a nie z żoną - powiedział młodzieniec i śmiał się długo.

— A co porabia Mefisto? – spytał Tomasz. – Już go nie widziałem przynajmniej... przynajmniej od godziny.

— Tęskni do mnie – powiedział przewodniczący.

— Jak tak panią widzę w tej sukni, zbiera mnie ochota żeby z panią zatańczyć – powiedział młodzieniec do Teresy. – Puściłbyś ją ze mną na tańce, doktorze?

— Wszyscy pojedziemy na tańce – powiedziała Teresa.

— Pojechałbyś? – spytał młodzieniec Tomasza.

— Ale dokąd? – spytał Tomasz.

Rolnik wymienił sąsiednie miasteczko, w którym jest bar w hotelu z dancinżiem.

— Pojedziesz z nami – rozkazująco oznajmił młodzienc przewoźniczącemu i ponieważ miał już w brzuchu trzeci kieliszek śliwownicy, dodał:

— Jeśli Mefisto będzie tęsknił, zabierzemy go ze sobą! Zawieziemy im dwa ryje! Wszystkie baby się przewrócą na plecy, jak zobaczą dwa ryje! – i znów długo się śmiał.

Jeżeli nie będziecie się wstydzić za Mefista, pojedę z wami – powiedział przewoźniczący i wszyscy wsiedli do ciężarówka Tomasz. Tomasz usiadł za kierownicą, Teresa obok niego, a obydwaj chłopci siedzieli za nimi z niedopitą butelką śliwownicy. Dopiero za wsią przewoźniczący spostrzegł, że zostawił Mefista w domu. Krzychał do Tomasz, żeby zawracał.

— Nie trzeba, jeden ryj wystarczy – powiedział młodzienc i to uspokoiło przewoźniczącego.

Zmierzchało. Droga prowadziła serpentynami w górę.

Dojechali do miasta i zatrzymali się przed hotelem. Teresa i Tomasz nigdy tu jeszcze nie byli. Zeszli po schodach do sutereny, w której mieścił się bar, taneczny parkiet i kilka stolików. Mniej więcej sześćdziesięcioletni mężczyzna grał na pianinie, a równie stara kobieta na skrzypcach. Grali szlagiery sprzed czterdziestu lat. Na parkiecie tańczyło jakieś pięć par.

Młodzienc rozejrzał się i powiedział:

— Nie ma tu żadnej dla mnie - i od razu zaprosił do tańca Teresę.

Przewoźniczący usiadł z Tomaszem przy wolnym stoliku i zamówił butelkę wina.

— Nie mogę pić. Prowadzę! - przypomniał Tomasz.

— Głupstwo – powiedział przewoźniczący. — Zostaniemy tu na noc. I poszedł do recepcji zamówić dwa pokoje.

Potem Teresa z młodziencem wrócili z parkietu, przewoźniczący zaprosił ją do następnego tańca i dopiero na końcu zatańczyła z Tomaszem.

W tańcu powiedziała mu:

— Tomasz, wszystko, co złe w twoim życiu, pochodzi ode mnie. Przeze mnie dotarłeś aż tutaj. Tak nisko, że nie możesz już być niżej.

— Co ty pleciesz – odpowiedział Tomasz. – O jakim niskim ty mówisz?

— Gdybyś został w Zurychu, mógłbyś operować swoich pacjentów.

— A ty byś fotografowała.

— To głupie porównanie – powiedziała Teresa. – Dla ciebie praca znaczyła wszystko, a ja mogłam robić cokolwiek i było mi to kompletnie obojętne. Ja me straciłam w ogóle nic. Ty straciłeś wszystko.

— Tereso – powiedział Tomasz – czy nie zauważyłaś, że jestem tu szczęśliwy?

— Twoim powołaniem było operować – powiedziała.

— Tereso, powołanie to głupota. Nie mam żadnego powołania. Nikt nie ma żadnego powołania. To wielka ulga zrozumieć, że jesteś wolny, że nie masz żadnego powołania.

Nie można było nie wierzyć szczerości jego głosu. Przypomniał jej się obraz z dzisiejszego popołudnia: zobaczyła jak reperuje ciężarówkę i wydał jej się stary. Doszła tam, gdzie chciała: zawsze przecież pragnęła, żeby był stary. Znów przypomniał jej się zajęczek, którego tuliła do twarzy w swym pokoju dziecięcym.

Co to oznacza – stać się zajęczkiem? To oznacza stracić jakakolwiek siłę. To oznacza, że jeden nie jest już silniejszy od drugiego.

Posuwali się tanecznym krokiem w takt dźwięku fortepianu i skrzypiec i Teresa trzymała głowę na jego ramieniu. Tak samo trzymała głowę, kiedy byli razem w samolocie, który ich odwoził w mgłę. Czula teraz takie samo dziwne szczęście i dziwny smutek jak wówczas. Ten smutek oznaczał: jesteśmy na stacji docelowej. To szczęście oznaczało: jesteśmy razem. Smutek był formą, a szczęście treścią. Szczęście wypełniało przestrzeń smutku.

Wrócili do stołu. Zatańczyła jeszcze dwa razy z przewoźniczącym i raz z młodziencem, który był tak pijany, że upadł z nią na parkiecie.

Potem wszyscy poszli na górę i rozeszli się do swych pokojów.

Tomasz przekręcił klucz w drzwiach i zapalił lampę. Zobaczył dwa przytulone do siebie łóżka, przy jednym z nich stała szafka nocna, a na niej lampa, z której abażuru, podniosła się wypłoszona światłem wielka ćma i zaczęła krążyć po pokoju. Z dołu brzmiał słabiutko przytłumiony dźwięk fortepianu i skrzypiec.

koniec